

A romantic couple is shown in profile, facing right. The man, on the left, has a beard and is wearing sunglasses and a blue striped shirt. The woman, on the right, has long blonde hair and is wearing a gold headband with red beads and a pink top. The background is a soft, golden bokeh, suggesting a sunset or sunrise. The overall mood is romantic and intimate.

WADA

*Kiedy
serce
przestaje
bić*

IZAMACIEJEWSKA

 Magnolia

WADA

Kiedy serce przestaje bić

IZA MACIEJEWSKA



Wybaczenie i zrozumienie to fundament szczęścia i radości.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, zdarzeń i miejsc jest przypadkowe.

Prolog

Brakowało mu tchu.

Żadne słowo nie było w stanie przebić się przez jego struny głosowe. Miał coraz większy problem z oddychaniem. Kiedy chciał zaczerpnąć powietrza, czuł opór. Jakby na jego klatce piersiowej ktoś siedział albo leżał tam jakiś bardzo ciężki przedmiot. Nie potrafił nad tym zapanować. Miał wrażenie, że ktoś świeci mu w oczy światłami ze stroboskopu. Choć doskonale wiedział, że jego powieki są zamknięte, widział całą gamę jaskrawych kolorów. Tracił kontrolę nad swoim ciałem.

Było mu zimno, coraz zimniej.

Czuł również obecność wielu ludzi. Czuł, że chcą mu pomóc, chociaż miał bolesną świadomość, że on na tę pomoc wcale nie zasługuje. Gdyby oni wiedzieli. Gdyby tylko wiedzieli, co on zrobił...

- Wszystko będzie dobrze. Trzymaj się - usłyszał. Nie potrafił rozróżnić, czy słowa te wypłynęły z ust kobiety, czy może jednak mężczyzny.

Głos w jego umyśle szeptał, że już nic nie będzie dobrze. Już nigdy nie będzie dobrze.

Od dnia, gdy Piotr uczynił Julii TĘ straszną rzecz, albo inaczej: od dnia, gdy z jego krwiobiegu zniknęły ostatnie ślady amfetaminy, a do niego dotarło, co zrobił, jego życie stało się pasmem jednej wielkiej udręki. Pił takie ilości alkoholu, że nie był w stanie ustać na nogach, a gdy patrzył w lustro, widział przebrzydłego tchórza, który w porywie zazdrości dopuścił się niegodnego czynu. Tłumaczył sobie, że to wszystko wina narkotyków. Że gdyby nie był naćpany, nie zrobiłby tego. Na pewno by tego nie zrobił. Poczucie winy przejęło nad nim pełną kontrolę. Karmiło się jego strachem i bezsilnością. Drwiło sobie z niego na każdym kroku, osądzając i wytykając go palcami. Szydziło i upewniało w przekonaniu, że jest nic niewartym śmieciem.

I tak się właśnie czuł.

Wielce prawdopodobne, że sam zgłosiłby się na policję, przyznając się do tego, co zrobił, gdyby nie to, że zwyczajnie bał się konsekwencji. I pewnie dlatego też ze strachem patrzył na każdy przejeżdżający radiowóz, a na dźwięk przyśpieszonych kroków na klatce schodowej jego serce o mało nie wyskakiwało z piersi.

Czuł, że traci rozum. Czuł, że jeszcze moment i zwariuje. Czuł, że znajduje się u kresu swojej wytrzymałości.

Tego dnia wybrał się na przejażdżkę za miasto. Jechał, można powiedzieć, bez celu. Nie potrafił znaleźć sobie miejsca w domu, dlatego wsiadł na motocykl i pomknął przed siebie. W pewnym momencie zjechał na zatoczkę autobusową. Zdjął kask i rękawice i położył je na baku motocykla. Palce zacisnął na manetkach. Bardzo długo patrzył w jeden punkt, w lusterko. Twarz, którą tam zobaczył, była poszarzała, zmęczona, pozbawiona radości. To właśnie wtedy dotarło do niego, że już tak dłużej nie da rady. Że musi coś zrobić.

Założył ponownie rękawice i kask. Przekręcił kluczyk w stacyjce, wcisnął sprzęgło i nacisnął na przycisk rozrusznika. Ryk motocykla rozniósł się po okolicy. Piotr usłyszał szczekanie psów. Podkręcił gaz. Ujadanie się wzmoгло. Po chwili mknął przed siebie z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Wiedział, do kogo i po co chce jechać. Wiedział, że tylko przebaczenie, które może uzyskać od Julii, jest w stanie go uratować. Możliwe, że gdyby był bardziej skupiony na drodze, a nie na swoich myślach, zauważyłby jadącą z naprzeciwka ciężarówkę, która zjechała na przeciwny pas i pędziła prosto na niego.

Gdy się zorientował, było już jednak za późno.

- Tracimy go.

Ponownie usłyszał czyjś głos. Dobiegał z oddali. Mieszał się z dźwiękami i głosami innych ludzi. Było ich naprawdę wiele, każdy o innej barwie, innym natężeniu. Każdy chciał przekazać coś innego, każdy chciał pomóc. Nagle cały ten hałas przycichł, a on pojął, że coś zaczyna się z nim dziać. Poczuli się tak, jakby coś go wessało i ciągnęło w górę z ogromną prędkością. Jakby jakaś niepojęta siła chciała wyrwać jego duszę z ciała. Próbował krzyżeć, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Chciał się czegoś przytrzymać, ale nie wiedział, jak to zrobić. Nie miał już dłoni. Nie miał też nóg. Nie miał ciała, ale jednak istniał. Był tego dziwnie świadomy.

 Nie poradziłem sobie. Zbłądziłem. Krzywdziłem. Byłem zły.

 Zastygł w bezruchu. W paraliżu. W niepewności. W strachu. W oczekiwaniu na wybaczenie, które mogło nigdy nie nadejść.

Rozdział 1

Siedem lat później.

- Jesteś najgorszym kotem na świecie! NAJ-GOR-SZYM! Jestem pewna, że żaden inny kot nie sieje takiego zniszczenia jak ty! Myślisz, że co? Że cały świat kręci się wokół nasady twojego ogona? I że wszystko ujdzie ci na sucho? Jeśli tak, to zapewniam cię: mylisz się!

Julia oparła dłonie na biodrach, besztając Iryska. Chwilę wcześniej ten czarny diabeł wskoczył na biurko i przewrócił kubek z gorącą kawą, przez co wszystkie papiery, które znajdowały się na blacie, zostały zalane. Były to bardzo ważne notatki, w których zapisywała pomysły na fabułę swojej najnowszej książki. Były to również jedyne notatki, z czego oczywiście kot nie zdawał sobie sprawy. Nie znaczy to jednak, że gdyby wiedział, jak ważne są te zapiski, zachowałby większą ostrożność. Nie ma co ukrywać, nie zrobiłby tego. A tak w ogóle, to Julia powinna je położyć gdzieś indziej, bo przecież nie od dziś wiadomo, że tam, gdzie jest możliwość potrącenia kubka z jakimkolwiek napojem, tam prędzej czy później pojawi się kot.

Tak sobie właśnie pomyślał Irysek, wyzbywając się jakiegokolwiek poczucia winy.

Jakby tego było mało, w kolejnym etapie rozpierduchy wskoczył z impetem na laptopa, co spowodowało, że ten spadł z biurka i z wielkim hukiem upadł na podłogę. Irysek sprawiał wrażenie skruszonego i w zasadzie na wrażeniu się skończyło, bo tylko żałośnie miauknął. Wątpliwe, aby zrobił to w ramach przeprosin. Potem pomaszerował w stronę salonu, machając przy tym ogonem na prawo i lewo. Następnie wskoczył na parapet, uniósł grzbiet, ziewnął, polizał się po łapce i zwinął w kłębek.

I tyle z jego skruchy.

- Za grosz przyzwoitości. Za grosz - burknęła Julia.

Zabrała się za sprzątanie pobojuwiska, powtarzając sobie co chwilę, że chociaż dzień rozpoczął się kiepsko, to później będzie już tylko lepiej.

Było jeszcze gorzej, bo gdy wiozła syna do szkoły, dostała mandat.

- Proszę pani, nie widziała pani znaku zakazu? Tutaj nie można skręcać - powiedział policjant, a minę miał przy tym taką, jakby Julia przemyślała w bagażniku co najmniej dziesięć kilogramów kokainy.

- Moja mama codziennie tędy jeździ! - krzyknął z tylnego fotela Julian, jej sześciolatek syn.

- Codziennie? - Policjant schylił głowę i zapuścił żurawia do samochodu. - Jesteś tego pewien, młody człowieku?

Spojrzał na chłopca, a potem, gdy ten uśmiechnął się do niego i pokiwał głową na znak potwierdzenia, zerknął na jego bordową na twarzy mamę, która ewidentnie nie spodziewała się tego, że rodzony syn wykaże się takim brakiem instynktu samozachowawczego.

- Może ze dwa razy się zdarzyło. Może trzy. Zresztą, niech pan mu nie wierzy, on się nawet na zegarku jeszcze nie zna - bąknęła Julia, patrząc na syna zrezygnowanym wzrokiem.

Z pokorą przyjęła dwa punkty i trzysta złotych mandatu. A potem, gdy odstawiła dziecko do zerówki, pojechała do pobliskiego marketu. Zrobiła zakupy, wypłaciła pieniądze z bankomatu, potknęła się, mijając obrotowe drzwi, i wróciła do samochodu. Postawiła torby z zakupami na dachu auta i sięgnęła do torebki po kluczyki. Nie znalazła ich tam, ale to na pewno dlatego, że bawiły się z nią w chowanego. W ogóle wszystkie jej klucze, czy to od domu, czy też od samochodu, często to robiły. Kiedyś schowały się do lodówki, innym znowu razem do kosza z brudną bielizną. A jeszcze kiedyś, bardzo dawno temu, w kontenerze na śmieci.

Julka przetrząsnęła całą zawartość torby trzy, a może i cztery razy, a potem przeszukała po kolei wszystkie kieszenie. Poza starymi rachunkami, wyblakłymi naklejkami z Kinder niespodzianki i gumkami recepturkami nie było w nich nic godnego uwagi.

- Kluczyki! Gdzie są kluczyki od samochodu! O Boże! Znowu zgubiłam kluczyki! - lamentowała.

Zaczęła chodzić dookoła auta, żeby sprawdzić, czy czasem gdzieś ich nie upuściła, gdy wysiadała. Na przykład obok któregoś z kół. Gdy upewniła się, że nie, pobiegła do sklepu. Podeszła do ekspedientki, która kilka minut wcześniej ją obsługiwała.

- Prze... prze... przepraszam - była tak zziajana, że z ogromnym trudem łapała powietrze - czy... czy... moje kluczyki... zgubiłam... może pani... gdzieś je widziała...

- Proszę. - Kobieta podała jej zgubę. - Zostawiła je pani na półce, na której leżą torby. Klientka je znalazła. A tak w ogóle, to ma pani ogromne szczęście, że była uczciwa i nie odjechała pani autem - poinformowała ją kasjerka.

- Ale ze mnie gapa.

Julia podziękowała za pomoc i z dużo lżejszym sercem wróciła na parking. Zakupy, które stały na dachu samochodu, a o których zdążyła już zapomnieć, zniknęły.

To przecież mogło się zdarzyć każdemu. KAŻ-DE-MU!

Myśląc w taki sposób, okłamywała samą siebie, bo doskonale wiedziała, że takie rzeczy zdarzają się tylko jej. I może jeszcze ze trzem osobom na całym świecie. Do domu wróciła przy akompaniamencie odpowiednio dołującej muzyki. Od razu weszła pod prysznic, ponieważ chciała zmyć z siebie pecha. No bo przecież nawet on powinien mieć swoją datę ważności. Szorowała się do momentu, w którym przypomniała sobie, że przecież już dawno powinna być gotowa do wyjścia. Opatuliła się ręcznikiem i sięgnęła po suszarkę, ale okazało się, że ta jest niedysponowana.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - zapytała swojego lustrzanego odbicia, które tylko wzruszyło ramionami.

Była godzina jedenasta pięć, a ona najpóźniej o dwunastej miała zjawić się u Marka, który poprosił ją, żeby pomogła mu w pakowaniu dokumentów. Zmieniał lokalizację swojego gabinetu. Spóźnienie nie wchodziło w grę, gdyż o godzinie czternastej była umówiona ze swoją wydawczynią, która specjalnie przyjeżdżała z Warszawy, żeby się z nią zobaczyć. Pani Zofia Maj chciała jej powiedzieć coś, co wymagało rozmowy w cztery oczy.

Julia stanęła na środku łazienki i tarła mokre włosy ręcznikiem. Był co prawda początek maja, ale akurat dzisiaj pogoda nie rozpieszczała na tyle, żeby mogła wyjść na zewnątrz, wystawić się do słońca i poczekać, aż jej włosy wyschną dzięki podmuchom ciepłego wiatru. Spojrzała na sufit i nagle ją olśniło. Gdy biegła korytarzem z łazienki do sypialni, usłyszała, jak na dole otwierają się drzwi.

- To ja. - Do jej uszu dobiegł głos Weroniki Malinowskiej, sąsiadki z kamienicy, w której Julia kiedyś mieszkała.

Od momentu przeprowadzki Julii do Marka Weronika przyjeżdżała do nich przynajmniej dwa razy w tygodniu. Miała swoje klucze i tak naprawdę była kimś więcej niż tylko starą znajomą. Była członkiem rodziny.

- Jestem na górze! - odkrzyknęła Julia.

Gdy Weronika weszła na piętro, a potem skierowała swoje kroki do garderoby i zobaczyła to, co zobaczyła, stanęła jak wryta. Kiedy klęcząca na środku pomieszczenia Julia zorientowała się, że kobieta stoi w drzwiach, uśmiechnęła się szeroko, nie przerywając swojego zajęcia. Dopiero gdy Malinowska przez dobre dwie minuty nie odezwała się nawet słowem, chociaż jej zaplecione na piersiach ręce wskazywały na to, że chętnie się dowie, co się tutaj nawyprawiało, Julia powiedziała:

- Dzień dobry.

- Co ty robisz?

- Suszę włosy.

- Ale dlaczego odkurzaczem?

- Bo mi się suszarka popsowała.

Weronika przez chwilę patrzyła na Julię, zastanawiając się nad tym, czy ta dziewczyna jest w stanie ją jeszcze czymś zaskoczyć.

Odpowiedź brzmiała: TAK! Zawsze TAK!

Nie pozostało zatem nic innego, jak westchnąć, pokiwać głową i zejść do kuchni, żeby przygotować kawę.

- I jak? - zapytała Julia, która pół godziny później była gotowa do wyjścia. - Niezłe jak na odkurzacz, prawda? Przyznam, że na początku myślałam, że wyrwie mi połowę włosów, ale jak potem doszłam do tego, że trzeba przełączyć z trybu, który zasysa, na dmuchawę, to poszło jak z płatka. Opłacało się kupić wielofunkcyjny odkurzacz.

Weronika postanowiła nie komentować tego, że na włosach Julii znajduje się mnóstwo kurzu i są potężnie napuszone. Cóż, skoro dziewczyna tego nie zauważyła, to pewnie jej się to tylko wydawało. Chwilę porozmawiały, Julia kichnęła ze trzy razy, a potem wzięła torbę i kluczyki i ruszyła w stronę drzwi. Nim wyszła, zatrzymała się i powiedziała:

- Pamiętasz, że Julek ma zostać dziś u ciebie na noc?

- Pamiętam. Odbiorę go ze szkoły i pójdziemy do kina.

- Jesteś najlepszą babcią na świecie.

Gdy Julia wyszła, Weronika podreptała w kierunku lodówki i szafek i zaczęła wyjmować z nich wszystko, co potrzebne było do upieczenia szarlotki. Niedługo potem kuchnia wypełniła się cudownym, jabłkowo-cynamonowym zapachem domowego ciasta. I miłości.

Od chwili, kiedy na świecie pojawił się Julian, jej życie nabrało nowych barw. Jednak w najśmielszych snach nie spodziewała się, że zostanie przyszywaną babcią tego rozkosznego chłopca. Taką pełnoetatową, którą prosi się o pomoc w opiece nad dzieckiem i którą zaprasza się na szkolne przedstawienia. Od tego momentu w jej żyłach nie płynęła już tylko krew, ale i duma.

Nim odebrała małego ze szkoły, zajrzała na cmentarz. Jako że było dość chłodno, miała na sobie swoje ulubione w tym miesiącu różowe ponczo i brązowe spodnie w lamparcie cętki. Na głowę naciągnęła bordowy beret z antenką, pod szyją zawiązała żółto-fioletową chustę, w dłoni natomiast dzierżyła torbę, którą dostała na Dzień Babci. Był na niej rysunek przedstawiający uśmiechniętego Irysa i Weronikę, która bardziej przypominała truskawkę niż dwunożną istotę.

Weronika Malinowska zdecydowanie miała swój unikatowy styl.

Teraz, kiedy siedziała na ławce i patrzyła na grób, co jakiś czas wzdychała i prowadziła monolog z duchem.

- Aj, Zenuś, mogłeś jeszcze trochę pożyć. Miałbyś pociechę z tego chłopczyka na stare lata. Z nich wszystkich miałbyś pociechę. Z Juleczki i z Marcuszka też. Co ci się tak śpieszyło na tamten świat, co? - Ilekroć przychodziła na cmentarz, zawsze go o to pytała.

A potem opowiadała mu, co ciekawego wydarzyło się od jej ostatniej wizyty. Posiedziała jeszcze chwilę. Powspominała. Ponarzekła. Pomarudziła. A kiedy zegarek wskazał za kwadrans czternastą, wstała z ławki i ruszyła w kierunku przystanku autobusowego.

Rozdział 2

Kiedy Julia jechała do gabinetu Marka, żeby pomóc mu z pakowaniem dokumentów do kartonów i ogólnym porządkowaniem biura przed oddaniem kluczy, jakoś tak się złożyło, że zaczęła myśleć o tym, że chociaż jej mąż uczył ją grzecznego stawiania na swoim i bycia asertywną, ona w dalszym ciągu ma ogromny problem z odmawianiem. Czy to dwóch złotych w zamian za popilnowanie auta, czy to częstowania upierdliwie łaszącego się do jej nogi Iryska nadprogramowym jedzeniem, czy też, jak chociażby w zeszłym tygodniu, upieczenia ciasta na imprezę w zerówce.

Dość istotne było to, że o cieście dowiedziała się o godzinie szóstej rano w dniu, w którym jej syn miał je przynieść.

- Mamo! Mamo! - usłyszała krzyk swojego dziecka, dobiegający z jego pokoju. - Potrzebuję cię!

Zjawiła się błyskawicznie. Pewnie gdyby nie potknęła się o jeden z samochodzików, który leżał na korytarzu, dotarłaby jeszcze szybciej.

- Co się stało? Miałeś zły sen? - Przysiadła na skraju łóżka i zaczęła głaskać syna po jasnej czuprynie. - Boli cię coś?

Rzadko kiedy zdarzało się, żeby Julek wstał tak wcześnie. Zazwyczaj trzeba było siłą ściągać go z łóżka. Oczywiście tylko w tygodniu, gdy trzeba było iść do szkoły, bo w weekendy sprawy miały się zgoła inaczej.

- Bo ja zapomniałem, że pani powiedziała, że mama Antka kazała ci powiedzieć, że na dziś potrzebne jest ciasto do szkoły. I mama Antka powiedziała, że to ty MASZ je upiec. - Julian bardzo mocno zaakcentował słowo „masz”. - Mama Antka powiedziała, że ty i tak cały czas siedzisz w domu i się nudzisz, więc możesz. Upieczesz? Zrobisz serniczek? Proooszę.

- Jest godzina szósta rano. O jakim ty cieście do mnie mówisz?

Nie dało się ukryć, że była nieco zaskoczona. Ale tylko nieco, bo zdążyła już przerobić kilka podobnych akcji. Jak dotąd nic nie przebiło tego, kiedy zawiozła syna do zerówki, a on dostał nagłego olśnienia i powiedział, że przecież dziś jest bal przebierańców i miał przyjść w stroju krasnoludka.

Julia miała wyobraźnię. Najpierw wyobraziła sobie, że wkłada go do okna życia, ale szybko go stamtąd wyjęła i zabrała do domu, gdzie ze swoich ubrań wyczarowała naprawdę uroczy strój krasnała. Na pytanie o to, jakie ma supermoce, mogłaby odpowiedzieć, że jest mamą pewnego roztargnionego chłopca, który uwielbia ją zaskakiwać. Zeszłej jesieni postanowiła być również nieco profilaktyczna i zawczasu nazbierać kasztanów, bo znając życie, o tym, że są potrzebne, syn poinformowałby ją w środku nocy.

- Bo wszyscy coś przyniosą. A ja mam przynieść ciasto. Tak powiedziała mama Antka - przypomniał jej Julian. - I kazała ci przekazać, że nie pojmuję odmowy.

- Mówi się „nie przyjmuje” - westchnęła. - A co przyniesie Antek?

- Kubeczki i talerzyki. A Janek pączki. A Kacper nic, bo jest chory i go nie będzie. A Stasiak to mnie wczoraj kopnął. A ja mu oddałem.

Julia na końcu języka miała odpowiedź, żeby mama Antka nie była taka mądra i sama sobie to ciasto upiekła. Najwidoczniej jednak wcześniej wspomniana rodzicielka, która osobiście mianowała się przedstawicielką klasy, uznała, że skoro Julia piekła już ciasto kilka razy, to może zrobić to po raz kolejny. Bo jak to się wyraziła? I tak siedzi w domu i się nudzi. Wszak jak ktoś pracuje w zaciszu swoich czterech ścian, to ma w międzyczasie również mnóstwo czasu na gotowanie, pranie, sprzątanie, mordowanie irytujących ludzi, prasowanie, nudę i oczywiście na pieczenie ciast. Przypomniała sobie też, jak mama Antka podpytywała ją kiedyś, gdzie pracuje. Julia powiedziała jej, że ma to szczęście, że w domu. Nie wyczuła wtedy złych intencji tej kobiety.

A powinna.

Czy miała ochotę kopnąć ją w zadek? Oj, tak, szaloną!

- Upiekę ci to ciasto - powiedziała do syna.

- Jesteś najlepszą mamą na całym świecie! NAJ-LEP-SZA! - wykrzyknął Julian, obejmując ją.

Julia wyszła z pokoju syna nieco ułagodzona. Zeszła do kuchni i zrobiła rekonesans. Niestety nie było za bardzo z czego zrobić sernika, dlatego podreptała na górę, do sypialni, wgramoliła się na łóżko i zaczęła szturchać śpiącego Marka.

- Śpisz?

- Śpię.

- Czyli jednak nie śpisz.

- Już dawno ustaliliśmy z naszym synem, że póki mama i tata mają zamknięte oczy, to śpią.

Marek leżał na brzuchu, przykryty do połowy kołdrą. Jego szerokie ramiona wręcz prosiły o to, żeby się do nich przytulić. W głowie Julii roilo się od nieprzyzwoitych myśli. W jej odczuciu Marek był jak wino. Jak najlepsze na świecie czterdziestosiedmioletnie wino. I chociaż miała świadomość, że porównanie to jest bardzo sztampowe, to w top trzech rzeczy, które podniecały ją u niego najbardziej, znalazła się również ta piętnastoletnia różnica wieku, która ich dzieliła.

Odsunęła kołdrę i wodziła wzrokiem po jego pośladkach. Westchnęła, myśląc o tym, że byłoby przyjemnie, gdyby odwrócił się na plecy.

Julia! Teraz masz matczyne obowiązki i jedyne jajka, jakich dotkniesz, to te z wytłoczek! - upomniała się w myślach.

- Pamiętasz ten moment, kiedy szlachetnie oddałam ci swoje serce i powiedziałam, że nie oczekuję w zamian żadnych zobowiązań? - zaszcebiotała radośnie.

- Niech zgadnę: są zobowiązania? - padło w mrukiwej odpowiedzi.

- Pojedziesz do sklepu? Muszę upiec młodemu ciasto.

- Na kiedy?

- Na za trzy godziny.

Marek przeciągnął się, a potem przekręcił głowę w jej stronę. Przez chwilę na siebie patrzyli. Ona się uśmiechała, on wyglądał tak jak zawsze, czyli jego usta tworzyły linię prostą w taki sposób, że wyglądał na człowieka, który nie jest za bardzo zadowolony z życia. Nozdrza na zmianę to się unosiły, to opadały, natomiast powieki nawet nie drgnęły.

Julia patrzyła na niego swoimi dwukolorowymi oczyma.

- To co? Pojedziesz? Odwdzięczę się wieczorem.

Nachyliła się, żeby go pocałować. Złapał ją za włosy, mocno ścisnął i przyciągnął do siebie. Językiem powiódł po szyi. Jego dłoń wsunęła się pod jej koszulkę, choć tak naprawdę to była jego koszulka, którą ona sobie zaanektowała. Ścisnął ją za pierś i zaczął wodzić kciukiem po sutku. Przestał dopiero wtedy, gdy ten zaczął sterczeć.

- Z każdym dniem kocham cię coraz mocniej - wyszeptał do jej ucha.

- Mogłabym się z tobą teraz pokłócić i powiedzieć, że to ja kocham bardziej, ale obawiam się, że brakłoby mi czasu na przekonywanie cię do mojej racji.

Marek pogłaskał Julię po policzku, a potem wstał, co sprawiło, że jęknęła, widząc jego nagie ciało. On z kolei wydobył z siebie dźwięk, który dla osoby postronnej mógł wydawać się prychnięciem wynikającym z niezadowolenia. Lub czymś podobnym. Jednak Julia doskonale wiedziała, że jest inaczej i że tak naprawdę jej mąż właśnie się zaśmiał.

Po swojemu.

- Piękna pani poczeka! Piękna pani poczeka!

Tuż przed Julią, ni stąd, ni zowąd, wyrosła postawna Cyganka.

- Piękna pani nie ma czasu - odpowiedziała, stukając palcem w tarczę swojego zegarka. - Piękna pani jest już spóźniona.

Próbowała zrobić unik.

- To tylko minutka. Dwadzieścia złotych i minutka. Powrózę, przyszłość przepowiem.

Kobieta zastąpiła jej drogę i raczej nic nie wskazywało na to, żeby miała zamiar ruszyć się z miejsca, tym samym Julia nie mogła wejść do kamienicy, w której znajdował się gabinet Marka.

Julia westchnęła, przekręciła głowę i nabrała w płuca powietrza, aby wypuścić je wraz z kolejnym, pełnym rezygnacji westchnięciem. Zaczęła się też zastanawiać nad tym, czy te myśli o nieumiejętnym odmawianiu, co to pojawiły się w jej głowie kilka minut temu, to była jakaś przestroga przed tą sytuacją czy zwykły przypadek? Gdy patrzyła na Cygankę, która zatarasowała swoim ciałem wejście do kamienicy, zastanawiała się, czy czasem w chwili narodzin nie została przeklęta i stąd ten pech. Nie dane było jej jednak zbyt długo o tym dumać.

- Powróżę. Przyszłość przepowiem. Pani o pięknych oczach da dwadzieścia złotych - zachęcała Cyganka głosem słodkim niczym miód.

- Nie mam dwudziestu złotych - powiedziała Julia i próbowała wyminąć kobietę.

- To dziesięć. - Cyganka zrobiła krok w bok i ponownie zastawiła wejście.

- Też nie mam.

- Masz, masz. Ja to wiem. No daj. - Kobieta czarowała ją głosem i wyciągnęła w jej stronę dłoń.

Julia pokręciła z rezygnacją głową i machnęła ręką, a potem, kiedy Cyganka w dalszym ciągu blokowała przejście, wyjęła z portfela dziesięciozłotowy banknot i podała tej upierdliwej kobiecie.

- Wróż. Tylko szybko, bo się śpieszę.

- Nie ma co się śpieszyć. Życie nie ucieknie - zaśmiała się Cyganka.

Miała czarne jak smoła włosy, gdzieśgdzie poprzetetykane siwymi pasmami. Zaplotła je w gruby warkocz. Jej oczy były brązowe i bardzo przenikliwe. Policzki rumiane, uśmiech trochę psotny, a trochę szydery. Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat. Julii rzucił się w oczy ogromny wisior, który spoczywał na jej piersiach. Była to złota sowa siedząca na czerwonym kamieniu. Kobieta miała na sobie czarną spódnicę do ziemi, fioletową koszulę z żabotem i ciemną skórzaną kurtkę.

- Pani, podaj mi rękę - wydała polecenie.

Zrezygnowana Julia wyciągnęła w jej stronę dłoń. Miała świadomość, że właśnie daje się wkręcić w najstarszy numer na świecie. Miała też świadomość, że mijający ją ludzie się z niej śmieją i zapewne w myślach nazywają frajerką.

Taka już jestem naiwna, pomyślała zawstydzona swoją głupotą.

- No i co tam widzisz? Że jestem spóźniona? - westchnęła ostentacyjnie, co miało pokazać, że naprawdę bardzo, ale to bardzo się jej śpieszy.

- Widzę...

Kobieta lekko przekręciła dłoń Julii, a potem zamilkła i ściągnęła brwi. Przyglądała się dłoni z dziwnym wyrazem twarzy. Trochę milczała, a trochę mruczała pod nosem. Było to kompletnie niezrozumiałe mruczenie, w jakimś obcym języku, co sprawiło, że Julia poczuła się nieswojo. Cyganka przeniosła wzrok na nią. Dość długo studiowała jej twarz. W końcu powiedziała:

- Śmierć. Widzę śmierć.

- Słucham?

- Widzę śmierć, która daje życie.

Julia spodziewała się raczej tego, że usłyszy coś w stylu „kochasz blondyna, ale wyjdiesz za bruneta”.

- Wie pani co...

Chciała wyszarpnąć rękę, ale tamta jej na to nie pozwoliła.

- Pani o pięknych oczach, posłuchaj ty mnie, bo to bardzo ważne. - Kobieta zniżyła głos do szeptu, jakby to, co chciała właśnie powiedzieć, było jakąś wielką tajemnicą. Bardzo mocno ścisnęła przy tym dłoń Julii w swojej. - Tobie może się wydawać, że ja kłamstwa opowiadam, głupoty, bajki jakieś, bo ja jestem Cyganka i źle się o nas mówi. Ale ja prawdę gadam. Krzywda cię w życiu wielka spotkała, a zarazem szczęście. I to szczęście chce się teraz wymknąć. Ktoś otworzył mu drzwi i na nie czeka. I może to twoje szczęście się wymknie, a może się nie wymknie. Wszystko zależy od niej. Od śmierci. I żebyś ty, moja pani, była zadowolona, to inni muszą cierpieć. Nie inaczej. Nie inaczej...

- Ja... ja muszę już iść.

Julia wyszarpnęła dłoń z uścisku i przycisnęła do piersi torbę, jakby w taki sposób mogła ochronić się przed słowami tej dziwnej kobiety. O dziwo, tym razem Cyganka nie zastąpiła jej drogi, jedynie świdrowała ją swoim natarczywym spojrzeniem. Julia wyminęła ją i weszła do budynku, jednak nieprzyjemne uczucie, które się w niej rozgościło, nie mogło jej opuścić.

- Cześć, Julka. Jak mija dzień?

Siedząca za kontuarem w recepcji Dorota uśmiechnęła się do niej serdecznie. Pracowała tutaj od czterech lat. Jej poprzedniczka, Sylwia, delikatnie mówiąc, nie przepadała za Markiem, a wynikało to z tego, że tak jak i większość ludzi oceniała go na podstawie wyglądu. Marek z kolei nie czuł się w obowiązku tłumaczenia każdemu, kogo spotkał na swojej drodze, że nie jest niewychowanym gburem, jedynie - albo i aż - boryka się z syndromem Moebiusa. W jego przypadku wada ta objawiała się tym, że bez względu na emocje, jakie nim targały, jego twarz zawsze wyglądała tak samo.

Jak kamienna maska.

Wątpił, aby ktoś taki jak wiecznie zapatrzona w ekran swojego telefonu Sylwia zrozumiał ten problem. Ku radości Julii recepcjonistka cztery lata temu złożyła wypowiedzenie. Twierdziła, że poznała arabskiego szejka i wyjeżdża z nim do Dubaju, gdzie zostanie księżniczką. Nikt po niej nie płakał, a na jej miejscu pojawiła się przesympatyczna Dorota.

- Dzień dobry - odpowiedziała Julia. - Dostałam dziś mandat, ktoś ukradł mi zakupy, a przed wejściem do budynku zaczęła mnie Cyganka i takich głupot mi nagadała, że głowa mała. - Machnęła dłonią w lekceważącym geście i nawet się zaśmiała.

Tyle tylko, że jej wyluzowana mowa ciała nie współgrała z narastającym w niej coraz większym niepokojem. To tylko takie głupie gadanie. Zapomnij o tym, próbowała przekonać sama siebie. To na pewno nic nie znaczy, a ona chciała wyciągnąć od ciebie pieniądze i cię przestraszyć, co - trzeba przyznać - jej się udało.

- A co ci powiedziała ta Cyganka? - zainteresowała się Dorota. - Bo mi kiedyś taka jedna cygańska wróżka powiedziała, że spotka mnie w życiu ogromne szczęście. No i jakiś tydzień później mój mąż powiedział, że odchodzi do innej kobiety. Z perspektywy czasu muszę przyznać, że nic lepszego nie mogło mnie w życiu spotkać. Chociaż oczywiście wtedy wpadłam w czarną rozpacz.

- Ja już nawet nie pamiętam, co ona mówiła, czyli to naprawdę było mało istotne. Bardzo cię przepraszam, Dorota, ale muszę pędzić do męża. Jestem już spóźniona.

Wbiegła po schodach na górę. Gabinet Marka znajdował się na pierwszym piętrze. Julia doskonale pamiętała dzień, kiedy weszła tutaj po raz pierwszy. Przyszła na rozmowę kwalifikacyjną. Marek poszukiwał asystentki, a ona potrzebowała pracy. Można powiedzieć, że wszystko świetnie się składało. Jednak nim dostała tę posadę, musiała się z nim pokłócić, zgubić klucze od mieszkania w kontenerze na śmieci, wysłać Markowi swoje kompromitujące zdjęcie i jeszcze stracić przytomność, efektem czego zobaczył ją bez ubrania. Jak to się jednak mówi, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo nie dość, że dostała tę posadę, to związała się z Markiem. Od tamtego czasu minęło ponad siedem lat, a oni wiedli naprawdę szczęśliwe życie.

Bywały jednak takie dni, że kiedy Julia patrzyła na swojego synka, który nie był biologicznym dzieckiem Marka, miała bolesną świadomość tego, w jaki sposób chłopiec został poczęty. Marek z kolei doskonale wyczuwał emocje, które w niej buzowały. Był nad wyraz empatyczny, a jego ciało wręcz przesiąkało uczuciami ludzi, z którymi miał na co dzień do czynienia. Odczuwał stany psychiczne swoich pacjentów, potrafił przejąć ich sposób myślenia, a także patrzeć na świat z ich perspektywy. Ta wyjątkowa i raczej mało spotykana cecha była mu pomocna w pracy zawodowej. Jednak w przypadku kobiety, którą kochał, a której dusza tak bardzo cierpiała, było to dla niego niesłychanie trudne i bolesne doświadczenie.

- A jeśli ja nie będę dla niego dobrą mamą? A jeśli go zawiodę? A jeśli ta sytuacja zaważy na mojej miłości do niego? - pytała Julia.

Było to w dniu, w którym ona i dziecko wyszli ze szpitala. I chociaż pokochała tę małą istotę od samego początku, to uciążliwe myśli, które co rusz pojawiały się w jej głowie, przypominając

o bolesnych doświadczeniach, strasznie ją deprimowały.

Marek zamknął ją w bezpiecznym uścisku i wyszeptał do ucha:

- Jesteś cudowna. Jesteś moją radością. Przecież widzę, że jesteś w nim zakochana.
- Ale jeśli nie będę w stanie go akceptować?
- Wdychaj światło. Wydychaj mrok.

Julia wtuliła się wtedy w niego mocno, obiecując sobie, że koniec z rozmowami o przeszłości. I tak faktycznie było. Nie podejmowała tego tematu. Tylko że jeśli o czymś się nie mówi, to nie znaczy, że tego już nie ma. I chociaż uparcie twierdziła, że zamknęła ten rozdział swojego życia, to Marek miał świadomość, że jest inaczej. Czuł to całym sobą. Jako specjalista w dziedzinie psychoterapii doskonale wiedział, że nie można uciec przed problemami. Nie mógł jednak zmusić jej do zmierzenia się z demonami, dlatego cierpliwie czekał, aż któregoś dnia ona sama zrozumie, że jedyne co może jej pomóc, to prawdziwe wybaczenie.

Gdy Julia weszła do gabinetu, Marek kończył właśnie pakować teczkę z dokumentami do pudeł.

- Dziś spotkało mnie tyle dziwnych rzeczy, że jedyne, o czym marzę, to napuścić wody do wanny - powiedziała na wstępie.

- I się utopić? - zapytał ją.

- Nie. Zaprosić cię do wspólnej kąpieli i się z tobą kochać.

- I nie zapomnieć przy okazji o tym, żeby zamknąć się od środka, mając w pamięci to, że jesteśmy rodzicami nad wyraz ciekawskiego sześciolatka.

- Tak się składa, że nasz sześciolatek nocuje dziś u babci Weroniki. - Julia posłała Markowi zalotne spojrzenie. - Co? Nie wspomniałam ci o tym wcześniej? Cóż, niespodzianka.

Marek się wyprostował, a potem spojrzał na biurko. I na Julię. I znowu na biurko. On również miał dla niej niespodziankę.

- Tak sobie pomyślałem, że skoro ostatni raz jesteśmy w tym gabinecie, moglibyśmy to uczcić. I skoro zdążyłem uporać się z tym wszystkim...

Sugestywnie omiół ręką pudła, które piętrzyły się wokół biurka.

- Jak to uporałeś się z tym wszystkim? Przecież prosiłeś mnie, żebym przyszła i ci pomogła.

- Chciałem cię tu romantycznie zwabić.

Przysiadł na kancie biurka i zaczął rozpinać guziki swojej koszuli.

- Czyli nie musiałam suszyć sobie głowy odkurzaczem?

- Czego nie musiałaś robić?

Dłoń Marka raptownie się zatrzymała.

- Nieważne. - Julia zaplotła ręce na piersiach. - Za ten podstęp masz szlaban na bzykanie! I żeby nie było żadnych wątpliwości, prędko go nie podniosę!

- Sam go sobie otworzę. - Jego zręczne dłonie odpięły już wszystkie guziki koszuli, a teraz zabrały się za rozpinanie paska od spodni. - Zamknij drzwi i przekręć klucz. I podejdź do mnie.

- A jeśli tego nie zrobię, to co? - spytała, udając obrażoną.

- To ja podejdę do ciebie.

Spotkali się w połowie drogi.

Rozdział 3

Julia i jej wydawczynie Zofia Maj spotkały się w zaciszu klimatycznej herbaciarni, po której spacerowały koty. Herbaciarnia Kocie Oczy znajdowała się w jednym z podwórek na Piotrkowskiej, nieopodal kamienicy, w której Marek miał swój gabinet. Julia uwielbiała tutaj przychodzić, siadać z laptopem w kąci i popijając ulubioną herbatę, tworzyć nowe historie. Miejsce to miało niepowtarzalny klimat i daleko było mu do wielkomiejskiego zgiełku i hałasu. Tutaj jakby wszystko działało się wolniej.

- Ale jak to? Film? Ktoś chce nakręcić film na podstawie mojej książki? Tak po prostu skontaktował się z panią i o tym powiedział? To przecież brzmi jak sen! - powiedziała Julia, kiedy Zofia Maj zdradziła jej cel swojej wizyty.

- To nie jest sen.

Właścicielka wydawnictwa również była bardzo podekscytowana, o czym świadczyły chociażby rumieńce, które pojawiały się na jej policzkach za każdym razem, gdy wypowiadała słowo „film”.

- Przecież ja piszę pod pseudonimem. I ktoś chciałby mimo to zekranizować moją książkę?

- Pani Julio, to nie ma znaczenia, że pani książka została wydana pod pseudonimem. Nie ukrywam, że to wielka sprawa dla nas wszystkich. Dla całego wydawnictwa. To pierwszy raz, kiedy ktoś chce nakręcić film na podstawie wydanej przez nas książki. Myślę, że każdy wydawca po cichu o czymś takim marzy. Autor również.

- Ale żeby ktoś chciał przenieść ją na ekran? Naprawdę?

Julia w dalszym ciągu nie dowierzała w to, co usłyszała. Upiła łyk owocowej herbaty. Smakowała wspomnieniami z dzieciństwa. Przed jej oczyma mignął niewyraźny obraz dziadków. Uśmiechnęła się. To chyba dobry znak, pomyślała.

- Pani Julio, chciałabym, żeby przyjechała pani do Warszawy i spotkała się z ludźmi odpowiedzialnymi za ten projekt. Pan Norbert Bystry, który chciałby podjąć się produkcji, jest... - kobieta zaczęła pstrykać palcami, szukając odpowiedniego określenia - jak to się mówi w młodzieżowym slangu? Bardzo napalony. I bardzo chce panią poznać. Czytał książkę i jest zachwycony. A ja od siebie mogę jeszcze dodać, że to fantastyczny mężczyzna. Inteligentny, przystojny, szarmancki...

- Czy gdybym się zgodziła, musiałabym się ujawnić? To znaczy czy moi czytelnicy dowiedzieliby się, kim naprawdę jest Anna Smile? Bo nie wiem, czy jestem na to gotowa.

- Zastanawialiśmy się nad tym i nie jest to konieczne. Uważamy nawet, że z marketingowego punktu widzenia pozostanie przy pseudonimie może nam przynieść jeszcze więcej korzyści. Oczywiście przy umiejętnym pokierowaniu całym procesem. Niech sobie pani tylko wyobrazi te hasła reklamowe: Film nakręcony na podstawie powieści pisarki, która tworzy pod pseudonimem. Film oparty na jej przeżyciach. Swoista autobiografia. - Zofia Maj wyliczała na palcach, na których pyszniły się złote pierścionki. - Ufam, że przełoży się to również na sprzedaż książek. Pani Julio, będzie pani sławna! My będziemy sławni!

- Sama nie wiem... To kuszące, ale sława nie jest mi jakoś nadzwyczajnie potrzebna...

- Taka szansa może się już nigdy więcej nie powtórzyć. Byk sam przed panią klęka i każe chwycić się za rogi. - Zofia puściła do Julii oczko. Ona miała ogromną ochotę przespacerować się po czerwonym dywanie.

- Ja wiem, ja rozumiem, ale nim podejmę decyzję, muszę o tym porozmawiać z moim mężem. Bardzo liczę się z jego opinią.

- Ile potrzebuje pani czasu? Dzień, dwa dni, tydzień? - Maj nie ukrywała, że wolałaby poznać odpowiedź już teraz, i naprawdę musiała się bardzo mocno powstrzymać przed tym, żeby powiedzieć, że tylko idiotka odrzuciłaby taką szansę.

- Może umówmy się tak, że jak tylko wrócę do domu, dam pani znać, ile potrzebuję czasu na przemyślenie tego wszystkiego. Postaram się zrobić to jak najszybciej - powiedziała Julia, czując, że

pani Zofia będzie na nią dość mocno naciskała i najchętniej zabrałaby ją ze sobą do Warszawy już dziś.

- Umówmy się tak, że daję pani tydzień na podjęcie decyzji.

Kobieta wstała. Julia zrobiła to samo. Podała sobie dłoń.

- Miło było się z panią spotkać, pani Julio. Wierzę, że nie będzie się pani bała przeżyć nowej, jakże ekscytującej przygody. Ja już czuję te emocje. Już widzę te kinowe zapowiedzi. Już liczę te dodruki pani książek.

Pożegnały się.

Julia dopiła swoją herbatę, pomiziała koty, które namolnie ocierały się o jej kostki, domagając się pieśczoć, porozmawiała chwilę z właścicielką i kwadrans przed piętnastą wyszła z kawiarni. Postanowiła, że nie będzie dzwoniła do Marka, tylko powie mu o wszystkim w domu. Do swojego samochodu szła dziarskim krokiem. Miała na sobie wielokolorowy płaszcz, który przyciągał spojrzenia. Na jej ustach gościł szeroki uśmiech, co sprawiało, że była jeszcze bardziej widoczna. Nieczęsto bowiem zdarza się, żeby ktoś, kto idzie ulicą, podśpiewywał sobie pod nosem i uśmiechał się tak, jak ona uśmiechała się w tym momencie.

Ludzie, którzy ją mijali, w zdecydowanej większości uznali, że tak musi wyglądać kobieta, która jest szczęśliwa i nie ma w życiu trosk. A jeśli nawet pojawiają się jakieś problemy, to na pewno przed momentem dowiedziała się o czymś, co wprawiło ją w doskonały nastrój i przykryło cieniem wszelkie życiowe dolegliwości. Niektórzy cieszyli się jej szczęściem, inni po cichu zazdrościli, a jeszcze inni życzyli potknięcia. I to niekoniecznie o wystającą płytę chodnikową.

Czy Julia kiedykolwiek pomyślała o tym, że któraś z jej książek mogłaby zostać zekranizowana? Oczywiście, że tak. To znaczy poza tą pierwszą, która była dla niej najbardziej osobista. I o którą, swoją drogą, właśnie się rozchodziło. Natomiast jeśli chodziło o pozostałe sześć powieści, to w marzeniach już wybierała aktorów, którzy mogliby wcielić się w role głównych bohaterów. W końcu znała ich najlepiej. W tych samych marzeniach miała również bardzo duży wpływ na scenariusz, bo – jak powszechnie wiadomo – mało która książka pokrywała się z filmem jeden do jednego. W tym momencie tylko „Zielona mila” Stephena Kinga przychodziła jej do głowy. Pamiętała, że po przeczytaniu powieści i obejrzeniu filmu była zachwycona tym, jak oba dzieła cudownie ze sobą współgrały.

Może i w tym przypadku będzie tak samo? Może jeśli zgodzi się na ekranizację, to podrzuci scenarzystom i reżyserowi taki pomysł? Może wcale nie będzie trzeba pokazywać wszystkiego? Chwilę później zawstydzila się tą myślą, uświadamiając sobie, że właśnie przed momentem postawiła się obok tak wybitnego pisarza jak Stephen King. Uznała, że ją poniosło.

- O kurczę, przecież dopiero co wyszłam z kawiarni, a już jestem w domu.

Była tak zaaferowana i w pewnym sensie również podekscytowana, że nawet nie zauważyła, że wjechała na podwórze. Auto Marka stało na podjeździe przed domem.

- Marek! - Julia zawołała go od samych drzwi. - Gdzie jesteś?

- Na górze. W łazience.

Ściągnęła płaszcz i buty i przeskakując co drugi schodek, pobiegła na górę.

- Nie uwierzysz, co się stało! - krzyknęła, kiedy wpadła do łazienki. - Ooo - powiedziała, widząc Marka, który wylegiwał się w wannie. Był to dość niecodzienny widok o tej porze dnia.

Ręce miał zaplecione za głowę, a prawą nogę przerzucił przez rant wanny. Kiedy Julia podeszła nieco bliżej, zobaczyła, że piana unosząca się na wodzie ledwo zakrywa mu biodra. Co nieco też odkrywała.

- Widzę, że zacząłeś beze mnie.

- Czekam na ciebie. - Marek wykonał dłonią zapraszający gest. - Wskakuj.

Julia potraktowała te słowa bardzo dosłownie, bo zamiast zdjąć z siebie ubrania, wpakowała się w nich do wanny i przytuliła do Marka. Położyła dłonie na twarzy męża i zbliżyła wargi do jego ust. Zassała je, potem leciutko przygryzła, żeby na końcu polizać. Uwielbiała się z nim całować.

Uwielbiała też czuć pod paznokciami jego kilkudniowy zarost. Jej biała koszula zrobiła się mokra, sztywna i bardzo mocno przylgnęła do ciała. Marek z trudem wcisnął dłonie pod materiał i zabrał się za odpinanie stanika. Julia pomogła mu go ściągnąć. Cieszyła się, że wybrała dziś bieliznę, która ma odpinane ramiączka. Niby taka mała rzecz, a cieszy.

Przez materiał koszuli można było zobaczyć zarys piersi i ciemne sutki. Marek wbił w nie swój wzrok i przełknął ślinę.

- Lubię cię taką - wyszeptał, obejmując dłońmi jej piersi.

Julia położyła dłonie na jego ramionach. Materiał jej mokrej koszuli wydał specyficzny, szeleszczący dźwięk. Marek podciągnął jej spódniczkę, cały czas patrząc w jej oczy. A potem, kiedy jego podniecona żona kompletnie się tego nie spodziewała, rozerwał jej rajstopy w kroku.

- Wiesz, ile one kosztowały, zboczeńcu?

- Wiem, bo płaciłaś za nie moją kartą.

Julia zaczęła się śmiać, uniosła pośladki, chwyciła jedną dłonią penisa, drugą z kolei odchyliła swoją bieliznę i zaczęła się powoli na niego nadziewać. Marek w tym samym momencie przymknął powieki. Było mu dobrze. Gdzie tam dobrze... Było mu doskonale i zdawał sobie sprawę z tego, że nic nie jest w stanie przebić tego uczucia, kiedy on i Julia stają się jednością. Za każdym razem, kiedy się ze sobą łączyli, jego ciało płonęło. Przeszywały je na zmianę zimne i gorące dreszcze. I nie chodziło tutaj o finalny wytrysk, tylko o to wszystko, co było przed nim. A było to doskonale uczucie.

Od ich pierwszego razu, blisko siedem lat temu, był nią nienasycony. Każde zbliżenie traktował jak coś absolutnie wyjątkowego. Ciągłe było mu mało i mało, i mało.

Biodra Julii unosiły się i opadały. Oplotła ramionami szyję Marka i zaczęła się z nim całować. Nie powstrzymywała jęków, wydając z siebie głośne pomruki. Marek oderwał od niej usta, chwycił koszulę, pociągnął w dwie strony i rozerwał, co sprawiło, że guziki wpadły do wody. Kilka potoczyło się po podłodze. Chwycił Julię za wilgotne włosy i mocno odchylił jej głowę. Kiedy tak na nią patrzył, czuł, że za moment wytryśnie. Przed oczyma cały czas miał jej piersi, które lekko falującym ruchem unosiły się i opadały. Chciał się w nie jednocześnie wgrzyźć i na nie patrzeć. Natomiast rozdarła koszula Julii więcej odkrywała, niż zakrywała.

- Dotknij swoich piersi. - Z jego ust padło polecenie.

Julia posłusznie je wykonała. Jej biodra dalej uprawiały seksualny taniec, a teraz i dłonie w niczym im nie ustępowały.

Widziała siebie oczyma Marka. Widziała kobietę z mokrymi włosami, w podartych rajstopach i rozdartej koszuli, eksponującą przed nim swoje wdzięki. Podniecała ją ta myśl. Czuliła się wyuzdana. Wiedziała, że on uwielbia ją w takim właśnie wydaniu. Patrzyła na niego i widziała ten sam wyraz twarzy co zawsze. Ale to nie była prawda. Jego oczy mówiły jej wszystko. Lśniły zawsze wtedy, kiedy był tak cholernie pobudzony. Julia uwielbiała jego podniecenie. W drugą stronę działało to identycznie.

Najpierw doszła ona, kilka sekund później spełnienie przyszło do niego. Julia opadła na Marka, a on objął ją ramionami i powiedział:

- Może tym razem się uda?

Od mniej więcej roku próbowali powołać na świat dziecko, ale jak na razie bez powodzenia. Oboje byli zdrowi, oboje mogli zostać rodzicami, więc nie bardzo rozumieli, dlaczego się nie udawało.

- Może. Aczkolwiek jeśli właśnie w tym momencie poczęliśmy dziecko, to niezły będzie z niego wariat - powiedziała Julia i pocałowała męża w szyję.

Chociaż bardzo chciała dać Markowi potomka, już dawno pogodziła się z tym, że najprawdopodobniej będzie mamą jedynaka. Po tylu próbach trudno myśleć inaczej, ale dobrze wiedziała, że on mimo wszystko nie traci nadziei.

- Albo z niej.

Marek pogłaskał ją po mokrych włosach, a potem uniosł stopę i zaczął manewrować nią przy kurku. Po chwili z kranu zaczęła lecieć ciepła woda. Julia ściągnęła z siebie krępującą ruchy mokrą

koszulę, chociaż jeszcze przed momentem wcale tak tego nie odczuwała. Potem zdjęła spódniczkę, a na koniec podarte rajstopy. Usiadła naprzeciwko Marka, podciągnęła kolana i wzięła w dłoń gąbkę.

Ich wanna była tak duża, że oboje się w niej mieścili, chociaż Marek musiał troszkę przygiąć nogi. Z kolei Julek nawet nauczył się w niej nurkować i nikogo nie dziwiło, że kiedy szedł się kąpać, zabierał ze sobą okulary i rurkę, która pomagała mu oddychać pod wodą. Mówił, że jak będzie duży, to zostanie wielorybem.

Julia przesuwała gąbką po ciele, a kiedy zobaczyła, że Marek nie spuszcza z niej wzroku, nieco dłużej namydlała swoje piersi.

- To co mi chciałaś powiedzieć? - zapytał jej.

- Że cię kocham i żyć bez ciebie nie potrafię. To po pierwsze. A po drugie... - przerwała i na chwilę spuściła wzrok, co było pewnego rodzaju pauzą. Takim przerywnikiem, który miał go jeszcze bardziej zaciekawić.

- Bo za chwilę przełożę cię przez kolano. Albo nie. Wiem, jak bardzo na to czekasz, dlatego mów, co masz do powiedzenia, bo inaczej moja dłoń nigdy więcej nie dotknie twojego pośladka.

- To bardzo nieuczciwe zagranie z twojej strony. - Julia zaczęła się śmiać, a potem chlapnęła go wodą. - Okej, już zmierzam do brzegu. Miejsce nawet ku temu sprzyja. Wyobraź sobie... wyobraź sobie, że chcę zekranizować moją książkę.

Twarz Marka oczywiście nie zdradzała żadnej reakcji, ale za to zadziało się coś innego. Przyciągnął Julię do siebie i mocno przytulił. A potem zachłannie pocałował.

- Jestem z ciebie taki dumny - powiedział, kiedy na chwilę oderwał od niej usta.

- Naprawdę? Bo ja w zasadzie jeszcze się na nic nie zgodziłam. I nie wiem, czy to zrobię.

- Dlaczego?

- Bo chodzi o pierwszą książkę. Wiesz, co mam na myśli?

Marek pokiwał głową, co znaczyło, że wie, jednak w dalszym ciągu nic nie mówił.

- Ale i tak chciałam poznać twoje zdanie.

- Moim zdaniem to naprawdę cudowna wiadomość. I nawet jeśli się nie zdecydujesz, to nikt nie odbierze ci tego, że była taka możliwość. Możesz być z siebie dumna, kochanie. Poprę każdą twoją decyzję.

- Wiesz - Julia nachyliła się w jego stronę i pogłaskała go po twarzy - czasem mam wrażenie, że to wszystko mi się tylko śni. Że ty mi się tylko śnisz. Jesteś spełnieniem moich marzeń, a nasz syn jest idealny. Mam jednak też wrażenie, że kiedyś obudzę się z tego pięknego snu i dopiero wtedy przeżyję koszmar. Czy to, że was mam, to nie za dużo szczęścia naraz?

- Każdy człowiek ma w życiu tyle szczęścia, na ile sobie pozwoli.

- Moim szczęściem jesteście wy dwaj. - Tuż po wypowiedzeniu tego zdania Julia usłyszała złowrogie miauczenie kota. Odwróciła głowę i zobaczyła Iryską, który stał w otwartych drzwiach łazienki i łypał na nią groźnie. Po raz kolejny, chyba milion ósmy, odniosła wrażenie, że ten sierściuch wszystko rozumie. Westchnęła, zaśmiała się, wskazała głową w kierunku kocura i powiedziała:

- Trzej. Chciałam powiedzieć, że moim szczęściem jesteście wy trzej.

Wtuliła się w Marka, a potem pomimo lekkiej niewygody, położyła się obok niego. On napuścił jeszcze więcej gorącej wody do wanny, a ona zaczęła opowiadać mu o rozmowie z Zofią Maj, o suszeniu włosów odkuraczem i o tym, że ktoś ukradł jej zakupy pod sklepem. Jednak w tej całej radości nie powiedziała o Cygance i jej przepowiedni...

Nie chciała psuć tej chwili.

Rozdział 4

- Mam nadzieję, że spotkanie nie potrwa długo i wrócę do domu na obiad - powiedziała Julia i przytuliła się do Marka.

Po chwili uniosła głowę i wbiła wzrok w jego usta, co sprawiło, że przyciągnął ją do siebie i zaczęli się całować.

- Jeśli w ogóle chcesz tam jechać, to musimy przestać. - Marek bardzo niechętnie odsunął ją od siebie.

Julia położyła dłoń na sercu, głęboko westchnęła, uśmiechnęła się i ruszyła w stronę auta. W międzyczasie dłoń Marka wylądowała na jej pośladku. Odwróciła się do niego, przekreśliła głowę w bardzo uroczy i zarazem seksowny sposób i powiedziała, że miałyby dziś ochotę na coś szalonego. Na przykład na seks w samochodzie. I nawet nie miałyby wtedy na sobie bielizny. I co Marek na to? Odpowiedzią było uniesienie obu kciuków. Kilkanaście minut później samochód Julii pędził autostradą w stronę stolicy.

Zofia Maj była przeszczęśliwa, kiedy Julia trzy dni po ich spotkaniu zadzwoniła do niej, żeby powiedzieć, że chciałyby umówić się z mężczyzną odpowiedzialnym za produkcję filmu. Bo chociaż początkowo była bliższa odrzuceniu tej propozycji, to jednak coś podszeptywało jej, żeby poznała człowieka, który zainteresował się tak ważną dla niej książką do tego stopnia, że chciał ją zekranizować. Marek przyznał jej rację. Podczas telefonicznej rozmowy z Zofią Maj Julia odniosła wrażenie, że jej wydawczyni umówiła to spotkanie, jeszcze zanim ona się na nie zgodziła. Ale doskonale rozumiała jej podekscytowanie, gdyż sama również była mocno zaciekawiona. Zaciekawienie to zniknęło w chwili, w której jej oczom ukazał się znak informujący o tym, że do zjazdu na Łowicz, czyli jej rodzinne miasto, pozostały trzy kilometry.

Bo co, jeśli jednak dojdzie do porozumienia i naprawdę nakręcą ten film z wszystkimi istotnymi scenami, z których jedna do dziś nie mogła wyjść z jej umysłu?

Chodziło o gwałt. Julia została zgwałcona i zaszła w ciążę. Zgwałcił ją Piotrek, jej były chłopak, który kilka tygodni później zginął w wypadku na motocyklu. Z tego, co Julia zdążyła się dowiedzieć od lekarza, który był dobrym znajomym Marka, jego serce zostało przeszczepione jakiemuś mężczyźnie. Czyli można uznać, że on gdzieś tam jeszcze żyje. Wiadomo, nie dosłownie, ale gdzieś w Polsce był ktoś, kto miał w sobie serce tego potwora. Julia swego czasu bardzo dużo o tym czytała i dowiedziała się, że przeszczepiony organ ma swoją pamięć. Że bardzo często ktoś, kto kiedyś czegoś by nie zrobił, nagle zmieniał swoje nawyki. Oczywiście były to kontrowersyjne teorie, z którymi część ludzi się zgadzała, z kolei spore grono je wyśmiewało, przez co dochodziło do wielu kłótni, bo przecież jeśli ktoś ma inne zdanie, to należy go zdyskredytować. A jak wiadomo, internet to bardzo pojemne miejsce na kłótnie i wytykanie innym ich błędów.

Julia początkowo nie wykluczała takiej możliwości i czasem, kiedy jakiś mężczyzna przyglądał się jej zbyt długo i zbyt intensywnie, zaczynała się zastanawiać, czy to nie jest przypadkiem człowiek, który był biorcą serca Piotrka i teraz chce ją skrzywdzić. Żeby nie popaść w obsesję, wmówiła sobie, że to nie może być prawdą, bo przecież nie ma możliwości, żeby serce zachowywało wspomnienia.

Tak było jej łatwiej żyć.

Teraz, gdy jechała na spotkanie do Warszawy, a umysł podpowiadał jej, że przecież gwałt odgrywał bardzo istotną rolę w książce, kto wie, czy nie najistotniejszą, zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę tego chce. Czy to jest jej potrzebne? Czy chce to znowu przeżywać?

Z jednej strony ekranizacja książki to wielkie wow. Ale z drugiej...

Postanowiła, że jak tylko przyjedzie na miejsce, zadzwoni do Marka i powie mu o swoich wątpliwościach. Przecież wcale nie musi iść na to spotkanie. Może zadzwonić do pani Zofii i powiedzieć, że natrafiła na gigantyczny korek i raczej dziś nie dojedzie. A za kilka dni zadzwoni i powie jej, że się rozmyśliła. Owszem, miała świadomość, że byłoby to spore nagięcie prawdy i pewnego rodzaju tchórzostwo.

W razie czego znajdą sobie inną książkę, którą zekranizują, pomyślała z lekkim ukłuciem żalu. I trochę też po to, żeby wytłumaczyć się sama przed sobą.

Tak właśnie zrobię, powiedziała do siebie w myślach, kiedy zaparkowała samochód nieopodal budynku wydawnictwa. Jej zdaniem była to bezpieczna odległość. W momencie, w którym chwyciła w dłoń telefon, usłyszała pukanie w szybę. Odwróciła głowę i mina jej zrzedła. Jednak nie było bezpiecznie.

- Pani Julio, jakie miłe spotkanie! - wykrzyknęła Zofia Maj, która bez pytania o zgodę otworzyła drzwi od strony kierowcy. - Kiedy jechałam taksówką, zauważyłam pani auto. To znaczy zauważyłam łódzki numer rejestracyjny, więc uznałam, że to pani, i poprosiłam kierowcę, żeby mnie tutaj wysadził. Miałam nosa.

Kobieta spojrzała na zegarek i radośnie oświadczyła, że mają jeszcze sporo czasu, nim zbiorą się pozostali, więc ona i Julia pójda się teraz napić kawy. A w związku z tym, że w dalszym ciągu nic się nie zmieniło i Julia nadal ma ogromne problemy z odmawianiem, zmuszona jest ułożyć swoje usta w uśmiech, wziąć w dłoń telefon, wrzucić go do torby i wysiąść z auta.

To, że tutaj przyjechałaś, nie znaczy, że musisz się na cokolwiek godzić, mówi sama do siebie w myślach, kiedy wraz ze szczebioczącą Zofią idzie do lobby, które znajduje się na parterze budynku wydawnictwa. Przecież możesz ich wysłuchać i powiedzieć, że musisz to jeszcze przemyśleć. Nie, uznaje Julia, patrząc na Zofię, której buzia się nie zamykała i z której w przeciągu trzech minut, jakie ze sobą spędziły, co najmniej osiem razy wypłynęły słowa takie jak „film”, „sukces”, „pieniądze”. Naprzemiennie.

Nie ma mowy, żeby ona pozwoliła mi odjechać bez wyrażenia zgody, pomyślała Julia. Nie pozostaje jej nic innego, jak westchnąć i dopić kawę.

- To co, idziemy? - Zofia klasnęła w dłonie, co sprawiło, że biżuteria, którą miała na obu nadgarstkach, zaczęła cichutko grzechotać.

Julia pokiwała głową i ruszyła za nią. Wiedziała, że kobieta ma pięćdziesiąt dwa lata, chociaż wygląda na dziesięć mniej. Wiedziała również, że pani Zofia lubi się ekstrawagancko ubierać. Prawie jak Weronika, z tą różnicą, że Malinowska kupuje ciuchy na bazarku, a pani Zofia, sądząc po garderobie, w sklepach takich marek jak Pinko, Michael Kors czy Louis Vuitton. Pani Zofia była kobietą z klasą. Pani Zofia była również kobietą, której się nie odmawia, a tu się okazuje, że Julię zaczęły dopadać coraz większe wątpliwości. Im bliżej godziny spotkania, tym bardziej żalowała, że tutaj przyjechała. Mogłam chociaż poprosić Marka, żeby mi towarzyszył, żeby trzymał mnie za rękę, żeby mnie obronił. Nie, uznała po chwili, nie mogłam. Przecież on dziś odbiera klucze od nowego gabinetu. Był taki podekscytowany.

Powinam tam z nim być, pomyślała Julia, która stała w niemałym emocjonalnym rozkroku.

- Przepraszam na chwilę - z jej ust wypłynął niepewny głos - chciałabym zadzwonić do męża.

- Mam nadzieję, że pani się nie rozmyśliła i nam nie ucieknie.

Zofia niby zaczęła się śmiać, kiedy to powiedziała, ale Julia odniosła wrażenie, że ta kobieta naprawdę tak myśli. Zapewne właśnie dlatego, kiedy Julia ponownie usiadła na krześle, Maj podeszła do drzwi, przez które tutaj weszły, i zastawiła je swoim ciałem. A potem wyciągnęła z torby telefon i zaczęła go przeglądać. Julia również wyciągnęła swój smartfon i zadzwoniła do Marka. Po dwóch sygnałach usłyszała jego głos. Zamknęła oczy i zaczęła sobie wyobrażać, że on jest obok. Że trzyma ją za rękę, przytula do siebie i szepcze do ucha, jak bardzo ją kocha.

Julia miała taką wyobraźnię, że naprawdę widziała go obok siebie.

- Marek... - wyszeptwała. Nie chciała, żeby Zofia ją usłyszała. - Chyba popełniłam błąd. Ja się boję, że jeśli oni nagrają ten film, to... to... - zamilkła, bo o ile potrafiła o tym myśleć, to te okropne słowa nie były w stanie przejść jej przez gardło.

- Skarbie... - Głos Marka sprawił, że w jej ciele zawibrowały dreszcze. To uczucie dopadało ją zawsze, kiedy go słyszała. Julia nazywała je bezkresną miłością. - Boisz się, że dopadnie cię przeszłość?

- Znasz mnie jak nikt inny - odpowiedziała mu, stukając paznokciami w stół. Kosmetyczka powiedziała jej kiedyś, że nie powinna tego robić, ale Julia tak bardzo się w tym momencie denerwowała, że nie była w stanie zapanować nad swoimi reakcjami.

- Powinnaś wiedzieć, że zawsze będę przy tobie i bez względu na to, jaką podejmiesz decyzję, będę cię wspierał. Powinnaś też wiedzieć, że dopóki nie stawisz czoła przeszłości i nie zamkniesz za sobą pewnych drzwi, one będą się otwierały. Wiesz to?

Z ust Julii wydobyło się westchnienie, a zaraz po nim słowa przesyczone kompletnym brakiem wiary w siebie i w swoje możliwości:

- Jestem do niczego.

- Jeśli tak o sobie myślisz, to jesteś.

Marek, jak to Marek, zawsze mówił to, co myślał. Nie traktował Julii ulgowo przez to, że była jego żoną.

- Kochanie - powiedział - nie musisz się na nic zgadzać. To ty decydujesz o tym, co jest dla ciebie najlepsze. Jeśli uznasz, że rezygnujesz, zrozumieć. Tylko żeby paliwo nie poszło na marne, podjedź na Stare Miasto i kup mi dziesięć paczków. Wiesz których?

- Wiem. - Julia zaczęła się śmiać i dodała: - Dam radę. Jestem tu z własnej woli. Nikt mnie do tego nie zmusił. Muszę brać odpowiedzialność za swoje decyzje. Uniosła głowę i spojrzała na Zofię, która, gdy tylko zarejestrowała, że ich oczy się spotkały, posłała Julii uśmiech i stuknęła wymownie w tarczę zegarka. Julia pokazała kobiecie dwa palce w górze. Jeszcze dwie minuty i podam się do stołu, pomyślała. Wtedy możesz mnie zeżreć.

- Potraktuj to jako kolejne doświadczenie - rzekł Marek. - Staw temu czoła. Nikt cię tam przecież nie zje. Ani do niczego nie zmusi. Mam ci przypomnieć nasze pierwsze spotkanie? Albo treść maila, którego we wzburzeniu do mnie wysmarowałaś chwilę po nim? Zachowałem go.

Julia uśmiechnęła się na wspomnienie tej wiadomości.

- Pokazałaś wtedy pazurki, więc jeśli będzie trzeba, zrób to ponownie. Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię. Pomyśl o tym za każdym razem, kiedy dopadną cię jakiegokolwiek wątpliwości. Jesteś dzielna. Wierzę w ciebie, ale najważniejsze jest to, żebyś to ty w siebie uwierzyła. I nie skazuj tego projektu z góry na porażkę. Nie bój się. To ty jesteś panią swojego losu. To ty decydujesz, na co się odważysz.

Julia nie potrzebowała już nic więcej usłyszeć. Wystarczyły jej te słowa. Powiedziała do Marka:

- Każda chwila z tobą to cudowna przygoda.

- Pani Julio! - Do jej uszu dotarł bardzo zniecierpliwiony głos Zofii Maj.

- Muszę kończyć. Kocham cię. Odezwę się później i dziękuję za wszystko.

- Pamiętaj o moich paczkach! - krzyknął Marek, co wywołało na twarzy Julii uśmiech.

Nacisnęła na czerwoną słuchawkę i przez chwilę patrzyła na zdjęcie, które miała ustawione na tapecie swojego telefonu. Ona trzymała na rękach Juliana, a Marek obejmował ich swoimi szerokimi ramionami. Był wielki i dawał poczucie bezpieczeństwa. I tak przystojnie wyglądał w koszuli.

Ja nic nie muszę, uznała, ja co najwyżej mogę. Wyłączyła dźwięki w telefonie, włożyła go do torebki i ruszyła w kierunku pani Zofii. Przeprosiła ją za tę chwilę opieszałości. Może nie czuła się jakoś turbopewna siebie, ale już było lepiej. Na tyle lepiej, że uniosła wyżej głowę. Po chwili obie wsiadły do windy, która zabrała je na piąte piętro. Po kolejnej chwili szły długim korytarzem. Po drodze minęły się z kilkoma osobami, które je pozdrowiły, uśmiechając się przy tym serdecznie. To sprawiło, że Julia uniosła głowę jeszcze wyżej. Ona i Zofia Maj zatrzymały się przed przeszklonymi drzwiami, na których widniał napis SALA KONFERENCYJNA. W pomieszczeniu siedziało trzech mężczyzn.

Zofia nacisnęła klamkę i popchnęła drzwi. Kiedy znalazły się w środku, powiedziała śpiwnym głosem:

- Bardzo przepraszamy za spóźnienie, ale nasza gwiazda miała pilną rozmowę telefoniczną. - Wskazała ręką na Julię. - Ach, ci dzisiejsi celebryci. Cóż, trzeba im wybaczyć takie małe faux pas.

Julia nie czuła się komfortowo, kiedy usłyszała te słowa, ale cały czas miała w myślach głos Marka. KOCHAM CIĘ, KOCHAM CIĘ, KOCHAM CIĘ.

- Panie Norbercie, jak miło znowu pana widzieć.

Zofia podeszła do najwyższego z mężczyzn i uśmiechnęła się do niego drapieżnie. Przywitała się z nim, całując go w policzek i zaczęła radośnie szczebiotać. Była w niego wpatrzona jak w obrazek.

Julia, która stała z boku, doszła do wniosku, że Maj ma na tego człowieka ochotę. W sumie nic dziwnego, bo to naprawdę przystojny mężczyzna. Był gładko ogolony, miał bardzo mocno zarysowaną, kwadratową szczękę, identyczną jak Marek. Miał na sobie trzyczęściowy granatowy garnitur, który nie dość, że świetnie podkreślał jego sylwetkę, to jeszcze idealnie współgrał z jego jasnymi włosami i niebieskimi oczyma.

- Dzień dobry, pani Zofio.

Mężczyzna wyglądał na zażenowanego taką zażyłością ze strony kobiety. Po przywitaniu się z właścicielką wydawnictwa przeniósł wzrok na Julię. Uśmiechnął się do niej i wyciągnął dłoń.

- Nazywam się Norbert Bystry. Bardzo miło mi panią poznać, pani Julio. - Trudno było mu oderwać wzrok od jej dwukolorowych oczu. Nie mógł też powstrzymać się od komentarza: - Teraz już wiem, skąd pomysł na heterochromię u głównej bohaterki.

- Dzień dobry. Można śmiało powiedzieć, że ta główna bohaterka to trochę ja - odpowiedziała Julia i odwzajemniła uścisk dłoni i uśmiech.

Mężczyzna przyglądał się jej bardzo intensywnie. Cały czas trzymał jej dłoń w swojej, co sprawiło, że poczuła się skrępowana tą sytuacją, ale nie bardzo wiedziała, czy ma wyrwać mu swoją rękę, czy poczekać, aż on sam ją puści. Była w trakcie zastanawiania się nad tym.

- Czy my się już kiedyś spotkaliśmy? - zapytał ją w końcu Bystry.

- Nie sądzę.

Julia miała wrażenie, że zadając to pytanie, podjął z nią próbę flirtu. Nie podobało jej się to, więc uwolniła swoją dłoń i poszła się przywitać z pozostałymi dwoma mężczyznami. Kiedy już wszyscy się z wszystkimi przywitali, kiedy zostały wymienione uprzejmości i kiedy skończyli narzekać na korki w mieście, usiedli przy stole. Julia cały czas czuła na sobie spojrzenie mężczyzny.

Było intensywne, przeciągłe, w pewien sposób natarczywe i ciekawskie.

- Bardzo dziękuję za to, że zechciała pani poświęcić nam swój czas - powiedział, a że patrzył się cały czas na nią, nie było najmniejszych wątpliwości, do kogo kierował te słowa. - Moja siostra przeczytała pani książkę i przez pół roku namawiała mnie, żebym zrobił to samo. Uznała, że to świetny materiał na scenariusz. Cóż, biorąc pod uwagę to, że ona jest ode mnie młodsza o blisko dwadzieścia lat, doszedłem do wniosku, że nasze gusta znacznie się od siebie różnią, więc podziękowałem jej. Podeszła mnie jednak chytrze, bo przegrałem zakład.

Na te słowa dwaj mężczyźni, którzy towarzyszyli Bystremu, zaczęli się śmiać. On również się uśmiechnął.

- W ramach spłaty długu musiałem przeczytać pani książkę. I przyznam, że mile mnie zaskoczyła.

- Tak mile, że teraz tu siedzimy - wtrąciła Zofia, która siedziała obok Norberta. Patrzyła na niego z prawdziwym zachwytem.

- Tak, dokładnie tak, pani Zofio - odpowiedział, nie zaszczycając jej spojrzeniem. Jego wzrok wciąż utkwiony był w siedzącej naprzeciwko Julii. - Wiem, że odbiegam od tematu i się powtarzam, ale cały czas mam wrażenie, że my się znamy. Bywała pani w stolicy?

- Ja i mój mąż byliśmy tutaj kilka razy, jednak spędzaliśmy ten czas tylko w swoim towarzystwie. - Wzmianka o mężu była celowa i zdecydowanie zapobiegawcza.

- To pewnie mi pani kogoś przypomina, tylko nie pamiętam kogo. Chociaż jestem pewien, że gdybym poznał kobietę, która ma takie oczy jak pani, zapamiętałbym ją bardzo dobrze.

W dalszej części rozmowy Bystry poruszył temat finansów, praw autorskich i wielu innych rzeczy, które przyprawiły Julię o zawrót głowy.

- Czy odpowiadają pani nasze warunki? - zapytał, podsuwając jej dość opasłą umowę. - Czy potrzebuje pani jeszcze kilku dni do namysłu?

- Myślę, że pani Julia jest już zdecydowana - wtrąciła się Zofia. - Ta umowa to tylko formalność.

Julia spojrzała na Zofię, potem na papiery i była, delikatnie mówiąc, przerażona ich objętością. I na pewno nie uważała, że złożenie podpisu to tylko formalność.

- A ma pan może streszczenie tej umowy? Albo chociaż audiobooka? - zapytała Bystrego.

Zaczął się śmiać, podobnie jak jego dwaj koledzy. Zofia prychnęła. Strasznie irytowało ją to, że taka prostaczka bez gustu, bo właśnie tak myślała w tym momencie o Julii, tak bardzo przykuła uwagę Bystrego. Gdyby nie to, że zarobiła na niej mnóstwo pieniędzy, już dawno przestałaby wydawać jej książki, które zdaniem Zofii miały w sobie tyle wartości co wyschnięta kałuża. No ale ludzie je czytali, więc nie będzie przecież zarzynana kury, która znosi złote jaja. Jej myśli przerwało pukanie do drzwi. W pomieszczeniu pojawiła się jedna z pracownic wydawnictwa, a wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę.

- Tak? - zapytała ją Maj. - O co chodzi?

- Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam, ale mam wiadomość dla pani Julii. Dzwonił pani mąż i prosił o kontakt. Mówił, że to bardzo pilne.

Oczy zebranych w sali konferencyjnej zostały skierowane na Julię, która włożyła dłoń do torby, żeby wyjąć z niej telefon. Dziesięć nieodebranych połączeń od Marka. I kilka z przedszkola... Zaczął ją boleć brzuch, a w jej głowie pojawiły się najgorsze z możliwych scenariusze.

Julek miał wypadek. Julek jest chory. Julek nie żyje.

Oddzwoniła, ale numer Marka był zajęty. Przedszkolny natomiast nie odpowiadał.

- Zajęte - powiedziała, chociaż przecież nikt z obecnych na sali jej o to nie zapytał.

- W takim razie może pani zacząć się zapoznawać z umową, pani Julio - wtrąciła Zofia, która chciała, żeby to spotkanie dobiegło już końca, ponieważ mogłaby wtedy zaprosić Bystrego na kawę. A może i nawet na wieczornego drinka.

- Proszę się nie śpieszyć. Nie musimy dziś o niczym decydować - powiedział Bystry. - Mam nadzieję, że to nic poważnego. - Wskazał głową na jej telefon.

- Też mam taką... - Julia nie skończyła swojej wypowiedzi, bo jej telefon zaczął ponownie dzwonić. Odebrała, jednak nie zdążyła o nic zapytać, bo pierwszy odezwał się Marek.

- Julek jest w szpitalu.

- Jak to w szpitalu? Co się stało?

- Przewrócił się, gdy całą grupą byli na placu zabaw. Jego wychowawczynie powiedziała, że od samego rana skarżył się na ból głowy. Badają go teraz. Nic nie wiem. Kazali mi czekać.

- Już... już jadę...

Julia skończyła rozmowę i chciała włożyć telefon do torby, jednak jej dłonie tak się trzęsły, że smartfon upadł na podłogę. Schyliła się, żeby go podnieść. Musiała też na moment zamknąć powieki. Czuła, jak jej tyłek opadł na dywan. Usłyszała, jak ktoś coś mówił, ale nie docierał do niej sens tych słów. Po chwili otworzyła powieki. Obrazy przed jej oczyma były bardzo niewyraźne, a ból brzucha, który poczuła, gdy zobaczyła liczbę nieodebranych połączeń w swoim telefonie, jeszcze się nasilił. Miała też problemy z oddychaniem. Czuła również, że zaczyna jej się kręcić w głowie i miała wrażenie, że chyba za moment zemdleje. Do jasnej cholery, nie miała prawa zemdleć. Musiała wracać do domu. Syn jej potrzebował.

- Pani Julio, słyszy mnie pani?

Kiwnęła głową, że tak, że słyszy. Zaczęła też lepiej widzieć, chociaż potrzebowała jeszcze chwili, żeby jej wzrok się wyostriżył. Obok niej kucali wszyscy mężczyźni, którzy byli w pomieszczeniu. Zofia Maj stała nieco dalej i trzymała w dłoni szklanekę z wodą. Wyglądała na przejętą.

- Ja... ja muszę jechać do syna... on... jest w szpitalu.

Julia patrzyła na zebrane wokół niej twarze i wybuchła płaczem.

- Gdzie w szpitalu? - padło pytanie.

Odpowiedziała, że w Łodzi. Nim się zorientowała, ktoś ją podniósł i zapytał, gdzie ma kluczyki od samochodu. Powiedziała, że w torbie. Chwilę później ktoś chwycił ją pod rękę i prowadził przed siebie. Wsiedli do windy, a potem Julia została wsadzona do samochodu.

Auto ruszyło, ale to nie ona prowadziła.

Rozdział 5

Ledwo samochód podejżdża pod szpitalny parking, Julia z niego wyskakuje i zaczyna biec przed siebie. Kiedy przebiega przez ulicę, wpada z impetem w przechodzącego przez pasy mężczyznę, co sprawia, że oboje na chwilę się zatrzymują.

- Nic pani nie jest? - pyta jej ten człowiek.

I chociaż to ona zawiniła, on nie ma jej tego za złe, bo widzi, że jest roztrzęsiona, a że znajdują się nieopodal szpitala, mężczyzna dopowiada sobie dalszy ciąg historii. W jego umyśle jest on smutny.

Julia przez chwilę patrzy na tego człowieka, a potem odwraca się i ponownie biegnie przed siebie. Wie, że powinna go przeprosić, ale nie ma na to czasu. Biegnie tam, gdzie czeka na nią Marek. Nie pamięta, kiedy ostatnio tak szybko biegła. Chyba w piątej klasie szkoły podstawowej. Mija samochody, ludzi, potyka się na schodach i w końcu wpada do budynku pediatrycznego. To duży szpital. Największy w Łodzi. Nietrudno się tutaj pogubić, więc kiedy w trakcie jazdy rozmawia z Markiem, on powtarza jej kilka razy, gdzie będzie na nią czekał. Prosi ją również o to, żeby nie tworzyła sobie w głowie niepotrzebnych scenariuszy, bo może się skończyć tylko na strachu.

Ale Julia się martwi. To jest jej dziecko. Jej syn. Jak ma się nie martwić? No jak? Martwi się tak bardzo, że przez całą drogę z Warszawy do Łodzi myślała o najgorszym. Kiedy wbiega do izby przyjęć, rozgląda się wokół, aż w końcu dostrzega siedzącą nieopodal postać. Chociaż głowa mężczyzny jest pochylona, Julia z daleka rozpoznaje Marka. Rusza w jego kierunku. Po zrobieniu dziesięciu kroków przystaje, bo uświadamia sobie, że boi się wykonać kolejne i usłyszeć coś, czego nie chciałaby usłyszeć żadna matka.

Że jej dziecko jest nieuleczalnie chore.

Że umiera.

Albo już umarło.

Stoi więc w miejscu, patrzy przed siebie i się nie rusza. Docierają do niej szpitalne odgłosy. Ktoś pyta kogoś o drogę na oddział dziecięcej laryngologii, ktoś inny pyta o lekarza okulistę, tylko zapomniał jego nazwiska. Julia słyszy też, jak jakiś mężczyzna, który przechodzi obok niej, mówi do kobiety, prawdopodobnie swojej żony, że jak tak dalej pójdzie, to spędzą tutaj ze swoim dzieckiem cały dzień.

A co robi w tym czasie Julia?

Boi się. Boi się tak, jak jeszcze nigdy w swoim życiu się nie bała. Strach ją sparaliżował i szepcze jej do ucha okropne rzeczy. Strach uwielbia przejmować kontrolę nad ludźmi, mieszać im w głowach i sprawiać, że ich pewność siebie przestaje istnieć. Strach jest nieobliczalny.

- Proszę nie tarasować przejścia. Proszę pani? Słyszysz mnie pani?

Julia odwraca głowę i widzi ubraną w biały strój kobietę, która do niej mówi.

- Proszę się odsunąć i pozwolić innym przejść. - Głos pielęgniarki jest beznamiętny, ale też spokojny, przyzwyczajony do tego, że co chwilę musi zwracać uwagę ludziom, którzy kręcą się po szpitalnym korytarzu i go tarasują.

Julia przytula się do ściany i ponownie patrzy na Marka. On musiał ją już dostrzec, bo zmierza w jej kierunku. Jego mina jest nieodgadniona. Jak zwykle. Julia po raz pierwszy w życiu nienawidzi jego wyrazu twarzy, bo nie wie, co się dzieje. Po raz pierwszy chciałaby móc na niego spojrzeć i wszystko wiedzieć. W jej mniemaniu Marek jest w tym momencie tak bardzo, bardzo bezużyteczny.

Jest przerażona własnymi myślami.

Marek chce przygarnąć ją do siebie, ale ona mu na to nie pozwala. Łapie za materiał jego koszuli, szarpie go i pyta:

- Co z nim? Gdzie on jest?

- Widziałem go. Sytuacja jest już opanowana. Pytał o ciebie, a teraz śpi. Był bardzo dzielny. Pani doktor, która się nim zajmuje, za chwilę poprosi nas do gabinetu - mówi Marek, a potem obejmuje ją i przyciąga do siebie.

Tym razem Julia nie protestuje, tylko opiera głowę na piersi męża. Potrzebowała tego bardzo. Wyrzuca sobie, że jeszcze przed momentem wzbraniała się przed jego dotykiem i myślała o nim w kategorii bezużyteczności. Jest jej wstyd.

- Czy mogę go zobaczyć? - pyta.

- Za chwilę. Najpierw mamy się spotkać z panią doktor.

Marek opiera brodę na jej głowie, głaszcze ją po plecach i szepcze do ucha słowa pełne otuchy. I chociaż sam pełen jest strachu o Juliana, to wie, że nie może go okazać przy Julii. Obejmuje ją ramieniem i prowadzi pod gabinet, do którego zostaną zaproszeni na rozmowę. Siadają na krzesłach i czekają na swoją kolej. Poza nimi są tam też inni rodzice. Julia widzi ich zmęczone twarze i przekrwione oczy. Widzi strach, który im towarzyszy.

Wtula się w Marka.

Nie chcę tutaj być, bo to oznacza, że z moim dzieckiem dzieje się coś niedobrego. Dobry Boże, spraw, żeby to był sen! Błagam cię! Ja chcę się obudzić!

- Muszę go zobaczyć - mówi do Marka. - Muszę go jak najszybciej zobaczyć.

On w odpowiedzi przytula ją do siebie i mówi, że na pewno za chwilę do niego pójdą. Z jego głosu wybrzmiewa pewność siebie, więc Julia mu wierzy. A raczej chce mu wierzyć. Przymyka powieki i próbuje uspokoić oddech. Będzie dobrze, powtarza sobie w myślach, na pewno będzie dobrze.

- Kocham cię - szepcze do Marka. - Tak bardzo cię kocham.

Marek odpowiada jej szeptem, że również ją kocha. Mówi też, że na pewno niedługo dowiedzą się wszystkiego. Julia kiwa głową i żeby nie myśleć o tym, ile jeszcze przyjdzie im czekać na wezwanie do gabinetu, kreśli palcem na dłoni Marka uśmiechnięte buźki. To ją w pewien sposób uspokaja.

- Dzień dobry. - Nad ich głowami rozlega się męski głos. - Nazywam się Norbert Bystry. - Mężczyzna podaje Markowi dłoń i mówi: - To ja przywiozłem pana żonę z Warszawy. Moi współpracownicy zaopiekowali się samochodem pani Julii. Stoi na parkingu przed szpitalem. Kluczyki są tutaj. - Kładzie torebkę na krzesło i mówi, że opuszczając w pośpiechu jego auto, zapomniała ją ze sobą zabrać.

Marek wiedział, że Julia nie była w stanie sama kierować i ten człowiek ją tutaj przywiózł. Jest mu wielce zobowiązany, tylko że w tym momencie trudno mu wyrazić to w więcej niż jednym słowie.

- Dziękuję - mówi.

- Nie ma o czym mówić. - Bystry na chwilę milknie, ale sprawia wrażenie, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, tylko nie bardzo wie, czy wypada to zrobić, czy może lepiej się pożegnać i sobie stąd pójść. W końcu mówi coś zupełnie innego, niż początkowo zamierzał: - Będzie dobrze. Proszę być dobrej myśli.

Marek patrzy na niego i kiwa głową. Czy wierzy w jego słowa? Nie jest w tym momencie w stanie skupić się na tyle, żeby odpowiedzieć sobie na to pytanie. Bardzo chce, żeby było dobrze, ale przecież może się okazać, że wcale tak nie będzie. Że będzie źle, bardzo źle. Jednak doskonale zna mechanizm pocieszania, kiedy to ludzie, którzy pojęcia nie mają, czy będzie dobrze, czy jednak wszystko się sknoci, zawsze mówią, że jakoś się ułoży.

Bo tak trzeba mówić. Bo tak wypada.

- Pani Julio, będzie dobrze. - Bystry mówi do Julii to samo, co przed chwilą powiedział do Marka i co ona, wielce prawdopodobne, na pewno słyszała. Julia w odpowiedzi potakuje głową. Tak bardzo chce, żeby te słowa okazały się prawdziwe. Jednak nie jest w stanie nic powiedzieć.

Bystry żegna się, wychodzi ze szpitala i wsiada do samochodu. W środku czekają jego dwaj współpracownicy.

- Przykra sytuacja - mówi jeden z nich. - Mam nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

On również powiela schemat, ale przecież nie ma się co dziwić. Wszak kto chce, żeby innym ludziom działa się krzywda? Chyba tylko ktoś pozbawiony uczuć.

- Ja to zawsze powtarzam, że życie pisze najlepsze scenariusze - dopowiada drugi, który swoją drogą zajmuje się tworzeniem scenariuszy do filmów i seriali.

- Albo najgorsze – odpowiada mu Norbert.

Patrzy przez chwilę na budynek szpitala.

W chwili, gdy jego samochód włącza się do ulicznego ruchu, Julia i Marek są proszeni o wejście do gabinetu. Pani doktor wskazuje im miejsca naprzeciwko swojego biurka. Kobieta ma krótkie, jasne włosy, zielone oczy i sporo pieprzyków na twarzy. Na nosie okulary w złotych oprawkach. Wygląda na pięćdziesiąt lat. Ma też miłe oblicze, a w jej oczach można wyczytać, że widziała już naprawdę wiele. Wzbudza zaufanie. Kiedy Julia i Marek czekają na to, co ma im do powiedzenia, ona zdejmuje z oczu okulary, odkłada je na biurko i przeciera powieki. To jest ten moment, którego lekarz dziecięcy najbardziej nie lubi, ponieważ musi powiedzieć rodzicom, że życie ich dziecka wisi na włosku. I nieważne, w jak delikatnych słowach informacje te zostaną przekazane. I tak będą brzmiały jak wyrok.

Kobieta uśmiecha się i wzdycha, a Marek już wie. Wie, że to, co za moment usłyszą, nie będzie dobrą wiadomością i na zawsze zmieni ich życie. Boi się, chociaż przecież wcale tego po nim nie widać. Żaden mięsień na jego twarzy nawet nie drgnie.

- Bardzo mi przykro, ale nie mam dla państwa dobrych wiadomości – mówi w końcu lekarka. -

Wasz syn miał mikroudar. Istotne jest to, że trafił do nas bardzo szybko, dzięki czemu mogliśmy podać mu lek, który rozpuszcza skrzeplinę mogącą prowadzić do zatoru. Sytuacja jest już na szczęście opanowana.

- Czyli już wszystko dobrze? – pyta Julia z nadzieją w głosie. - Kiedy będziemy mogli go zobaczyć? Kiedy będziemy mogli zabrać go do domu?

Kobieta patrzy na nią i kręci głową. Najgorsze dopiero nadejdzie.

- W trakcie badań wykryliśmy u Juliana szmer sercowy. Na podstawie objawów klinicznych, obrazu echokardiograficznego oraz rezonansu postawiliśmy wstępną diagnozę. Podejrzewamy kardiomiopatię restrykcyjną. - Lekarka stara się mówić tak, aby rodzice ją zrozumieli, chociaż ma świadomość, że są w takim szoku, że ledwo docierają do nich jej słowa. I prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu usłyszeli określenie „kardiomiopatia”. - Chociaż na pierwszy rzut oka wydaje się, że z kurczliwością serca oraz jego rytmem jest wszystko w porządku, to sztywność ścian jamy sercowej uniemożliwia właściwe napełnianie jej krwią. Przyczynia się to do tego, że jej przepływ w tym organie jest o wiele mniejszy, aniżeli powinien. Co za tym idzie, również mniejsza ilość krwi napełnia komory. Może to powodować niewydolność serca. To choroba wrodzona, uwarunkowana genetycznie. Ale może być również nabyta, najczęściej w wyniku infekcji.

- Ale można to wyleczyć? Można, prawda?

Julia skupia całą swoją uwagę na ustach lekarki. Chce, aby wypłynęło z nich słowo „TAK”. Chce, aby ta miła pani doktor powiedziała, że wyleczy Juliana. Bo na pewno potrafi to zrobić. Wygląda na kogoś, kto potrafi.

Nic takiego się jednak nie dzieje. Kobieta ponownie kręci głową.

- Ta wada jest nieoperacyjna. Natomiast leczenie farmakologiczne jest możliwe tylko do pewnego momentu.

- Jak to do pewnego momentu? A co potem? – pyta ją Julia.

Marek cały czas milczy.

- Miejmy nadzieję, że do czasu przeszczepu wasz syn będzie mógł funkcjonować bez mechanicznego wspomagania serca. Miejmy nadzieję, że nie będziecie musieli długo czekać...

- Wspomaganie serca? Przeszczepu? – Julia jej przerywa. Patrzy na Marka, a potem znowu na lekarkę. - O czym pani mówi? Ja nie rozumiem. Może pani mówić jaśniej?

- Jeśli potwierdzą się nasze przypuszczenia, wasz synek będzie potrzebował przeszczepu.

- Przeszczepu? Przeszczepu czego? – pyta ponownie Julia.

- Serca.

- Serca? – powtarza za lekarką, a potem patrzy na Marka z niedowierzaniem. Ponownie kieruje swój wzrok na lekarkę. Ta kobieta już nie wydaje się jej taka miła jak jeszcze kilka chwil temu. Mówi: -

Musiała nastąpić pomyłka. On nie jest chory. Nawet rzadko kiedy bywał przeziębiony. To zdrowe dziecko. Uwielbia grać w piłkę, jeździć na rowerze i wspinać się na drzewa. I pani mi mówi, że mój syn jest chory? Że potrzebuje przeszczepu serca? Pani się myli!

U Julii następuje klasyczne wyparcie. Zrywa się z krzesła i zaczyna chodzić po gabinecie. Pomieszczenie jest tak małe, że robi dwa kroki w przód i wraca. Kilka razy przemierza je w ten sposób, aż w końcu ponownie staje naprzeciwko biurka, wymierza palec w panią doktor i mówi:

- To nie jest możliwe. Nasz syn jest zdrowy. - Jej głos jest bardzo stanowczy. Zupełnie jakby w taki sposób chciała przekonać lekarkę do swoich racji.

- Bardzo mi przykro, ale nie jest - mówi pani doktor. - Ja rozumiem, że to dla państwa szok.

- Powtarzam po raz kolejny, że nasz syn jest zdrowy! - Julia unosi głos. - Kiedy większość dzieci chodziło do przedszkola z gilem do pasa, on nie miał nawet kataru! W ciągu sześciu lat swojego życia był przeziębiony może trzy razy. Może cztery. Marek! - Spogląda na męża. - Powiedz, że to, co mówię, jest prawdą!

Marek milczy, bo czuje, że lekarka się nie myli. Patrzy na siedzącą po drugiej stronie biurka kobietę, a potem na Julię. Wyciąga do niej dłoń, chce, aby byli teraz blisko siebie, jednak ona go odtrąca.

- Ja rozumiem, że nie było żadnych objawów. Niestety, to, co teraz powiem, może zabrzmieć wręcz niewiarygodnie, ale bardzo często chory przez całe swoje życie nie ma pojęcia, że ma wadę serca. Czy ktoś w rodzinie pani albo pani męża chorował na serce? - pyta lekarka. - Schorzenia genetyczne mięśnia sercowego występują bardzo rzadko, ale mogą być dziedziczne. Dodatkowo, tak jak wspominałam wcześniej, niektóre wady wrodzone bardzo długo nie dają żadnych objawów klinicznych i często są wykrywane dopiero u dorosłych.

- W mojej rodzinie nie było takich przypadków - mówi Julia, a potem patrzy na Marka i nagle czuje, jak oblewa ją zimny pot, a w brzuchu zaczynają pełzać okropne robale. Pełzną w stronę przełyku.

Julia musi usiąść. Nie jest w stanie wydusić z siebie nawet jednego słowa. Opada na krzesło, zaciska mocno pięści i patrzy przed siebie.

- A w pana rodzinie? - Pani doktor zwraca się do Marka.

- Julian nie jest moim biologicznym dzieckiem. - On odzywa się po raz pierwszy, odkąd weszli do gabinetu.

- Ojciec Juliana musiał mieć zdrowe serce - mówi nagle Julia. - Zginął w wypadku motocyklowym i wiem, że jego serce zostało przeszczepione. Czyli musiało być zdrowe.

- Tak, musiało być zdrowe - mówi lekarka. - Niemniej to niczego nie wyklucza i warto się dowiedzieć, czy w jego rodzinie nie występowały wady serca. Państwa synek zostanie u nas na obserwacji. Gdybyście chcieli porozmawiać z psychologiem, jest do waszej dyspozycji.

- Czy możemy go zobaczyć? - pyta Marek, a potem dopowiada: - Naszego syna, nie psychologa.

- Oczywiście. Rodzic może również z nim zostać. To bardzo ważne, żeby dziecko miało poczucie bezpieczeństwa, kiedy jest w szpitalu.

Podczas gdy Marek rozmawia z lekarką, Julia patrzy przed siebie. Nie dociera do niej nic z rozmowy, która toczy się tuż obok niej. Zupełnie jakby odbywała się w innym pomieszczeniu. Albo nawet na innej planecie. Jej wzrok wbity jest w znajdującą się za plecami lekarki szybę. Na kłamec okna zawieszona jest plastikowe serce. Nagle Julii przychodzi do głowy pewna myśl, która jest zarazem pytaniem. Zadaje je.

- A to serce, pani doktor, jeśli naprawdę potrzebny będzie przeszczep, to ono będzie sztuczne, tak? Wy je zbudujecie, tak? Jest taka możliwość?

Kobieta ponownie wykonuje przeczący ruch głową i mówi:

- Serce musi pochodzić od innego dziecka.

- Czyli... czyli żeby moje dziecko mogło żyć, inne musi umrzeć?

Tym razem głowa pani doktor potakuje, a Julia momentalnie przypomina sobie o Cygance, która wróżyła jej z ręki. Jeśli do tej pory uważała, że dzień, w którym została zgwałcona, był najgorszym dniem w jej życiu, to właśnie zmieniła zdanie.

To jest najgorszy dzień w jej życiu.

Rozdział 6

Julia i jej syn spędzili w szpitalu trzy tygodnie.

Marek nie był w stanie przekonać żony do tego, żeby ją zastąpił, a ona mogłaby chociaż na jedną noc pojechać do domu, odpocząć i przespać się we własnym łóżku. Jedyne, na co się zgodziła, to kilka godzin zamiany, kiedy to on zostawał w szpitalu, a ona jechała do domu, żeby wziąć prysznic i się przebrać.

W ciągu tego czasu wzmocniono organizm chłopca oraz wykonano szereg badań, które tylko potwierdziły wstępną diagnozę. Kardiomiopatia restrykcyjna. Jediną szansą okazał się przeszczep serca. Opiekująca się Julianem pani doktor poinformowała, że cała jego dokumentacja została wysłana do Poltransplantu, czyli ośrodka, który kwalifikuje do przeszczepu. Teraz pozostało tylko czekać na informację, czy Julian spełnia warunki.

Kiedy zszokowani Julia i Marek wyszli z gabinetu lekarki i weszli do sali, w której leżał ich syn, nie byli w stanie wydobyć z siebie słowa. Julek spał. Był blady, można nawet powiedzieć, że jego cera zrobiła się ziemista. Miał podkrążone oczy, a w posiniaczonej rączce tkwił wenflon. Julia podeszła do niego i położyła dłoń na jego czuprynce. Nawet zagryzienie warg nie powstrzymało jej przed wybuchnięciem płaczem. Widok chorego dziecka, które leży na szpitalnym łóżku, niewątpliwie jest w stanie doprowadzić do łez największego twardziela. Julia aż taką twardzielką nie była. Zakryła usta ręką, żeby zdusić szloch. Nie chciała przerywać swojemu dziecku snu. Marek z kolei ostatnim razem płakał na sali porodowej, gdy pielęgniarka podała mu cichutko kwilącego noworodka. W chwili, w której przytulił do siebie to maleństwo, zrozumiał, że gotów jest oddać za nie życie.

Gdyby to było takie proste, zrobiłbym to bez wahania, pomyślał, patrząc na śpiącego syna.

- To nie może być prawda. - Do uszu Marka dociera szept Julii, która zacisnęła palce na barierce okalającej szpitalne łóżko. - To nie może być prawda. Boże, błagam, spraw, żeby to była pomyłka. Spraw, żeby on nie był tak ciężko chory. Żeby dorósł. Żeby miał własne dzieci. Błagam...

Odwraca się w stronę Marka. To, co widzi, wprawia ją w konsternację. Przecież Marek nie płacze. Przecież jej mąż to największy twardziel, jakiego ona zna. Coś szepcze jej do ucha, żeby zrobiła krok do przodu i przytuliła się do niego, bo on bardzo tego teraz potrzebuje. Coś również powstrzymuje ją przed zrobieniem tego kroku. Dociera jednak do niej, że w tym wszystkim nie tylko ona cierpi, ale i on. Dociera też to, że jego kamienna twarz nie chroni go przed emocjami, które w nim buzują.

- Jedź do domu i przywieź nam kilka rzeczy. Mój dres, kosmetyki, piżamkę małego. I jego ulubionego misia - mówi po chwili.

- Ja też mogę z nim zostać. To również mój syn.

- Marek... - Spojrzenie Julii jest pełne determinacji. Podobnie jak jej głos. - Ja z nim zostanę. Chciałabym też, żebyś coś zrobił. Chciałabym, żebyś odnalazł... żebyś odnalazł matkę... Piotrkę. - Wypowiedzenie tego imienia na głos kosztuje ją wiele siły.

- Jesteś tego pewna?

- Powinniśmy się dowiedzieć, czy ktoś w jego rodzinie chorował na serce. Nawet lekarka jest tego samego zdania.

- Ale lekarka nie wie o wszystkim - mówi Marek.

- Proszę cię o to.

- Czy ty chcesz, żebym pojawił się w życiu tej obcej dla nas kobiety i powiedział jej, że ma sześćioletniego wnuka? Zdajesz sobie sprawę z konsekwencji tej decyzji? Julia, to może zwalić nam na głowę dodatkowe, niepotrzebne teraz problemy. Mamy się czym martwić.

- Marek, proszę, żebyś to zrobił - powtarza po raz kolejny.

Marek patrzy na swoją żonę i dochodzi do wniosku, że ona w tym momencie nie myśli do końca logicznie, więc uznaje, że nie należy drążyć tematu. Będzie jeszcze czas, żeby wrócić do tej rozmowy. Podchodzi do śpiącego Juliana, nachyla się nad nim i go całuje. Przez chwilę trzyma swoją dłoń na jego drobnej twarzyczce. Przecież zaledwie kilka dni temu grali w piłkę w salonie, łaskotali mamę

i naprawiali razem rowery. A teraz jego syn jest tak bardzo chory, on z kolei nie może zrobić nic, żeby ulżyć mu w cierpieniu.

Wychodzi z pokoju.

Julia, która zostaje w sali, przysuwa do łóżka stojące przy ścianie krzesło i na nim siada. Patrzy na śpiące dziecko, wsłuchuje się w jego oddech i w międzyczasie ściera łzy ze swojej twarzy. A kiedy jej bezradność staje się wręcz bolesna, sięga po telefon. Dźwięki były cały czas wyłączone, więc nawet nie słyszała, że ktoś się do niej dobijał. Miała trzy nieodebrane połączenia od Zofii Maj. Była również wiadomość od niej. Pisała, że strasznie jej przykro z powodu zaistniałej sytuacji, ale ma nadzieję, że już jest dobrze i więcej było strachu niż to wszystko warte. I bardzo prosi Julię o to, żeby podała jej możliwie najszybszy termin kolejnego spotkania.

Są też SMS-y od Weroniki i od Marii, mamy Marka. To on musiał poinformować je o tym, że Julian trafił do szpitala. Dwie najcudowniejsze na świecie przyszywane babcie pytają, czy już coś wiadomo i czy mogą jakoś pomóc. Julia odpisuje im tylko, że jeszcze czekają na badania i jak będzie wiedziała coś więcej, da znać. Pomimo całej sympatii i miłości, jaką żywi do tych kobiet, nie jest w stanie zmusić się teraz do rozmowy z nimi. Wiadomość od Zofii ignoruje. Ekranizacja książki to ostatnia rzecz, o jakiej może i chce teraz myśleć. Jej palce poruszają się po ekranie telefonu. W wyszukiwarkę wpisuje hasła takie jak „przeszczep serca u dziecka”, „wada serca”, „kardiomiopatia”.

Im więcej czyta, tym większe ogarnia ją przerażenie.

Do dzisiejszego dnia Julia nie miała pojęcia, że transplantacja narządów wśród dzieci w Polsce praktycznie nie istnieje. Wyczytała, że w latach 2015–2017 w kraju przeprowadzono raptem osiemnaście przeszczepów serca u dzieci, które nie osiągnęły pełnoletniości. I tylko jedno z nich miało mniej niż trzy latka.

- To nie może być prawda - szepcze sama do siebie, kiedy uświadamia sobie, że te statystyki wskazują również na śmiertelność wśród tych, którzy oczekują na przeszczep.

Czyta dalej i dowiaduje się, że zarówno w Polsce, jak i na całym świecie wykonuje się o wiele mniej przeszczepów serc u dzieci niż u dorosłych, a wynika to z tego, że dawców dziecięcych jest naprawdę bardzo mało. Są nimi zazwyczaj dzieci po ciężkich urazach czaszkowo-mózgowych oraz te, które były ofiarami tragicznych wypadków komunikacyjnych. Dawcą dla małego dziecka może być tylko inne małe dziecko, z odpowiednio zgodną grupą krwi i zbliżoną wagą, co jest dla niej przerażające. Jednak najistotniejsze jest to, że w dalszym ciągu mnóstwo rodzin nie wyraża zgody na oddanie narządów swojego dziecka, przez co tak wielu małych pacjentów oczekuje w bólu na coś, co tak naprawdę może nigdy nie nadejść. Częściej bowiem dochodzi do śmierci z powodu powikłań niż do przeszczepu nowego serca, a brutalna prawda jest taka, że kiedy umiera jeden mały pacjent, zwalnia swoje łóżko kolejnemu. Niektóre dzieci czekają wiele miesięcy, a nawet i lat, a i tak nie dostają szansy na nowe życie.

Średni czas oczekiwania dziecka na przeszczep wynosi w Polsce ponad czterysta pięćdziesiąt dni. To o wiele więcej niż u dorosłych. Pomimo tego, że w kraju jest mnóstwo świetnych specjalistów, pomimo tego, że sale operacyjne wyposażone są w sprzęt najwyższej jakości, świadomość społeczna w dalszym ciągu jest bardzo niska, a system nie bardzo kwapi się do tego, aby ją zwiększać. Mało kto wie, że jedno życie może uratować nawet osiem innych. Przeszczepia się serce, płuca, trzustkę, wątrobę, rogowki, nerki. Niestety, statystyki są nieubłagane i pokazują, że z biegiem lat liczba biorców rośnie, natomiast dawców maleje. Pociuszające było to, że są rodzice, którzy nawet w obliczu tak wielkiej tragedii jak śmierć ukochanego dziecka są w stanie sami dopominać się o pobranie od niego narządów, w taki sposób chcąc odnaleźć sens w swojej stracie.

Są jednak również tacy, którzy nie dopuszczają do siebie myśli, że ich dziecko może zostać dawcą. Nawet wtedy, gdy leży podłączone do urządzeń, które sztucznie podtrzymują je przy życiu, a śmierć mózgu została potwierdzona przez lekarzy, uważają, że da się je jeszcze uratować. Bo ono przecież oddycha. Przecież na własne oczy widzą, jak klatka piersiowa ich dziecka raz się unosi, a raz opada, więc o żadnej śmierci mózgu nie może być mowy.

Julia odkłada telefon, ponieważ nie jest w stanie dłużej czytać tego wszystkiego. Patrzy na syna, myśląc o tym, że życie jednego dziecka może uratować tylko śmierć innego. Albo czekanie na cud.

A gdybym to ja miała zdecydować o tym, czy organy mojego syna uratują komuś życie?

Czy zgodziłabym się na to?

Czy byłabym w stanie podjąć taką decyzję?

Czy miałabym w sobie tyle odwagi?

Przetyka ślinę, a jej oddech przyśpiesza. Czuje, jak żółć podchodzi jej do gardła, a krople potu oblepiają czoło i szyję. Dopada do okna, otwiera je na oścież i opiera dłonie na parapecie. Łapczywie nabiera hausty powietrza. W sali poza nią i jej synem nie ma nikogo innego. Julia cieszy się, że nikt jej teraz nie widzi. Że nikt nie patrzy na jej cierpienie. Że nikt nie może odczytać krążących w jej głowie myśli. Myśli, które tak bardzo ją zawstydzają.

- Mamusiu. - Do jej uszu dociera cichy głos Juliana.

Momentalnie podbiega do syna. Nachyla się nad nim i całuje go w czoło. A potem dotyka go wszędzie, gdzie tylko może. Patrzy w jego niebieskie oczka i widzi w nich strach. Ona sama również się boi, i to zapewne o wiele bardziej od niego. Nie może jednak tego pokazać.

- Jestem tutaj - mówi i uśmiecha się do niego. Bardzo chce panować nad swoimi emocjami. Popłaczcie sobie później, gdy on zaśnie.

- Pić.

- Proszę.

Przytyka mu do spierzchniętych usteczek wacik nasączony wodą. Postępuje wedle wskazówek pielęgniarki. Kiedy chłopiec zwilża usta, odsuwa głowę. Kilka kropelek wody moczy jego koszulkę. To nic, myśli Julia, przecież woda to życie.

- Wiesz, co się stało? - pyta go. Stara się, aby na jej twarzy cały czas gościł uśmiech, co jest tak cholernie trudne. - Wiesz, gdzie jesteś? Wiesz, dlaczego tu jesteś?

On w odpowiedzi kiwa głową. Jest zmęczony i Julia widzi, jak wiele siły może kosztować go ta rozmowa, mimo to nie potrafi się powstrzymać i odpuścić. Jakby bała się, że już nigdy więcej z nim nie porozmawia. Julek mówi jej, że rano bolała go głowa, a potem, kiedy poszli na szkolne podwórko, nie mógł ruszyć nogą i dlatego się przewrócił, a jego wychowawczyni z zerówki, pani Jola, była bardzo zdenerwowana i głośno krzyczała do drugiej pani, żeby zadzwonić po karetkę. Potem przyszedł do niego pan w pomarańczowym ubraniu, który pogłaskał go po głowie i powiedział, że pojedą do szpitala. A potem go badali. I jeszcze ukuli w rączkę, ale on nie płakał za dużo i pani doktor powiedziała mu, że jest bardzo odważny i że dawno nie widziała takiego dzielnego chłopaka. Była z nim cały czas pani Jola, która powiedziała mu, że jest najdzielniejszy z całej grupy z zerówki. Później przyjechał tata, który bardzo mocno go przytulił i powiedział, że niedługo przyjdzie mama i zabiorą go do domu. A jeszcze później był tak zmęczony tym, że ktoś ciągle go dotykał i o coś pytał, że zasnął.

- Jesteś bardzo dzielny - mówi Julia.

- Po co tutaj jestem? - pyta. Patrzy na swoją pokłutą dłoń i na kroplówkę, do której jest podłączony, a potem na mamę. Nic z tego nie rozumie.

- Bo... bo poczułeś się źle i trzeba zrobić ci badania. Dlatego jesteśmy w szpitalu. Ale niedługo wrócimy do domu i wszystko będzie dobrze.

Julia nie wie, jak ma z nim teraz rozmawiać. Nie ma również pojęcia, kiedy wrócą do domu. Na pewno nie dziś. Ale czy jutro? A może pojutrze? Dla sześciolatka niedługo to w zasadzie teraz, natychmiast.

- Mamusiu, czy ja umrę?

Kiedy jej syn zadaje to pytanie, Julia czuje się tak, jakby ktoś rzucił w nią wielką cegłą i roztrzaskał jej mózg na tysiąc drobnych kawałeczków.

- Dlaczego o to pytasz?

- Bo Antek kiedyś powiedział, że jego dziadek poszedł do szpitala i umarł. I że leżał w takim drewnianym pudełku i wsadzili go do ziemi, i zakopali. A potem zasadzili na nim kwiatki. Mamo, ja

nie chcę, żebyście mnie wsadzili do pudełka i żeby rosły na mnie kwiatki. Ja bym się bał. – Jego usteczka drżą, a oczy wypełniają się łzami.

– Nic takiego się nie stanie.

Julia przytula syna i trwa z nim tak bardzo długo. O dziwo, Julek nie wrywa się, jak to ma w zwyczaju. Każe sobie opowiadać bajki i drapać się po głowie. Kiedy ponownie zjawia się Marek, mały znowu śpi.

– Nie będę go budzić i przebierać w piżamę – mówi Julia. Z wielką ochotą przyjęła od Marka kubek z kawą, a teraz oboje siedzą przed salą, tylko co chwilę jedno albo drugie zagląda do środka, żeby zobaczyć, czy Julian śpi.

– Mam nadzieję, że wypuszczą nas stąd szybko i że to wszystko okaże się koszmarną pomyłką. Bo przecież takie rzeczy się zdarzają, prawda? Też uważasz, że to pomyłka? – Julia patrzy na Marka i tak naprawdę oczekuje tylko jednej odpowiedzi na swoje pytania.

– Bardzo bym tego chciał.

Ona też by tego chciała. Jej palce co rusz przesuwiają się po papierowym kubku. Myślała, że kawa jej pomoże, ale już pierwszy łyk przyprawia ją o mdłości. Odkłada kubek na wolne krzesło i patrzy na Marka.

– Pójdiesz na ten cmentarz? To dla mnie bardzo ważne.

– Pójdę – odpowiada.

Zrobi to wbrew sobie, ale nie potrafi jej odmówić.

Od tego momentu żadne z nich nie wypowiada już ani jednego słowa. Patrzą albo na siebie, albo na podłogę, aż w końcu pielęgniarki informują, że skończył się czas odwiedzin. Marek bardzo niechętnie podnosi się z krzesła i po chwili idzie korytarzem w stronę wyjścia z oddziału.

Julia staje w drzwiach sali i patrzy na śpiącego syna. Spędza tak wiele minut.

Rozdział 7

- Mamusiu, ja już nie chcę iść do szpitala. Ja będę już grzeczny, tylko proszę, nie każ mi tam znowu iść.

Julia przywołuje na twarz uśmiech, ale nie jest w stanie sklecić nawet jednego zdania. Przecież nie może mu powiedzieć, że już więcej nie pojedą do szpitala. Pojadą. Wypuścili ich dziś do domu z zaleceniem dalszej opieki pediatrycznej i kardiologicznej oraz z długą listą leków i obostrzeń, których muszą teraz przestrzegać. Nie ma mowy nawet o najmniejszej infekcji.

Całuje syna w czoło, mówi, że bardzo go kocha, i życzy mu przyjemnych snów. On też mówi, że ją kocha, a potem zamyka powieki i po chwili zasypia. Od dnia, kiedy trafił do szpitala, bardzo dużo śpi. Nie jest już tym samym radosnym i pełnym życia dzieckiem, które jeszcze niedawno wsadzało kota do przyczepki przytwierdzonej do rowerka i jeździło z nim po całym podwórku. Nie jest tym samym chłopcem, który w zeszłym miesiącu bujał się na huśtawce w taki sposób, że Julia była bliska zawału. Jest oswiały i smutny. Boi się szpitala i lekarzy.

Julia wychodzi z pokoju i pędzi do łazienki. Pada na kolana, w ostatniej chwili podnosi klapę od sedesu, a treść żołądka ląduje w środku. Opiera ręce na muszli i ponownie wymiotuje. Kiedy czuje, że nie ma już czym zwracać, wstaje i podchodzi do drzwi. Zamyka je na klucz, osuwa się po ścianie i siada na podłodze. Płacze. Ma wrażenie, że od tych trzech tygodni naprzemiennie tylko płacze i notuje w zeszycie wszystko, co mówią jej lekarze. Nie ma już siły. Nie umie się odnaleźć w tej nowej, strasznej rzeczywistości. Nie potrafi zrozumieć, dlaczego spotkało to właśnie ich. Czy ona za mało w życiu wycierpiała? I cóż zawił jej mały synek? Co komu złego zrobił, że został tak okrutnie ukarany?

Jest wściekła i rozgoryczona. Najgorsze jest to, że nie może z tym nic zrobić, że nikt nie jest w stanie powiedzieć jej, kiedy ten koszmar się skończy i czy w ogóle kiedykolwiek się skończy. Po tych trzech tygodniach jest bogatsza o informacje, o które, gdyby ktokolwiek dał jej wybór, nie chciałaby być bogatsza nigdy. Nie chciałaby wiedzieć tego, co wie. Chciałaby teraz planować ich wakacyjny wyjazd, chciałaby mieć spokojną głowę, żeby móc pisać, chciałaby budzić się rano i zastanawiać się nad tym, co pięknego przyniesie dzisiejszy dzień. Chciałaby, aby jej jedynym problemem było to, co ma na siebie dziś włożyć. Chciałaby również myśleć o tym, jakim człowiekiem będzie jej syn, gdy dorośnie. Nie potrafi.

Słyszy pukanie do drzwi.

- Kochanie, otwórz. - Z drugiej strony dobiega do niej głos Marka. - Proszę, otwórz mi drzwi. Nie chowaj się przede mną.

- Za chwilę - mówi przez łzy - za chwilę wyjdę. Potrzebuję побыć teraz sama.

Marek opiera dłonie o drzwi od łazienki i pochyla głowę. Jemu też jest ciężko, ale zdaje sobie sprawę z tego, że Julia jest na skraju wytrzymałości. I fizycznej, i psychicznej. Chciałby jej pomóc, tylko że nie potrafi, bo nie dociera do niej żaden jego argument. Boli go to bardzo.

- Kocham cię - szepcze do zamkniętych drzwi i odchodzi.

W trakcie pobytu w szpitalu Julianowi wykonano mnóstwo badań. Cewnikowanie serca, angiokardiografię, biopsję i wiele innych. Wada serca, którą ma, nie jest nabyta. Lekarze potwierdzili, że jest genetyczna. Marek uważa, że w tym przypadku nie ma co szukać kontaktu z rodziną Piotrka, skoro wszystko już wiadomo, jednak Julia jest innego zdania. Mnóstwo w niej gniewu i złości i Marek obawia się, że będzie chciała wyrzucić z siebie te uczucia właśnie na tych ludzi. Druga strona medalu jest taka, że dowiedzą się, że Julian jest ich krewnym. Jego zdaniem to nie jest dobry moment na wyciąganie trupów z szafy, ale Julia uparcie tkwi przy swojej decyzji. Próbował odwieść ją od tego pomysłu, ale im bardziej chciał uzmysłwić jej, że nie tędy droga, tym ona mocniej trwała przy swoim postanowieniu. W końcu uległ i zaczął jeździć na cmentarz w nadziei, że jeśli matka Piotrka jeszcze żyje, to ją tam spotka.

Jak na razie nie spotkał ani jej, ani nikogo innego.

Marek jest w sypialni, do której wchodzi Irysek. Kot wskakuje na łóżko i zbliża się do leżącego na nim mężczyzny. Wdrapuje się na jego klatkę piersiową i swoim łebkiem pociera o głowę Marka. Zachowuje się tak, jakby doskonale go rozumiał. Jakby problemy, z którymi mierzą się domownicy, nie były mu obce. Jego ludzie przestali go głaskać, bawić się z nim i nawet kilka razy zapomnieli go nakarmić, co przecież nigdy do tej pory się nie zdarzało. Irysek uznał, że musi to wynikać z jakiegoś ogromnego kłopotu. A potem, gdy próg domu przekracza jego ulubiony mały człowiek, koci instynkt daje o sobie znać. Irysek nie odstępował Julka nawet na krok. Na szczęście nikt go nie odgania, a mała dłoń kumpla, kiedy tylko ma na to siłę, ciągle go szuka. Gdy Julian kładzie się na łóżku, Irysek po chwili jest już z nim. Opiera się o niego w taki sposób, że jego łeppek i część tułowia spoczywają na sercu chłopca.

Mruczy.

Gdy Julia zobaczyła to po raz pierwszy, aż coś ją ścisnęło ze wzruszenia. Dawno temu babcia Lenka powiedziała jej, że koty mają wielką moc, emanują dobrą energią, bronią ludzi i potrafią uzdrawiać. A że babcia nigdy nie kłamała, Julia od razu uwierzyła. Chodzi więc Irysek od pokoju do pokoju i próbuje uzdrowić nie tylko ciała, ale i dusze domowników.

Marek patrzy na zegarek. Czeka na Julię już prawie godzinę. W końcu wyrusza na poszukiwania. Nie ma jej na dole ani w garażu, ani na zewnątrz. Samochód stoi na placu, więc nigdzie nie pojechała. No chyba że gdzieś poszła, ale przecież by tego nie zrobiła. Przecież ona chce cały czas być przy Julianie... Marek wbiega na górę i kieruje się do pokoju syna. Staje w drzwiach. Odwrócona plecami Julia leży na dmuchanym materacu. Marek nie ma pojęcia, kiedy zdążyła go napompować, ale przecież nie będzie się teraz nad tym zastanawiał. Wraca do sypialni, zabiera swoją poduszkę i koc i ponownie idzie do pokoju syna. Kiedy kładzie się obok Julii, materac niebezpiecznie ugina się pod ciężarem jego ciała.

- Cholera, żeby tylko nie pękł - mówi.

Słyszy śmiech Julii. Po raz pierwszy od dnia, w którym ich świat legł w gruzach. Obejmuje ją i tuli do siebie. Ona łapie go za dłonie i powoli przesuwając po nich swoimi palcami. W domu panuje cisza i spokój. I chociaż spokój ów jest tylko chwilowy i pozorny, bo tak naprawdę nie wiadomo, co przyniesie kolejny dzień, to oboje się w nim zatapiają. Julia ma świadomość, że odsunęła się od Marka, ale nie potrafi inaczej. Nie wybaczyłaby sobie, gdyby choć na chwilę się zapomniała, a zły los wykorzystałby ten moment i skrzywdził Juliana. On jest teraz najważniejszy i to oczywiste, że to właśnie jemu trzeba poświęcić całą uwagę. Marek musi to wiedzieć.

- Przepraszam, że taka jestem - mówi do niego. - Przepraszam, jeśli czujesz się przeze mnie zaniedbany. Przepraszam cię. - Nie mówi mu jednak, że to się zmieni i będzie tak jak dawniej. Oboje wiedzą, że już nigdy nie będzie tak jak wcześniej.

- Nie masz mnie za co przeproszać - odpowiada jej Marek. - Podjąłem pewną decyzję. Chcę zawiesić swoją działalność. Nie na zawsze, na razie na pół roku, a potem się zobaczy. Możemy sobie na to pozwolić pod względem finansowym. Robię to, ponieważ wiem, że nie będę w stanie skupić się na pracy, mając świadomość tego, co się dzieje.

- Jesteś pewien?

- Dawno nie byłem niczego tak pewien, jak właśnie tego, że chcę być teraz z wami. Każdy dzień jest ważny.

Zapada cisza. Julia wtula się jeszcze bardziej w ramiona Marka. On natomiast doskonale wyczuwa te wszystkie emocje, które się w niej kotłują. Jego cudowna żona ma w sobie tak wiele skrajnych uczuć. Od strachu, poprzez smutek, do nienawiści włącznie, co chwilę później artykułuje:

- Nienawidzę go. Nienawidzę go z całego serca. To wszystko jego wina. - Jej szept w nocnej ciszy brzmi bardzo donośnie.

- To nie jest niczyja wina. To się po prostu stało.

- I tak go nienawidzę.

- Nie gromadź w sobie nienawiści. Taplając się w niej, nie będziesz w stanie wznieść się na wyżyny swoich możliwości - mówi Marek. - Bądź ponad to. Bądź silna. Przecież masz dla kogo.

Julia odwraca się do niego. W pokoju świeci się lampka, której łuna oświetla jej twarz. Jest wzburzona.

- A jeśli ja tego potrzebuję? Jeśli nienawiść daje mi siłę w walce z... z tym wszystkim? - mówi, kładąc ogromny nacisk na słowo „nienawiść”.

- Nienawiść jest zła. Kielkuje w człowieku i rozrasta się niczym chwast. I coraz trudniej ją wyplenić.

- Nie masz racji! - Julia syczy przez zaciśnięte zęby. - Nienawiść do niego wzmacnia mnie w walce o zdrowie naszego dziecka!

- Julia... co ty mówisz? Przecież nienawiść niszczy także tych, którzy nienawidzą.

- Chcę go nienawidzić! Rozumiesz? Potrzebuję tego! - Chociaż Julia mówi szeptem, żeby nie obudzić dziecka, jej głos w nocnej ciszy brzmi jak krzyk.

- Chcę cię wyciągnąć z bagna, a ty i tak się wyrwasz i chcesz tam skoczyć na główkę. Po co ci to?

- Ja tak wcale nie uważam. - Po tych słowach Julia odwraca się do Marka plecami.

Nie da się ukryć, że pomiędzy nimi wytwarza się coraz większa bariera. Oboje wiedzą, że nie jest ona teraz potrzebna, że powinni się wspierać i razem dbać o dobro Juliana. I swoje. Jednak Julia, która za wszelką cenę potrzebuje obwiniać kogoś o chorobę syna, właśnie w taki sposób manifestuje swoje niezadowolenie. Właśnie poprzez stanie w opozycji i dawanie do zrozumienia, że w tym momencie albo jest się z nią, albo przeciwko niej.

- Kiedy jedno spada w dół, drugie ciągnie je ku górze... - Marek nuci fragment piosenki Happysad, a potem smyra swoim palcem dłoń Julii.

Julia potrzebuje czasu, aby zrozumieć, że jej mąż nie jest jej wrogiem. Jest jej najlepszym przyjacielem.

- Tak bardzo się o niego boję - mówi. - Czuję, że jeśli za chwilę w naszym życiu nie wydarzy się coś dobrego, to zwariuję. Żaden lekarz nie jest w stanie zagwarantować, że nasz syn wyzdrowieje. Nikt nie jest nawet w stanie zagwarantować nam tego, że za rok o tej porze on dalej będzie spał na tym łóżku.

- Bardzo chciałbym dać ci taką gwarancję, ale nie mam takiej mocy sprawczej - odpowiada Marek.

- Pójdiesz jutro na ten cmentarz? Jest Dzień Dziecka. Ta kobieta na pewno odwiedzi grób swojego syna w takim dniu - pyta Julia, a potem dodaje: - Potrzebuję tego. Potrzebuję, żeby ona wiedziała, co jej syn mi zrobił.

Marek milczy. Nie chce już więcej tam chodzić. Nie chce dłużej ciągnąć tej farsy. Najgorsze jest jednak to, że Julia nie potrafi tego zrozumieć. Jest tak uparta i tak bardzo zraniona, tym samym za wszelką cenę chce, aby cały świat wiedział o tym, co ją spotkało. Marek bije się z myślami.

- Dobrze - mówi w końcu, chociaż robi to wbrew sobie. - Pójdę, ale to będzie ostatni raz. Jeśli jutro nikogo tam nie będzie, więcej mnie o to nie proś. Dasz mi słowo?

Julia kiwa głową i mówi, że tak. Że daje mu słowo.

Po chwili płacze, bo przez wzmiankę o cmentarzu zaczęła wyobrażać sobie siebie idącą alejkami na grób własnego dziecka. Jej mózg pracuje bardzo intensywnie, podsyłając mnóstwo obrazów, których ona wcale nie chce oglądać. Ale i tak je widzi. Są cholernie realistyczne. Mała biała trumienka, mnóstwo kwiatów, ogromny smutek i jej słodki chłopczyk, który leży w środku z ukochanym misiem.

Przylega do Marka.

- Wiem, że on potrzebuje serca innego dziecka. Wiem, że tylko to sprawi, że zyska dodatkowy czas. Ale nie jestem w stanie się o to modlić. Nie mogę chcieć, żeby ktoś cierpiał przez stratę dziecka. To jest straszne. Tak nie powinno być. Marek, czy to oznacza, że my będziemy się cieszyć, gdy jakieś dziecko umrze? - pyta go.

- Nie, nie będziemy się z tego powodu cieszyć. Będziemy wdzięczni temu dziecku i jego rodzicom za dar życia. Każdego dnia będziemy im za to dziękować.

- A jeśli... a jeśli... a jeśli nie...

- Ciii... - Kładzie jej palec na ustach. - Nawet tego nie kończ.

Leżą wpatrzeni w sufit, na którym Julia, jeszcze kiedy było dobrze, przykleiła świecące w ciemności gwiazdy. Kiedy tak na nie patrzy, marzy o tym, żeby zasnąć i mieć piękny sen, w którym to wszyscy są szczęśliwi i zdrowi. Mogłaby się z niego już nie budzić. I ma sen, ale nie jest dobry. Jest zły. Jest tak paskudny, że wstydzi się o nim mówić. Po przebudzeniu chce go zapomnieć, ale im bardziej stara się to zrobić, tym te przerażające obrazy coraz mocniej zakorzeniają się w jej umyśle. Widzi chłopca w wieku swojego syna. Podchodzi do niego i daje mu lizaka. Jej druga dłoń skryta jest za plecami. Trzyma w niej nóż. Chłopiec bierze od niej łakocie, a potem podaje jej rękę i z nią idzie. Chwilę później Julia w jednej dłoni trzyma krwawiące dziecięce serduszko, a w drugiej nóż, po którego ostrzu ściekają stróżki krwi. Kiedy patrzy pod nogi, widzi tam martwe dziecko.

To Julian.

Budzi się z wrzaskiem.

Rozdział 8

Julia siedzi przy stole w jadalni, pije herbatę i patrzy na schodzącego po schodach męża. Wcale nie chce być w tej części domu, ale Weronika ją do tego zmusiła. Przyszła dziś rano i powiedziała, żeby Julia na chwilę odsapnęła, a ona w tym czasie zajmie się wszystkim.

Oczywiście, że stawiała opór, ale w końcu, po dość długiej batalii, ustąpiła.

Marek siada na krześle naprzeciw niej. Wygląda dziwnie. Niby tak samo jak zawsze, jednak inaczej. Julia nie bardzo wie, czym jest to spowodowane, ale czuje, że coś jest nie tak.

- Co się dzieje? - pyta go.

- Musisz odpuścić - mówi do niej bardzo cichym głosem.

Całą noc dręczyły go koszmary, w których tracił Julię. Marek wierzy w sny. Wierzy, że pewnym sytuacjom można zapobiec. Że każdy człowiek ma do wyboru ścieżki losu, którymi podąży. Według niego Julia nie tyle zmierza na oślep, co z pełną świadomością obrała bardzo zły kierunek i chce nim podążać. Żałuje, że wczoraj zgodził się spełnić jej prośbę, dziś chce wycofać się z danego jej słowa. I nie sądzi wcale, że będzie to jakakolwiek ujma na jego honorze. Wręcz przeciwnie, pomoże jej w tym. Oczywiście ma świadomość, że ona będzie miała inne zdanie w kwestii tej pomocy.

- Co muszę odpuścić? - Julia patrzy na niego pytającym wzrokiem.

- Nienawisć. To ci szkodzi. To szkodzi nam wszystkim. Do momentu, kiedy nie wiedzieliśmy, że nasz syn jest chory, twoje uczucia były głęboko skrywane, ale teraz, kiedy znaleźliśmy się w tej trudnej sytuacji, ty się cała w środku gotujesz. Jeszcze nie wybuchłaś, ale to tylko kwestia czasu. I dobrze wiesz, że mam rację. Jestem na ciebie otwarty tak bardzo, że aż mnie wszystko boli. Ja wiem, że to, co zrobił ci Piotrek, było dla ciebie piekłem. I wiem również, że to nie powinno się nigdy wydarzyć. Ani tobie, ani żadnej innej kobiecie. Ale coś sprawia, że takie rzeczy się dzieją. Jednak życie płynie dalej. Twoje również. Julia, zaakceptuj to, co się stało, i idź dalej. Proszę.

Marek chce dotknąć jej dłoni, ale ona ją odsuwa.

- Mam zaakceptować to, że zostałam zgwałcona? Czy ty się w ogóle słyszysz? - Patrzy na niego z niechęcią.

- Proszę o to, żebyś zaakceptowała to, że dzięki temu masz syna. Tak, wiem, jak to brzmi. W życiu nie ma łatwych dróg, łatwych decyzji. Wiesz, jakim cudownym chłopcem jest Julian. Czy zamieniłabyś go na inne dziecko? - Kiedy Julia nie odpowiada, tylko mocno zaciska usta, Marek mówi dalej: - Nie możesz zrobić nic, żeby cofnąć przeszłość. Najważniejsza jest przyszłość. Żeby pomóc Julianowi, musisz mieć w sobie spokój. On tego bardzo potrzebuje. Ty i ja również. Proszę cię, żebyś odpuściła tę batalię i zajęła się sobą i nami.

Julia zrywa się z krzesła i patrzy na Marka, a w jej oczach można dostrzec wściekłość.

- Nie prosiłam cię o nakreślenie mojego portretu psychologicznego i udzielanie rad! Wsadź je sobie w dupę! I nie masz prawa oczekiwać ode mnie czegokolwiek! Nikt nie ma takiego prawa! - wrzeszczy, co sprawia, że po chwili z góry schodzi Weronika.

- Co się stało? - pyta, patrząc to na Julię, to na Marka.

- Julia, posłuchaj mnie - mówi Marek. Cały czas siedzi przy stole. Jest opanowany, a przynajmniej takie sprawia wrażenie. - Nie będziesz w stanie pomóc komuś, jeśli sama potrzebujesz pomocy.

- Nie powinieneś był mówić mi tego wszystkiego - odpowiada mu przez zaciśnięte zęby.

- My mówimy sobie wszystko.

- Ale tego nie powinieneś mówić!

- Julia, tu chodzi o ciebie, o naszego syna, o nas... - Marek chce powiedzieć coś jeszcze, ale wściekła Julia nie daje mu skończyć.

- To nie jest twój syn! Rozumiesz? To jest mój syn! Tylko mój i tylko ja będę decydowała o tym, co jest dla niego dobre, a co nie! Czy to jasne?

Zapada cisza. Julia wbija w Marka wściekłe spojrzenie, nie panując nad swoimi emocjami. On się na nią patrzy. Tylko patrzy. Weronika stoi na środku kuchni, ma otwarte usta i jest w szoku. Wodzi

swoim wzrokiem od Julii do Marka. Od Marka do Julii. I tak w kółko. Irysek, który jeszcze chwilę temu siedział pod stołem, czmychnął za kanapę.

W końcu Marek mówi:

- Jasne. Zrozumiałem. Wszystko zrozumiałem.

Odsuwa krzesło od stołu i rusza w stronę drzwi. Jest przygarbiony, jakby opadł z sił. Zdejmuje z wieszaka kurtkę, łapie w dłoń kluczyki i przez chwilę stoi w korytarzyku z pochyloną głową. A potem wychodzi z domu. Jego auto wyjeżdża z podwórza.

Julia patrzy na swoje zaciśnięte w pięści dłonie. Każda mijająca sekunda uświadamia ją w tym, że przesadziła. Nic jej w tym momencie nie tłumaczy. Bo nawet jeśli słowa Marka wzbudziły w niej sprzeciw, to on nie powiedział ich po to, aby sprawić jej przykrość. Ona z kolei wypowiedziała swoje właśnie po to, żeby go ukarać.

- Jak mogłaś mu to powiedzieć? - słyszy oskarżycielski głos Weroniki.

Dopiero teraz przypomina sobie o jej istnieniu, ale nie ma zamiaru udzielać odpowiedzi na to pytanie. Jej wzrok pada na stojący na stole wazon w kolorze butelkowej zieleni. Bardzo go lubi. Trzyma w nim kwiaty, które dostaje od Marka. Chwyta go i biegnie do drzwi. Wychodzi z domu i ciska nim o bruk. Odłamki szkła rozpryskują się dookoła. Chciałaby mieć pod ręką coś jeszcze, co mogłaby roztrzaskać, ale w związku z tym, że w zasięgu wzroku ma tylko ogromną donicę i dziecięcy rowerek, rezygnuje z tego pomysłu i zamiast drapać, gryźć i siać zniszczenie, opada na kolana i zanoszą się łzami.

Czuje na ramieniu dłoń.

- Chodź ze mną do środka.

Nie protestuje, tylko pozwala się zaprowadzić do domu, a potem po schodach, prosto do sypialni. Bez słowa sprzeciwu kładzie się do łóżka i pozwala, żeby nakryto ją kocem. Weronika siada obok niej i gładzi ją po twarzy. Lubi czuć się potrzebna. Jej naznaczona upływem czasu dłoń dopiero niedawno nauczyła się okazywać czułość i Bóg jej świadkiem, korzysta z tego przywileju bardzo ochoczo.

- Nie możesz być taka samolubna - mówi do Julii. - Marek na to nie zasłużył. Przecież wiesz, że gdyby tylko mógł, podarowałaby wam gwiazdkę z nieba.

- Wiem... - Julia przełyka łzy. - Byłam taka zła... i dlatego... dlatego to powiedziałam. - Jest zmęczona, czuje tępy ból głowy. I w ogóle cały świat zrobił się wstrętny. A jeszcze niedawno pełen był wszystkich kolorów tęczy. - A jeśli on umrze? Co się stanie, jeśli mój synek nie doczeka... - Nie chce wypowiedzieć tych słów na głos. Boi się, że gdy to zrobi, one się spełnią.

- Doczeka. Wiem to. - Weronika kładzie sobie dłoń na sercu, wzdycha i mówi: - Gdybym tylko mogła... gdybym tylko mogła, to oddałabym mu swoje serce. Ale jest stare i bezużyteczne...

- Nieprawda. - Julia protestuje. - Jest nam bardzo potrzebne na swoim miejscu.

- No dobrze, źle się wyraziłam. Musisz mi wybaczyć. W związku z tym, że nie mogę w taki sposób pomóc, chciałabym się przysłużyć inaczej. I nie tylko ja. Zanim zaprotestujesz i odmówisz, wysłuchaj mnie do końca. I postaraj się nie przerywać. Dobrze?

Julia kiwa głową.

- Razem z Marią i Ludwikiem uznaliśmy, że ty i Marek potrzebujecie chwili tylko dla siebie. Kilku dni jedynie w swoim towarzystwie. Wiemy, jak bardzo lubiliście podróżować, w związku z tym postanowiliśmy...

- Nie ma mowy - przerywa jej Julia. - Ja się nigdzie stąd nie ruszę. To nie jest odpowiedni czas na wycieczki.

- Obiecałaś, że mi nie przerwiesz. - Weronika patrzy na nią karcącym, matczynym wzrokiem.

- Bo nie sądziłam, że będzie chodziło o coś takiego.

- Obiecałaś, więc dotrzymaj słowa.

Julia opiera się o zagłówek i wywraca oczyma, a gdy to nie robi na Weronice żadnego wrażenia, udaje, że zamyka usta na kluczyk. Weronika wyciąga w jej stronę dłoń, co znaczy ni mniej, ni więcej,

że kluczyk ów ma być jej oddany. Julia z głębokim westchnieniem wkłada go w dłoń kobiety i postanawia jej wysłuchać, chociaż i tak wie, że na nic się nie zgodzi.

- Tak lepiej - mówi Weronika. - Chciałam powiedzieć, że razem z Marią i Ludwikiem wykupiliśmy wam wyjazd nad morze. W bardzo ustronne miejsce, gdzie plaże są puste i dzikie, a człowiek może zresetować głowę i chociaż przez chwilę nie myśleć o tym, co go przytłacza. Na chwilę się od tego odciąć i naładować baterie. A że macie dwie cudowne babcie i fantastycznego dziadka, którzy staną na wysokości zadania i zaopiekują się wnukiem, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby spakować walizki i tam pojechać. Zanim odmówisz, pamiętaj, że po zrobieniu tych wszystkich badań, których ja nazwy nawet nie potrafię wymówić, wasza lekarka dała zielone światło na powrót do domu i cieszenie się sobą. Dlatego my będziemy cieszyć się Julianem, a ty i Marek sobą nawzajem.

- Jestem wam bardzo wdzięczna, ale nie mogę się na to zgodzić. I nie zmienię zdania. To nie jest czas na...

- Jesteś zmęczona, rozdrażniona i pełna lęku. - Weronika wylicza na palcach, ignorując odmowę Julii. - Wzięłaś na siebie całą odpowiedzialność za dziecko. Nie pozwoliłaś Markowi zostać z Julkiem w szpitalu chociażby na jedną noc. Nie potrafisz już rozmawiać z własnym mężem, bo tego, co tu dzisiaj usłyszałam, nie można nazwać dialogiem. Przestaliście spotykać się ze znajomymi. Można powiedzieć, że wasze życie towarzyskie nie istnieje. Nie, żeby wcześniej było jakieś bardzo bujne, ale dawniej raz, czasem dwa razy w miesiącu wychodziliście z kimś na kolację, do kina, do teatru. Kompletnie się odizolowałaś od ludzi. Uważasz, że w takim stanie przysłużysz się Julianowi? Myślisz, że on nie widzi, co się z tobą dzieje? Dziś mi powiedział, że jest mu bardzo smutno, jak widzi, że ty płaczesz, a on wie, że to jego wina, bo jest chory. I bardzo by chciał, żebyś zaczęła się uśmiechać tak jak kiedyś.

Słowa Weroniki dotykają Julię do żywego.

- Co by była ze mnie za matka, gdybym go zostawiła? - wyrzuca z siebie.

- Nie musisz nikomu udowadniać, jak bardzo go kochasz. My wszyscy to wiemy. Ale pamiętaj, że jeśli będziesz pogrążyła się w rozpacz, on również nie będzie szczęśliwy. Proszę cię, żebyś chociaż to przemyślała.

Julia wzdycha, a potem potakuje głową i mówi, że dobrze, przemyśli to, chociaż obie wiedzą, że wcale tego nie zrobi.

- Dziękuję chociaż za to - mówi zrezygnowana Weronika. Wychodzi z sypialni i idzie posprzątać szkło, które leży na dziedzińcu przed domem. Pomoże chociaż w taki sposób, bo jak widać, inne jej pomysły są z góry skazane na porażkę.

Julia, która została w sypialni sama, bierze w dłoń telefon i wybiera numer Marka. On nie odbiera, co sprawia, że w pierwszej chwili ogarnia ją złość. Przecież to mogło chodzić o Juliana. Szybko jednak się reflektuje, że zbyt łatwo daje się ponieść emocjom. Zdaje sobie również sprawę z tego, że Marek potrzebuje być teraz sam. Odkłada telefon na półkę, wkłada rękę pod głowę i przymyka powieki. Leży i patrzy przed siebie. Ma świadomość, że zaważyła, i jest jej z tym bardzo źle. Marek chciał dobrze. Od kiedy go zna, on zawsze przekładał jej dobro nad swoje. A gdy pojawiło się dziecko, to ono stało się najważniejsze.

To Marek wychowywał z nią Juliana. To Marek dał im poczucie bezpieczeństwa. To Marek kochał ich bezwarunkowo.

I nagle, tak zupełnie bez planowania, Julia zaczyna wyobrażać sobie, że wybaczają Piotrkowi. Wzdryga się, ale po chwili ponawia próbę. Ponownie jednak dochodzi do wniosku, że nie jest w stanie tego zrobić. Zbyt mocno ją skrzywdził. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że właśnie wykonała krok do przodu. Nie wie również, że jej próba wybaczenia dotarła do pewnej duszy, zawieszony w mroku. Nie ma pojęcia, że dusza ta właśnie w tym momencie drgnęła, przebudziła się z koszmarnego snu i odetchnęła delikatnym światłem.

I czeka na więcej.

Rozdział 9

Marek nie lubi kłótni ani oceniania.

Nie lubi, kiedy ktoś wydaje osądy pod wpływem chwili. Czuł się ojcem Juliana, jeszcze zanim chłopiec pojawił się na świecie. I chociaż ma świadomość, że Julia powiedziała to wszystko we wzburzeniu i rozgoryczeniu, to jest jej słowami bardzo zraniony. Nie jest przedmiotem, którym można poniewierać. Jest żywą istotą i ma swoje uczucia, nawet jeśli sprawia wrażenie człowieka, który jest odporny na całe zło tego świata. Julia chyba za bardzo przyzwyczała się do takiego stanu i podświadomie tak właśnie go traktuje. Jak kogoś, na kim może wyładować swoją złość, bo to i tak po nim spłyne.

Kiedy jest dobrze, kiedy czarne chmury nie przesłaniają nieba, kiedy wszystko w życiu się układa, ludzie potrafią ze sobą rozmawiać, żartować i śmiać się z kawy rozlanej na biurku. Potrafią cieszyć się z najdrobniejszych rzeczy. Ale gdy w ich życiu dzieje się coś złego, dopiero wtedy stają przed próbą, z której nie zawsze wychodzą zwycięsko. A przecież właśnie w obliczu tragedii powinni być ze sobą jeszcze bardziej związani, powinni jeszcze mocniej się wspierać. Jednak właśnie w takich momentach pojawia się najwięcej kłótni i pretensji.

Ludzie sami stwarzają sobie problemy.

Marek zatrzymuje samochód pod cmentarzem. Sam nie wie, dlaczego to robi i dlaczego znowu tutaj przyjechał, skoro od samego początku uważał, że to zły pomysł. Po chwili idzie alejką. Jest pierwszy czerwca, dochodzi godzina dwunasta, promienie słońca smagają go po twarzy. Widzi drobną, zgarbioną postać siedzącą na ławce przy grobie, do którego zmierza.

To kobieta.

Ubrana jest bardzo skromnie, dłoń opiera na drewnianej łasce, spod chustki, którą ma zawiązaną na głowie, wystają białe jak śnieg włosy. Marek przez chwilę stoi za jej plecami, więc ona nie ma świadomości, że ktoś poza nią tutaj jest.

- Ech, Piotrusiu... - mówi kobieta. - To już siedem lat. Siedem lat, jak odszedłeś. A ja cały czas ci mówiłam, że te motory to zło. Że żadnego pożytku ci to nie przyniesie. Tyś mnie jednak nie chciał słuchać. I na co ci to było? - Stuka łaską w marmurowy pomnik i kręci głową. - Samą mnie zostawiłeś. A to nie tak miało być. Nie tak. To ty powinienesz opłakiwać mnie, nie ja ciebie. To ty miałeś oporządzać mój grób. To ja powinnam odejść pierwsza. Tak jak twój ojciec. - Przenosi wzrok na drugi pomnik. Jej ramiona się napinają, a głowa prostuje. Mowa ciała pokazuje dumną kobietę. - A ty? - Jej głos nie jest już taki sentymentalny i czuły jak wtedy, kiedy mówiła do zmarłego syna. - Tyle lat cierpienia, tyle upokorzeń. Wszystko znosiłam w ciszy, żeby tylko ludzie nie gadali. A oni i tak wiedzieli, jaka z ciebie kanalia. Wiedzieli, że pijesz i bijesz. Jak ja mogłam być taka ślepa i za ciebie pójść? Byłeś złym człowiekiem. Byłeś tak zły, że nawet po śmierci nie dajesz mi spokoju i musiałeś mi zabrać jedyne dziecko. Nie zasłużyłeś nawet na ten pomnik.

Kobieta spluwa przed siebie.

Tak bardzo go nienawidzi. Zmarnował jej życie. Kiedy chciała od niego odejść, kiedy zwierzyła się swojej matce, osobie, która, zdawałoby się, powinna ją chronić przed złem, ta powiedziała jej, że w tej rodzinie rozwodów nie było i nie będzie. I jak sobie jej rozpieszczona córka pościeliła, tak ma spać.

Tylko że ten sen to był koszmar. Koszmar udręczonej kobiety. Skończył się z dniem śmierci męża. Zaczął ponownie w dniu śmierci jedyne dziecko.

Kobieta ponownie przenosi wzrok na grób syna, ociera wierzchem dłoni łzy i po chwili wstaje z ławki. Chce się odwrócić, ale jej laska zaklinowała się w szczelinie chodnika. Traci równowagę i czuje, że za moment się przewróci. Nic takiego się jednak nie dzieje, bo ktoś łapie ją za ramiona.

- Ale ze mnie niezdarą - mówi i spoziera na mężczyznę, który jej pomógł. - Jak dobrze, że pan tutaj był. Dziękuję.

- Nic się pani nie stało? - pyta ją Marek.

- Nie. Miałam szczęście, że pan się tutaj zjawił. Odwiedza pan grób swoich bliskich? - pyta, bo uznaje, że tak wypada.

Marek kręci głową i mówi:

- To z panią chciałem się zobaczyć.

- Ze mną? - Kobieta patrzy na niego podejrzliwie. W jej głowie zaczyna się świecić czerwona lampka.

- Nazywam się Marek Wenta.

- Wenta? - powtarza po nim. - Nie znam żadnego Wenty.

- Wszystko wyjaśnię, tylko proszę, żeby poświęciła mi pani kilka minut - mówi. - Chciałbym o czymś porozmawiać - milknie, żeby po chwili powiedzieć: - To dość delikatna sprawa.

Kobieta mierzy go wzrokiem, a potem unosi laskę i zaczyna nią okładać Marka, który nie spodziewał się tego ataku, więc nie zdążył zrobić uniku.

- Ty hieno, ty! Nawet tutaj za mną łązicie?! Nie sprzedam wam domu! Oddam wszystko biednym, ale nie wam! Mów, kto cię przysłał? Mów, bo mnie popamiętasz!

Mimo że jest dużo drobniejsza i szczuplejsza niż on, nie okazuje strachu. Ponownie się na niego zamierza.

- To pomyłka - mówi Marek, jednak na wszelki wypadek cofa się o kilka kroków. - Nie mam zamiaru niczego od pani kupować.

- Uważaj, bo jeszcze ci uwierzę, że nie chodzi o mój majątek! - Nie może go już dosięgnąć kijem, więc tylko mu nim grozi.

- Ja naprawdę nie jestem zainteresowany kupowaniem czegokolwiek od pani. Chciałem tylko porozmawiać.

- O czym niby? - pyta go. Jest bardzo nieufna.

Marek ostrożnie doбира słowa. Wie, co może powiedzieć, a czego nie powinien. To, że nie powinno go być tutaj wcale, to zupełnie inne zagadnienie.

- Siedem lat temu pani syn spotykał się z moją obecną żoną.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Piotrek nie przywodził nigdy do domu żadnej dziewczyny.

- Rozumiem, niemniej byli przez jakiś czas parą. Rozstali się, a niedługo później ja zacząłem się z nią spotykać. Potem on zginął w wypadku. Okazało się, że Julia była w ciąży. Nie ze mną.

- A co mnie do tego?

- Pani syn ma dziecko. Miał. Julian ma sześć lat.

- Dziecko? - Kobieta wybałusza oczy, a potem zaczyna krzyżeć: - Nieźle to sobie wymyśliliście! Łotry! Nie ze mną te numery! Ja oglądam telewizję, ja wiem, że tacy jak wy posuną się do wszystkiego, żeby tylko osiągnąć swój cel! Wnuczka sobie wymyśliliście! - Ponownie próbuje dosięgnąć go laską. - Ty kanalio!

Marek nie wytrzymuje. To jest właśnie ten moment, w którym jego cierpliwość się kończy. Zbliża się do kobiety, zabiera jej laskę i nachyla się nad nią, do czego obliguje go różnica wzrostu między nimi.

- Ma pani wnuka - mówi przez zaciśnięte zęby. - To najwspanialszy chłopak na całym świecie. A teraz jest chory. Jest tak chory, że może umrzeć. Potrzebuje nowego serca, a ja przyszedłem tutaj po to, żeby się dowiedzieć, czy ktoś w rodzinie pani albo pani męża był chory na serce.

W porywie wzburzenia Marek wyciąga z kieszeni telefon i szuka w nim zdjęć. Gdy znajduje, podtyka jej ekran pod oczy i mówi:

- To on.

Kobieta patrzy na niego, a potem na zdjęcie dziecka. I znowu na Marka. W związku z tym, że nie ma laski, na której mogłaby się wesprzeć, opiera się na pomniku. To, co jej najbardziej nie pasuje w tej historii, to to, że człowiek, który przed nią stoi, wygląda tak, jakby ta sytuacja wcale nie robiła na nim wrażenia. To znaczy jego głos jest bardzo wzburzony, ale twarz pozbawiona emocji. Ponownie zerka na ekran telefonu. To dziecko wcale nie jest podobne do mojego Piotrusia, myśli sobie.

Z jakiegoś jednak powodu nie potrafi oderwać oczu od chłopca. Coś sprawia również, że jej serce zaczyna bić szybciej.

Marek natomiast żałuje każdego słowa, które wypłynęło z jego ust. Żałuje, że tutaj przyjechał. Przecież to tak naprawdę nie ma już żadnego znaczenia. Przecież lekarze potwierdzili, że wada Juliana jest dziedziczna. To od samego początku był zły pomysł, a dzisiejsza kłótnia z Julią tylko go w tym utwierdziła. Dlaczego zatem tutaj przyjechał? Dlaczego w dalszym ciągu stoi przed tą kobietą i trzyma w wyciągniętej dłoni telefon? Dlaczego się nie odwróci, nie wsiądzie do samochodu i nie odjedzie? Co go powstrzymuje?

Nie potrafi odpowiedzieć na te pytania.

- Nie wierzę w to, co pan powiedział - mówi do niego matka Piotra. - Jestem pewna, że nasłali pana moi krewni, którzy ostrzą sobie pazury na gospodarkę. Ale ja zdania nie zmienię. Po mojej śmierci cały mój majątek przepiszę potrzebującym. I oddaj mi moją laskę, złodzieju!

Na co ja tak właściwie liczyłem, zastanawia się Marek. Chowa telefon do kieszeni, podaje kobiecie laskę i odwraca się. Spieprzył ten dzień nie tylko sobie, ale i jej.

Co ona jest winna?

Idzie przed siebie ze zwieszoną głową, uświadamiając sobie, że po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna nie potrafił zapanować nad emocjami i nim dobrze się zastanowił, podjął działanie. Zupełnie jak nie on. Przecież takie zachowanie jest domeną Julii.

- Poczekaj! - słyszy, jak kobieta go woła.

Zatrzymuje się i odwraca. Matka Piotra idzie w jego stronę. Nie śpieszy się. Cały czas na niego patrzy. Zapewne ocenia go i zastanawia się, na ile może mu zaufać. Pewnie uważa, że wcale, co z punktu widzenia wielu ludzi wydawałoby się logiczne.

- Pokaż mi jeszcze inne zdjęcia tego dziecka - mówi, a jej głos brzmi jak rozkaz.

Marek pokazuje jej fotografie Juliana. Na jednej z nich jest też Julia.

- Chwila! - Kobieta patrzy na zdjęcie i przez dłuższy czas nad czymś duma. Przenosi wzrok na Marka. - Może i jestem stara, ale mam pamięć do twarzy. Już ją widziałam. Spotkałam ją przy grobie mojego syna, zaraz po pogrzebie. Nie powiedziała mi wtedy, że jest w ciąży.

- Bo jeszcze tego nie wiedziała.

Marek wyczuwa minimalną zmianę w nastawieniu kobiety. O ile jeszcze chwilę temu chciała go zatłuc laską, tak teraz nie pała już chęcią mordy. I jej emocje są zdecydowanie inne. Co prawda w dalszym ciągu jest nieufna, ale jednocześnie ciekawa.

- Dlaczego nie skontaktowała się ze mną po tym, jak się dowiedziała, że jest w ciąży, co? Mogła mnie uszczęśliwić. O ile to jest naprawdę mój wnuk. - Wskazuje palcem na telefon.

- To jest pani wnuk, a Julia miała swoje powody, żeby się z panią nie kontaktować.

- Jakie powody?

- Nie mogę powiedzieć.

- Nie może pan powiedzieć? - powtarza po nim, a potem dodaje coś, co wprawia Marka w ogromne zdumienie: - Niech więc pan nie mówi. Może to i lepiej. Jak to się mówi, mniej wiesz, lepiej śpisz.

Milknie, co Marek uważa za koniec rozmowy. Dochodzi również do wniosku, że nie ma sensu tutaj dalej stać. Kiedy chce odejść, ona ponownie się odzywa:

- Ja i mąż mieliśmy dwoje dzieci. Córka zmarła, kiedy skończyła trzy latka. Miała chore serce. Bardzo długo nie chciałam zdecydować się na kolejne dziecko, ale w końcu się przemogłam. Piotruś był zdrowy.

- Przepraszam, jeśli poczuła się pani zaatakowana. Ja naprawdę nie miałem złych zamiarów. Moja żona bardzo chciała, żebym panią odnalazł. Zależało jej na tym - mówi Marek, co nie jest do końca zgodne z prawdą. Ale nie jest też kłamstwem. Ot, taki paradoks.

- Musi pan ją bardzo kochać, skoro wychowuje pan z nią nie swoje dziecko.

- Może i nie jestem prawdziwym tatą Juliana, ale to jest mój syn. - Marek ignoruje echo słów Julii, które dobiega z jego głowy, i zaprzecza tej tezie.

- Wie pan, o ile wyobrażałam sobie życie bez męża, który był kanalią, tak bez syna nigdy. A teraz... - Odwraca głowę i patrzy w kierunku grobu, przy którym dopiero co siedziała. - Kiedy mi powiedzieli, że jego już nie ma, nie byłam w stanie w to uwierzyć. Wmawiałam sobie, że to musi być pomyłka. Że to na pewno nie moje dziecko. Mało tego, ja chciałam, żeby to była pomyłka, żeby to syn innej kobiety, nie mój, wyzionął ducha. Na jego pogrzebie był tłum ludzi. Gdy trumna przekraczała mury tego cmentarza, motocykliści, którzy przyjechali go pożegnać, trąbili i robili ogromny hałas. To był jedyny moment, w którym poczułam dumę z tego, że zadawał się z tymi ludźmi. Potem, gdy spuścili trumnę do ziemi i przykryli ją piachem, nie chciałam na nich patrzeć. Ja wiem, że to nie oni odebrali mi syna, ale te ich motory... - Kobieta aż się wzdryga. - Gdyby nie to, on mógłby jeszcze żyć.

- Bardzo mi przykro.

- Proszę tutaj więcej nie przychodzić. - Jej głos zaczyna się łamać. - Jeśli... jeśli ten chłopiec jest naprawdę moim wnukiem i umrze, to ja nie chcę tego wiedzieć. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie poradziłam sobie jeszcze ze śmiercią mojego dziecka. Niepotrzebne mi są kolejne zmartwienia.

Odchodzi, a jej krokom towarzyszy cichnące stukanie laski o cmentarny bruk. Marek ma bolesną świadomość, że popełnił ogromny błąd, przyjeżdżając tutaj. Wsiada do samochodu i jeździ przez kilka godzin bez celu. Kiedy widzi, że kończy mu się paliwo, wraca do domu.

Rozdział 10

Po kilku godzinach nieobecności Marek wrócił do domu.

- Gdzie byłeś? - pyta go Julia.

- Musiałem przemyśleć sobie kilka spraw. Jeździłem samochodem, dopóki nie zaświeciła się kontrolka poziomu paliwa. Byłem też na cmentarzu.

- Na cmentarzu? - Julia powtarza po nim.

- Tak. Spotkałem tę kobietę. Rozmawiałem z nią. Tak jak chciałaś. Powiedziała mi, że miała chorą na serce córeczkę, co potwierdza, że przypadłość Juliana jest dziedziczna. - Czas przeszły sugeruje, że dziecko zmarło, natomiast ton głosu Marka wskazuje na to, że w dalszym ciągu jest mu źle z tym, co usłyszał od Julii.

- Niepotrzebnie tam pojechałeś. Niepotrzebnie z nią rozmawiałeś - mówi Julia.

Marek zastyga z kubkiem w dłoni i patrzy na żonę. Między nimi pojawił się bardzo trudny do przebycia dystans. I nie chodzi o to, że ona siedzi przy stole w jadalni, a on stoi w oddalonej o kilka metrów części kuchennej i zalewa sobie herbatę wrzątkiem. Dzieli ich znacznie większa, emocjonalna odległość.

- Słucham? Możesz powtórzyć? - pyta, bo ma wrażenie, że się przesłyszał.

- Powiedziała, że to było niepotrzebne - odpowiada Julia, skubiąc swoje paznokcie. Robi tak zawsze, gdy się denerwuje.

- Chciałaś tego - przypomina jej Marek, bo najwidoczniej zdążyła już o tym zapomnieć. - Zrobiłem to dla ciebie. I dla nasze... i dla Juliana.

- Tak, ale...

Tak naprawdę to nie ma żadnego „ale”. Julia po prostu potrzebowała powodu do tego, żeby czuć do tej kobiety niechęć. Potrzebowała obwiniać kogoś, kogokolwiek za chorobę jej syna. Kogoś żywego. Kogoś, kogo to zabiło.

- Powiedziałeś jej? - pyta po dłuższej chwili.

- O czym? O tym, że Julian jest jej wnukiem i jest chory? Oczywiście. Przyjęła to, może nie z wielkim spokojem, ale na chłodno. Tak naprawdę to nie wiem, czy w ogóle mi uwierzyła. Bardziej nie niż tak, chociaż na pewno zasiałem w niej wątpliwości.

- Pytam, czy powiedziałeś jej o mnie i o nim. O tym, co mi zrobił.

Marek odkłada kubek na stół. Jest zmęczony zmieniającymi się jak w kalejdoskopie nastrojami Julii. Tak jak i ją, jego również przytłacza choroba syna. Podchodzi do niej, patrzy jej w oczy i głaszcze opuszką kciuka po policzku. Nie musi mówić głośno, co do niej czuje, bo ona to wie. Jednak musi powiedzieć coś innego.

- Wiem, że jest ci cholernie ciężko. Wiem, bo z tobą mieszkam i odczuwam każdą twoją emocję. Mnie też jest ciężko, dlatego bardzo cię proszę, nie dokładaj mi obowiązków i zmartwień, okej? - Patrzy na nią wyczekująco, a kiedy z jej strony nie ma żadnej reakcji, mówi dalej: - Jestem na siebie zły za to, że nie posłuchałem swojej intuicji i tam jeździłem. Wiem, że chciałaś udowodnić tej kobiecie, że jej syn nie był wcale taki wspaniały, za jakiego ona go uważała. Wiem, że chciałaś, żeby cierpiała tak jak ty. Zapewniam cię, że ona cierpi. Bardzo. Nadal nie pogodziła się ze śmiercią syna. To, że chciałaś zrzucić na mnie odpowiedzialność za poinformowanie jej o tym, czego on się dopuścił, nie jest w porządku. Nie mogłem tego zrobić. Po pierwsze, myślę, że ona mogłaby w to nie uwierzyć, a po drugie, uważam, że to i tak by nic nie zmieniło. Najwyżej sprawiłoby, że by nas znienawidziła. Po co? Po co jeszcze więcej nienawiści na tym świecie?

Julia nie ma argumentu, więc milczy. Marek to wie, dlatego mówi coś, co może do niej dotrzeć.

- Nie można obwiniać ludzi za cudze grzechy. Obwiniamy innych, kiedy boimy się spojrzeć w lustro.

- Ja wcale nie...

- Julia, przestań okłamywać samą siebie. - Marek stuka zgiętym palcem w jej czoło i mówi: - Moja piękna, mądra żona. Kobieta, która zna mnie jak nikt inny. Która potrafiła ujrzeć we mnie to, czego inni nie chcieli zobaczyć. Gdzie ona jest? Bo na pewno nie ma jej tutaj ze mną. Chciałbym, żeby wróciła. Przyrzekłem, że będę z nią zawsze. Przyrzekłem, że będę ją wspierał. Chcę to robić, tylko że ona mi na to nie pozwala. Jak ją spotkasz, powiedz jej, że bardzo za nią tęsknię. I bardzo ją kocham - wyznaje, po czym wychodzi z kuchni.

Julia siedzi przy stole zapatrzona w obłoczki pary unoszące się nad kubkiem z herbatą - widać je, a potem nagle znikają. Tak samo jest z ludzkim istnieniem. Jest, a potem go nie ma. Pozostają wspomnienia, fotografie, niedokończone rozmowy, niezadane pytania, niezalatowane sprawy, głucha cisza w telefonie. I tęsknota za bliskością.

Myśli Julii skupiają się na tym, co przed momentem powiedział Marek. Jakaś część jej duszy zgadza się z jego słowami, ale jest też w niej pewna buntownicza istota, która uważa, że on wcale nie ma racji, a ona jest ciągle tą samą kobietą, z którą wziął ślub. I ma prawo być zła, na kogo tylko będzie chciała. Koniec i wykrzyknik. Ten wykrzyknik to dla lepszego przyjęcia tych informacji do wiadomości oczywiście. W jej głowie odzywa się głos, który przypomina jej matkę. Pyta ją, kogo ona tak właściwie chce okłamywać. Jest bardzo oskarżycielski i próbuje ją wpędzić w poczucie winy. Honorata potrafi jej dopiec nawet z zaświatów. Pojawia się też drwiący odpowiednik głosu Piotrka, który również chce rozjechać ją emocjonalnym walcem.

Julia ma dość walki z samą sobą. Idzie na górę, do Marka. Chce go przytulić i przeprosić. Potrzebuje tego. Chce mu też powiedzieć, że tak jak ona może liczyć na niego, tak i on może liczyć na nią. Chce mu powiedzieć, że się zagubiła, ale zrobi wszystko, żeby się odnaleźć. Marka nie ma jednak w sypialni ani w łazience. Julia wchodzi do pokoju syna. On i Marek leżą na łóżku, przytuleni do siebie. Razem z nimi śpi Irysek. Czy to, że Julia w tym momencie zaczyna płakać, kogokolwiek dziwi? Absolutnie. Ostatnimi czasy składa się z nerwów, stresu, wyrzutów i łez. Wychodzi z pokoju. Bierze do ręki swój telefon i pisze SMS-a do Weroniki.

Jak tylko dostaniemy odpowiedź z Poltransplantu i nic nie będzie stało na przeszkodzie, skorzystamy z Waszego prezentu.

Na odpowiedź trzeba chwilę poczekać, ponieważ Weronika dopiero niedawno przerzuciła się ze swojego starego i pocziwego alcatela na telefon z dotykowym ekranem. Julia codziennie dostaje od niej zdjęcia kwiatków i małych kotków.

Bardzo się cieszę, że się zgodziłaś. Dzwonię do Marysi i Ludwika, żeby im to powiedzieć. Przyjadę do Was jutro z ciastem.

Julia stara się nie myśleć o tym, że zostawienie syna na kilka dni z dziadkami staje się faktem. Gdyby poświęciła temu zbyt dużo uwagi, w swojej głowie stałaby się najgorszą matką na świecie. I zapewne zaniechałaby tego pomysłu, nim zaczęłaby pakować walizkę. Nie dane jest jej się jednak skupić na jakichkolwiek rozmyślaniach, bo właśnie dzwoni telefon. To Zofia Maj. Julia, która jest na fali podejmowania odważnych decyzji, postanawia, że koniec z uciekaniem od niewygodnych rozmów. Odbiera.

- Dzień dobry - mówi.

- No nareszcie! Pani Julio, prawie się na panią obraziłam za ten brak kontaktu - śmieje się Zofia. Jej śmiech tylko z pozoru jest beztroski, bo tak naprawdę w środku aż się cała gotuje. Uważa, że przez Julię może stracić dużo pieniędzy, a na to nie ma zamiaru sobie pozwolić. A tak naprawdę to wcale tych pieniędzy nie straci, tylko ich nie zarobi, co jest znaczącą różnicą.

- Proszę wybaczyć brak kontaktu, ale mamy teraz w rodzinie dużo zmartwień. Nasz syn jest chory - mówi do niej Julia, co traktuje również jak pewnego rodzaju wytłumaczenie.

- Mam nadzieję, że niebawem mu się poprawi.

Zofia Maj brzmi tak, jakby uważała, że dziecko Julii jest przeziębione. Tłumaczy ją to, że nie ma pojęcia, co Julianowi tak naprawdę dolega, dlatego Julia uznaje, że powie jej, z czym się borykają, i to spowoduje, że kobieta zrozumie sytuację.

- Tak że sama pani rozumie, nasza sytuacja jest mocno skomplikowana - mówi na koniec.

- Rozumiem i bardzo mi przykro. Mam jednak nadzieję, że mimo wszystko nie wpłynie to na naszą współpracę.

Słowa Zofii wprawiają Julię w osłupienie. Czego ta kobieta nie zrozumiała w zdaniu „Mój syn czeka na przeszczep serca i nie jestem w stanie myśleć teraz o pracy”?!

- Pani Zofio, ja nie mam teraz głowy do... W zasadzie to do niczego poza zajmowaniem się dzieckiem. Ufam, że mnie pani zrozumie. - Julia siada na kanapie w salonie, kładzie nogi na stoliku i przymyka powieki. Czuje coraz większy ból w skroniach. Męczy ją rozmowa z tą kobietą.

- Pani Julio, proszę wziąć pod uwagę, że produkcja tego filmu będzie dla nas wszystkich ogromną szansą - mówi Zofia Maj poirytowanym głosem.

Julia również zaczyna się irtować.

- Pani Zofio, proszę o odrobinę wyrozumiałości. - Pochodna wyrazu „rozumieć” pada z ust Julii po raz kolejny.

- Pani Julio! Postawię sprawę jasno, bo widzę, że inaczej się nie da! - Zofia krzyczy. No dobrze, może nie krzyczy. Po prostu mówi bardzo głośno i uważa, że to sprawi, że tym razem zostanie zrozumiana. - Pani wyraża zgodę na produkcję filmu i niczym się nie przejmuje. Ja wszystko koordynuję. Chodzi tylko o jeden mały podpis. Nie musi być pani obecna w trakcie kręcenia materiału. Może pani zająć się dzieckiem, a ja zajmę się resztą.

Julia milczy, dlatego jej rozmówczyni pyta:

- Mam powtórzyć?

- Nie. Mam bardzo dobry słuch, natomiast pani chyba ma z nim problem. Powtarzam, że moim priorytetem jest w tym momencie mój syn i jego zdrowie.

- Dlatego załatwmy sprawę praw autorskich i będzie pani miała spokojną głowę. Ja wszystkiego dopilnuję.

Maj stara się być cierpliwa, ale słabo jej to wychodzi. Pewnie dlatego Julia słyszy dźwięk płynu wlewającego się do szklanki lub kieliszka.

- Nie.

- Co „nie”? - pyta Maj.

- Nie jestem zainteresowana ekranizacją mojej książki. Jaśniej się już nie da.

- Raczy pani żartować?

- Bynajmniej.

W telefonie słychać najpierw ciszę, a potem przekleństwo, które wypływa z ust Zofii Maj.

- Pani Julio...

- Pani Zofio, powiem to po raz ostatni: Mam świadomość, że to ogromna szansa, mam również świadomość, że już więcej może się nie powtórzyć, jednak z przyczyn osobistych muszę odmówić. To mój wybór, za który biorę odpowiedzialność. Przykro mi, jeśli czuje się pani...

- Przykro? Jest pani przykro? Pani dopiero będzie przykro! Spotkamy się w sądzie!

Kobieta się rozłącza. W dobie telefonów stacjonarnych zapewne rzuciłaby słuchawką, żeby pokazać swojej rozmówczyni, jak bardzo jest nią rozczarowana. Jednak w przypadku telefonu, który kosztował prawie sześć tysięcy złotych, musi się powstrzymać. Kieliszek z Ikei nie ma tyle szczęścia co smartfon.

Siedząca na kanapie Julia może się tylko domyślać tego, co dzieje się w tym momencie w domu Zofii Maj. Mało ją to obchodzi. Sama ma teraz o czym myśleć.

Rozdział 11

Julia jest zdenerwowana. Tyle się dzieje.

Jest dwudziesty trzeci czerwca. Tydzień temu dowiedzieli się, że Julian został zakwalifikowany do przeszczepu. Wpisano go na listę oczekujących, czyli teraz w każdej chwili może zadzwonić telefon, a koordynator zapyta, czy są gotowi i podtrzymują swoją decyzję. Jeśli tak, wsiadają do samochodu i natychmiast jadą do szpitala w Warszawie, bo właśnie tam ma odbyć się operacja. W oczekiwaniu na taki telefon Julian może przebywać w domu, z zastrzeżeniem, że raz w tygodniu będzie się zgłaszał do poradni kardiologicznej na kontrolę, ponieważ trzeba na bieżąco monitorować stan jego zdrowia i przysyłać te informacje do warszawskiego szpitala.

Mogą czekać trzy miesiące, rok, półtora roku... Mogą się również nie doczekać nigdy, ale tego Julia do siebie nie dopuszcza.

- A jeśli zadzwonią, gdy nas nie będzie? - zapytała Marka, nim wyjechał do sklepu, żeby kupić kilka rzeczy. Jadą na parę dni nad morze, chociaż ona tak naprawdę wolałaby zostać w domu i patrzeć w ekranik telefonu.

- Julian będzie z dwiema babciami i dziadkiem. Dobrze wiesz, że oni są w stanie postawić na nogi pół świata, żeby niczego mu nie brakło. Poza tym, nie łudź się, że dostaniemy taki telefon w ciągu tygodnia, od kiedy mały został wpisany na listę oczekujących. Jeden chłopiec czekał siedemset dni, inny cztery lata bez jednego dnia i... - Marek nie kończy zdania.

- I zmarł, bo się nie doczekał - odpowiada mu Julia.

- Jeśli nie chcesz jechać, nie zmuszaj się - mówi do niej Marek. W jego głosie słychać rezygnację.

- Chcę - odpowiada mu bez przekonania, a on kiwa głową i wychodzi z sypialni.

Julia została w pokoju sama. Patrzy w lustro. Widzi tam twarz zmęczonej życiem kobiety. Widzi, jak w ciągu kilku tygodni przybyło jej lat, pojawiły się zmarszczki i siwe włosy. I problemy w związku jej i Marka.

Od dnia, w którym wykrzyczała, że Julian nie jest jego synem, coś się między nimi zmieniło. I chociaż go za to przeprosiła, to nie da się ukryć, że i tak się od siebie oddalili. Julia ma świadomość, że ich małżeństwo może jeszcze nie wisi na włosku, ale niewiele brakuje, aby tak było. Przechodzą kryzys, a złożyło się na to całe mnóstwo czynników. Ostatni raz kochali się ze sobą dzień przed tym, jak Julian trafił do szpitala. Czyli ponad miesiąc temu. Wielu innych rzeczy też nie robili od tego czasu.

Ten wyjazd jest im potrzebny.

- Co robisz? - Julia pyta syna, gdy wchodzi do jego pokoju, żeby poukładać mu ubrania na półkach.

- Rysuję.

Chłopiec siedzi przy biurku i jest odwrócony do niej plecami. W tym momencie nie wygląda jak chore dziecko. Pochylony nad kartką, bardzo mocno skupia się na swojej pracy. Julia podchodzi i patrzy z góry na rysunek. On zadziera głowę i wtedy ich oczy się spotykają.

- Podobna ci się? - pyta ją.

Julia kiwa głową i przełyka ślinę. Jej wzrok skupiony jest na jednym elemencie obrazka. W końcu zbiera w sobie odwagę, żeby zadać pytanie.

- Powiesz mi, co narysowałeś?

- Nas wszystkich - mówi Julian i wskazuje na kartkę. - To jest tata, bo się nie uśmiecha, ale za to narysowałem mu uśmiechnięte serduszko. Bo ty zawsze mówiłaś, że on śmieje się sercem. To jest Irysek, tylko trochę go nie widać, bo schował się za drzewem. I zrobiłem mu czerwony ogon, bo się w niego uderzył. A to jest babcia Weronika. - Palec chłopca wskazuje na najbardziej kolorową postać na obrazku.

- No tak, bardzo podobna - mówi Julia. Pomimo bólu, jaki odczuwa, gdy patrzy na namalowaną Weronikę, nie może się nie uśmiechnąć.

- Tutaj stoi babcia Marysia, a tutaj dziadek Ludwik. Dziadek był na rybach, dlatego ma na sobie kalosze. Ale nic nie złowił. Jak zwykle. A to jestem ja. - Wskazuje na postać, która w przeciwieństwie do pozostałych, stojących na trawie, siedzi na niebieskiej chmurze. - Ja mieszkam w niebie.

- Ale dlaczego? Dlaczego nie stoisz ze wszystkimi? - pyta Julia, a głos się jej załamuje.

- Bo przecież mogę się nie doczekać nowego serduszka. Ale nie martw się, będę was odwiedzał.

Jego słowa sprawiają, że Julia pęka. Przykuca obok niego i tuli go do siebie. Nie chce wypuścić go ze swoich ramion, robi to dopiero wtedy, gdy on kategorycznie tego żąda.

- Mamo, puść mnie!

- Dlaczego uważasz, że nie dostaniesz nowego serduszka? - pyta go.

- Przecież ty i tata powiedzieliście, że jeden chłopiec się nie doczekał i umarł. Słyszałem. - Patrzy na nią swoimi ufnymi oczyma. - I ja już się nie boję, że zamkniecie mnie w pudełku i schowacie do ziemi. Po prostu wymyśliłem, że zapalicie mi tam światło. Tylko, mam, mój miś musi ze mną być w tym pudełku!

- Ale ty się doczekasz na nowe serduszko - mówi Julia, a potem, kiedy zdaje sobie sprawę z tego, że nie da rady dłużej o tym rozmawiać, pyta: - A ja? Gdzie jestem ja?

- Ciebie będę teraz rysował.

Julian bierze żółtą kredkę i zaczyna rysować kolejną postać. Po długości włosów można uznać, że to kobieta. Ustawił ją obok Marka.

- To ty - mówi z dumą.

- Jestem taka duża?

- W twoim brzuszku mieszka dzidzius. Bo przecież jak ja pójde do nieba, to musisz kogoś kochać, żeby nie zwariować. Tak mówiła taka pani w szpitalu. Mamo, mogę się o coś zapytać?

Julia kiwa głową. Nie jest w stanie wydusić z siebie słowa.

- A gdzie się robi takie nowe serduszka? W fabryce? Tak jak prezenty od Mikołaja?

To pytanie pojawiło się po raz kolejny i po raz kolejny Julia była podczas rozmowy sama. Jakimś dziwnym trafem trudne tematy omijają Marka, który przecież jest przeszkolony do rozmawiania o nich. Była to też kolejna kość niezgody między nimi, ponieważ on uważał, że Julek musi wiedzieć, skąd naprawdę będzie pochodziło jego nowe serce, Julia natomiast jest innego zdania i chce oszczędzić swojemu dziecku trosk.

- Z nieba. Twoje nowe serce będzie pochodziło z nieba. - W gardle staje jej gula.

- A dlaczego muszę na nie tyle czekać? Bo ono bardzo długo leci z tego nieba, tak?

- Tak.

- Szkoda. Chciałbym już móc wyjść na dwór i pojeździć na rowerze. I chciałbym iść do szkoły. Tęsknię za moimi kolegami.

- Musisz być cierpliwy. - Julia zdaje sobie sprawę z tego, że cierpliwość i sześciolatnie dziecko nie idą ze sobą w parze.

- Jestem zmęczony.

Ostatnio dość często zdarza się, że Julek nagle przerywa rozmowę albo swoje zajęcie i idzie położyć się do łóżka. Zasypia bardzo szybko.

Julia stoi przy biurku i patrzy na rysunek, a raczej na jeden z jego elementów, czyli ten, który przedstawia siedzące na chmurze dziecko. Nie jest tego świadoma, ale kiwa się cały czas to w przód, to w tył. W takiej pozycji zastaje ją Marek. Podchodzi do niej i kładzie dłoń na jej ramieniu. Pyta, co się stało. Julia przenosi na niego wzrok, podnosi kartkę, pokazuje mu ją i mówi:

- On narysował siebie tak, jakby go już z nami nie było - szepcze Julia, a potem dodaje, że Julian słyszał ich rozmowę o dziecku, które nie doczekało się na przeszczep.

- Moim zdaniem powinniśmy rozmawiać z nim o wszystkim otwarcie - mówi Marek. - On powinien mieć świadomość tego, co może się stać. Przecież jak dorośnie, bo bez wątplenia stanie się dorosłym człowiekiem, dowie się, na czym polega przeszczep.

- Ja nie chcę, żeby on miał teraz taką świadomość. On nie jest na to gotowy. Ma jeszcze czas, żeby to wszystko zrozumieć - mówi szeptem Julia, po czym drżącym głosem streszcza przebieg rozmowy z synem.

Marek ma swoje zdanie na ten temat, o czym Julia doskonale wie. Wie również, że ich zdania bardzo się od siebie różnią.

- To jest dziecko. On jest mały. Za mały, żeby się z tym wszystkim mierzył - mówi Julia.

- Traktuj go tak, jak sama chciałabyś być potraktowana, gdybyś była na jego miejscu. Chodź.

Marek prowadzi ją do sypialni. Kładą się na łóżku.

- Nie musimy nigdzie jechać - mówi do niej. - Jeśli chcesz, zostaniemy w domu.

- Chcę jechać. Tylko nie mogę ci obiecać, że będę potrafiła cieszyć się tym wyjazdem. Będę się starała. - Julia pociąga nosem i pyta: - Kupiłeś wszystko?

- Tak.

Wraz z tą odpowiedzią z ust Marka wydobywa się dźwięk, który przypomina kaszel. Ale to wcale nie jest kaszel. To śmiech.

- Co się stało? - pyta Julia, bo jego reakcja w obecnej sytuacji jest co najmniej dziwna.

- Przypomniało mi się, że jak stałem w kolejce w sklepie, usłyszałem pewną rozmowę. Była dość zabawna.

- Ja już nie pamiętam, kiedy słyszałam coś zabawnego. Opowiesz mi ją?

Całe ich życie kręci się ostatnio wokół choroby syna i chociaż Julia zdaje sobie sprawę z tego, że tak nie powinno być, to nie potrafi myśleć i mówić o niczym innym. W tym momencie postanowiła się przełamać. Czuje, że jest to potrzebne im obojgu.

- Jesteś pewna? - pyta ją Marek, a gdy ona kiwa głową, on opiera plecy o wezgi i mówi: - Przede mną stało dwóch mężczyzn. Jeden mówi, że on i jego żona kupili sobie psa. Golden retrievera. Ledwo ten drugi to usłyszał, zaczął się śmiać. Potrzebował chwili, żeby przestać. I wtedy zaczął opowiadać o swoim psie. Mówił, że on i jego dwaj bracia od zawsze marzyli o tym, żeby mieć w domu psa tej rasy. No i jak byli na studiach, kupili go sobie. Pies był z piekła rodem. Cały czas biegał, kopał w ziemi i bawił się czym popadło. Węża ogrodowego musieli wymieniać średnio raz w miesiącu, tak był pogryziony, a ogródek przed domem wyglądał jak okopy. Ten pies był nie do ogarnięcia. Mieli też sąsiada, który miał jamnika. I ten jamnik był oczkiem w głowie tego człowieka. Sąsiad z kolei był wyjątkowo wyczulony na hałasy i średnio raz w tygodniu wzywał policję, bo w domu braci urządzano imprezy. Wiadomo, jak to u studentów. No i któregoś dnia, po dość mocno zakrapianej imprezie, jeden z braci wyszedł na dwór, żeby iść z psem na spacer. Patrzy, a ten golden retriever biega sobie radośnie po podwórku i trzyma coś w pysku. Okazało się, że to był jamnik.

- Jamnik?

- Martwy.

- Martwy jamnik?

- Tak.

- Zagryzł go? - pyta Julia.

- Tak sobie pomyśleli na początku. Jamnik był oblepiony piaskiem, zakurzony, a golden retriever hasał sobie z nim po ogródku. Zaczęli myśleć, co by tu zrobić, bo przecież nie pójda do sąsiada i nie powiedzą mu, że ich pies ukatrupił jego psa. On pewnie wezwałby policję i zrobiłaby się z tego draka. Wpadli więc na pomysł, żeby umyć tego jamnika, przeleźć przez płot i włożyć go do budy. Że niby tam zdechł. No i tak zrobili. Może tydzień później któryś z braci wyszedł z ich golden retrieverem na spacer i spotkał przy furtce sąsiada. Powiedzieli sobie „dzień dobry”, sąsiad ze smutkiem spojrzął na psa i mówi, że on już ze swoim jamniczkiem na żaden spacer nie pójdzie. Właściciel golden retrievera rżnie głupa i pyta dlaczego. No to mu sąsiad mówi, że niestety jego pupil odszedł. I zaczyna opowiadać, jak to jakoś tydzień temu obudził się rano, patrzy, a jego ukochany jamnik leży na podłodze w domu. Zdechł ze starości. Sąsiad zakopał go w ogródku. I nieprawdopodobna historia się

stała, bo kiedy obudził się następnego dnia, to okazało się, że ten jamnik leżał w budzie. Czysty. Nawet kawałek ziemi, w której był zakopany, nie miał na sobie. Jakby ktoś go wymył.

Julia patrzy na Marka z otwartymi ustami i zaczyna się śmiać. Nie jest w stanie się powstrzymać. Trzyma się za brzuch i zaczyna płakać, ale tym razem nie ze smutku. Ociera łzy i mówi:

- Tak bardzo współczuję temu właścicielowi jamnika, ale ten golden retriever zrobił mi dzień.

Marek chciałby, aby ta chwila trwała zawsze. Żeby Julia była właśnie taka. Radosna. Ona podchwytuje jego spojrzenie i milknie. Wygląda tak, jakby była zawstydzona swoją reakcją. Bo to przecież nie wypada. Nie kiedy jej syn... Nim jednak zdąży na dobre pogрузić się w poczuciu winy, on przyciąga ją do siebie, dotyka czołem do jej czoła i szepcze:

- Śmiech to zdrowie, pamiętaj o tym.

Rozdział 12

- Jak tu spokojnie. Jak pięknie - mówi Julia.

Siedzą z Markiem na plaży i chłoną wszystkimi zmysłami to, co jest w stanie zaoferować im nadmorski klimat. Julia zdjęła buty i porusza stopą w piasku. Ta sensoryczna czynność działa na nią bardzo błogo. Wręcz kojąco. Opiera dłonie za sobą, wystawia twarz do słońca i przymyka powieki. Dźwięki natury pieszczą jej uszy, w nozdrza wdziera się zapach mokrego piasku, morza i sosen, które porastają skarpy za ich plecami. Czuje, jak dłoń Marka powoli wędruje po jej nodze. Uśmiecha się.

Naprawdę potrzebowali tego czasu tylko dla siebie, jednak Julia musiała wcześniej dojrzeć do pewnych spraw. Ledwo wyjechali z Łodzi, a ona już łapała za telefon, żeby zadzwonić do domu i zapytać, czy z Julianem wszystko dobrze. W ciągu dwóch godzin wykonała pięć takich połączeń, aż w końcu Maria, mama Marka, zapytała ją, czy ma do nich chociaż odrobinę zaufania. Julia odpowiedziała, że ma, ale po prostu jest ciekawa, co u nich słychać. Kolejny raz zadzwoniła dopiero wtedy, kiedy dojechali na miejsce, co i tak wystawiło jej cierpliwość na ogromną próbę. Odebrał Julian, który powiedział, że czuje się świetnie, ale nie ma czasu na rozmowę, bo dziadkowie robią dla niego przedstawienie. Okazało się, że Ludwik przebrał się w sukienkę babci Weroniki i będzie odgrywał rolę złej królowej. Chwilę później na telefon Julii zostało wysłane zdjęcie przedstawiające całą piątkę, bo i Irysek brał udział w spektaklu. A Ludwik naprawdę miał na sobie sukienkę.

Wszyscy na tej fotografii byli uśmiechnięci. Dopiero wtedy Julia zrozumiała, że nawet gdyby coś się stało, jej syn jest pod najlepszą opieką. I to był właśnie ten moment, kiedy po raz pierwszy odetchnęła nadmorskim powietrzem, bo zdała sobie sprawę, że postąpiła słusznie, decydując się na ten wyjazd. Ona i Marek zameldowali się w pensjonacie, którego nazwa współgrała z otoczeniem.

Zacisze.

Był to przestronny budynek w stylu loftowej stodoły. Zamiast okalającego teren płotu mnóstwo było tutaj drzew wyznaczających granice posesji. Kolory, które dominowały w otoczeniu, to biel, wszelkie odcienie drewna i zieleni. Sielskość tego miejsca była wręcz namacalna. Na parkingu stało kilka aut, a numery rejestracyjne wskazywały na przyjezdnych z Krakowa, Warszawy i Poznania. W środku przywitała ich recepcjonistka, która z uśmiechem przekazała im klucze do pokoju i poinformowała o porze śniadania.

Droga na plażę wiodła przez las. Ścieżka była dość szeroka, brukowana i nieco kręta. Echem niósł się krzyk mew. Miejscowość, do której przyjechali, nie była typową turystyczną mekką, gdzie parawan przytulony był do parawanu, a sprzedawcy kukurydzy prześcigali się w wymyślaniu okrzyków, które przyciągnęłyby klientów. Było to miejsce idealne dla tych, którzy potrzebowali pobyć sami ze sobą i uciec przed dręczącymi ich problemami. Dziadkowie spisali się na medal.

- O czym myślisz? - pyta Julia.

Od dłuższego czasu ona i Marek siedzą obok siebie w milczeniu i patrzą na spienioną wodę, która delikatnymi falami zahacza o piasek. Marek odpowiada, nie odrywając wzroku od morza:

- Myślę o tym, jak cudownie jest móc zaznać smaku prawdziwej miłości. Dzięki tobie czuję się kochany. I spełniony. - Przenosi wzrok na nią, unosi dłoń i głaszcze żonę po policzku.

Jest szczęśliwy.

- Cieszę się, że tutaj przyjechaliśmy - mówi do niej.

- Nie chcę, żeby to, co jest między nami... nie chcę tego popsuć. - Julia odpowiada mu, a potem przymyka powieki, bo ma wrażenie, że za moment się rozpłaczę. Kiedy uznaje, że zapanowała nad emocjami, kontynuuje: - Zatraciłam się w chorobie naszego syna i całkowicie temu poświęciłam. Wiem, że zawałam. - Chwyta dłoń Marka i przytrzymuje ją na swoim policzku. Tuli się do niej, zdając sobie sprawę z tego, że jednak nie jest w stanie powstrzymać łez. - Wybacz mi. Wybacz mi moje zachowanie. Wybacz mi to, co powiedziałam. Nie miałam prawa. To tak samo twój syn, jak i mój. - Przeprasza go po raz kolejny za swoje słowa, chociaż już wcześniej to zrobiła.

- Nie zrobiłaś niczego, co wymagałoby wybaczenia. Owszem, twoje słowa mnie zabolą, ale wiem, że nie płynęły z twojego serca. - Marek przygarnia ją do siebie i całuje, a kiedy już nasyci się smakiem ust swojej żony, przytula ją i mówi: - Cieszę się, że to rozumiesz.

- Nie potrafię tak do końca wytłumaczyć, co mną wtedy kierowało.

- Wściekłość na świat i na to, co się stało. - Marek nie boi się, że to, co teraz powie, wywoła u niej złość. Czuje, że już nie musi ważyć przy niej słów, co napawa go dumą i pokazuje, że Julia naprawdę nad sobą pracuje. - Bardzo często, jeśli ludzie nie mają na coś wpływu, zamiast zostawić to za sobą i robić wszystko, żeby było lepiej, okłamują siebie i innych, mówiąc, że przerobili trudny temat. A tak naprawdę zatracają się w negatywnych uczuciach do tego stopnia, że w pewnym momencie muszą dać im upust. Potrzebują się na kimś wyładować. A że najłatwiej jest zranić kogoś bliskiego, to tak się właśnie dzieje. Z dwójga złego i tak uważam, że nie można dusić w sobie emocji i lepiej pokrzyknąć, niż milczeć i pozwalać, żeby w środku nas rozlewała się złość. Jedynie ranienie ludzi, których się kocha, nie jest potrzebne.

Julia zadaje Markowi pytanie, które od pewnego czasu zaprzęta jej myśli:

- Jak to jest wybaczyć? Co wtedy człowiek czuje?

Marek odczuwa radość, słysząc te pytania. Powstrzymuje się przed ponownym chwyceniem jej w ramiona, zamiast tego mówi, czym według niego jest wybaczenie.

- Wybaczenie to spokój. To także umiejętność zrozumienia postępowania drugiego człowieka. Nie chodzi o to, żeby zapomnieć i udawać, że coś nie miało miejsca. Należy o tym pamiętać, ale nie rozpamiętywać tego. Wybaczenie nie polega na tym, żeby bagatelizować krzywdy. Każdy ma prawo odczuwać złość, smutek czy też żal. Chodzi przede wszystkim o to, żeby przepracować te uczucia i kiedy przyjdzie na to pora, pozwolić im odejść. Nie jest dobrze, gdy pozostają w człowieku do końca życia. Czasem w wybaczeniu chodzi również o to, aby zrozumieć to, że drugi człowiek nie mógł postąpić inaczej, i nawet jeśli nam się to nie podoba, powinniśmy uszanować jego decyzję.

- Uważasz, że on... - Julia unosi głowę i patrzy Markowi w oczy, a potem wypowiada na głos TO imię: - Uważasz, że Piotrek żałował tego, co mi zrobił?

- Nie mogę tego wykluczyć. Podobno w chwili śmierci człowieka nachodzi refleksja nad jego postępowaniem za życia. Z rozmów, jakie przeprowadziłem z moimi pacjentami, mogę przypuszczać, że faktycznie tak jest. Wielu z nich opowiadało mi o tym, jak spędzili ostatnie dni, a czasem i godziny z bliskimi, którzy odeszli. Zdecydowana większość mówiła, że w ostatnich chwilach życia słyszeli od tych osób rzeczy, do których ich zdaniem one nigdy by się nie przyznały, gdy żyły pełną piersią. A jednak... poczucie końca wszystko weryfikuje. - Marek przesypuje piasek z dłoni na dłoń i mówi: - Nagle okazywało się, że ktoś, kto całe życie potępiał zdrady, przyznawał się do tego, że sam notorycznie zdradzał. Ktoś inny znowu mógł w końcu przyznać, że jego zimne podejście do żony nie wynikało z braku miłości do niej, tylko z tego, że kobiety nigdy nie interesowały go w aspekcie seksualnym. Tylko że musiał się ożenić i spłodzić potomka, żeby sprostać presji otoczenia i zachować pozory. I cierpiał. Cierpiał tak bardzo, że karał innych. Byli też tacy, którzy mówili swoim bliskim, jak ci mają żyć, co jest dla nich dobre, a co nie, a sami nie potrafili poradzić sobie z własnymi demonami. I dopiero na łożu śmierci przyznawali się do tego, że w taki sposób uciekali od odpowiedzialności za własne życie. Prawdopodobne jest więc, że i on zrozumiał i żałował. Chcę wierzyć, że tak właśnie było.

Julia jedną rękę opiera na ramieniu Marka, drugą kreśli na piasku różne wzory. Jej bosa stopa styka się ze stopą męża. Podmuchy ciepłego wiatru co chwilę targają jej włosy. Patrzy na morze i mówi:

- Kiedy tak o tym opowiadasz, o wybaczeniu, wydaje się to takie proste.

- Bo jest. Trudne jest coś innego.

- Co?

- Zrozumienie tego, że wybacząc innym, najbardziej pomagamy sobie.

- Marek, a czy ty uważasz, że jeśli ktoś nie potrafi wybaczać, to można uznać to za wadę?

- Moim zdaniem nie, bo czasem po prostu trzeba nauczyć się pewnych rzeczy. Również wybaczenia. Pamiętaj, że dzisiejsze wady mogą być jutrzejszymi zaletami.

Julia kiwa głową. Robi to z pełną świadomością oraz poczuciem zrozumienia. I nawet jeśli ma do Piotrka żal, gotowa jest podjąć kolejną próbę wybaczenia. Mówi o tym Markowi, co przyjęte zostaje z ogromną radością. Oczywiście nie widać jej na jego twarzy, za to w oczach już jak najbardziej.

Lśnią.

Julia wstaje, otrzepuje się z piasku i wyciąga w stronę Marka dłoni. Idąc ścieżką przez las, przytulają się do siebie. Otacza ich seksualna energia. Wchodzą do budynku, kompletnie nie zwracając uwagi na ludzi wokół. W tym momencie świata poza sobą nie widzą. Ledwo zatrząskują się za nimi drzwi od pokoju, on opiera ją o ścianę i ściąga jej przez głowę sukienkę. Materiał opada na podłogę. Po chwili taki sam los spotyka stanik i majtki, które Julia ma na sobie. Marek łapie ją za pupę i unosi. Ona oplata udami jego biodra, a ramionami szyję. Kiedy ich splecione ciała lądują na łóżku, zaczynają się całować.

Wygląda to trochę tak, jakby nie robili tego od lat.

Kobieca dłoń chwyta pasek od spodni. Przez chwilę się z nim siłuje, aż w końcu rozpina. Tak samo jak i guziki w rozporoku. Nie przestając napierać na usta Julii, Marek pomaga jej w pozbyciu się dolnej części garderoby. Kiedy chce zdjąć koszulkę, musi zaprzestać całowania. Ale tylko na chwilę, tylko na sekundę. Może dwie. I po chwili ponownie się w nią wgryza. Julia czuje na sobie ciężar ciała, które tak bardzo kocha. I które zapewnia jej bezpieczeństwo. Jest mu za to bardzo wdzięczna. Tak dawno się nie kochali, że Marek ma świadomość, że jeśli chodzi o niego, nie potrwa to długo. Podobnie jest z Julią, która jest tak mokra, że gdy on przesuwając swoim udem po jej kobiecości, ona głośno wzdycha.

- Potrzebuję cię - szepcze mu do ucha.

- Ja ciebie też - pada w odpowiedzi.

Marek odwraca Julię w taki sposób, że po chwili oboje leżą na tym samym boku. Zbliża biodra do niej pośladków. Dłoń Marka przesuwając się bardzo powoli po wilgotnym złączeniu jej ud. Głaszcze ją w jej najbardziej wrażliwym miejscu na ciele i jednocześnie szczypie drugą ręką za sutek.

Julia czuje, że jej ciałem zaczyna rządzić coraz silniejsze podniecenie. Wystarczy kilka ruchów dłoni Marka, żeby rozpadła się na kawałki. I tak się dzieje. Zaczyna krzyczeć, chociaż nie ma do końca świadomości, że dźwięk ów wydobywa się z jej ust. Przywiera plecami do torsu Marka, a on w nią wchodzi, kładzie dłoń na jej podbrzuszu i mocno do siebie przytula. Julia chce odwrócić głowę i go pocałować. W tym podniecającym amoku, który ją opętał, trudno jest jej to zrobić, ale w końcu osiąga cel.

Czuje na ustach coś mokrego. Oblizuje wargę. To krew. Nie bardzo tylko wie, czy należy ona do niej, czy może do niego. Nie marnuje czasu na domysły, tylko zlizuje ją z jego ust. A potem ze swoich. I znowu go całuje. Mocno, zaborczo, erotycznie.

Głowa Marka paruje. Chciałby bardzo, aby ta chwila trwała jak najdłużej, ale mózg, który ulokował się pomiędzy jego nogami, podpowiada, że jeszcze kilka ruchów i wytryśnie. Krzyczy. Słyszy kobiecy śmiech. Nie należy on do Julii. Dobięga zza drzwi. Ktoś musiał właśnie przechodzić korytarzem i ich usłyszał. Po chwili słyszy inny śmiech. Radosny. Tym razem śmieje się jego żona.

- Jestem taka szczęśliwa - mówi do niego. - Niech ta chwila trwa wiecznie.

Oboje wiedzą, że chociaż za kilka dni wrócą do swojej smutnej rzeczywistości, to dzięki temu wyjazdowi coś się zmieniło na lepsze. Na dużo lepsze. I nawet jeśli nie wiadomo, co przyniosą kolejne dni, to oni wiedzą, że bez względu na wszystko nic nie jest w stanie sprawić, aby z siebie zrezygnowali.

Czy aby na pewno?

Rozdział 13

Nadmorski zachód słońca od zawsze przyciągał mnóstwo ludzi. I nawet jeśli miejscowość wypoczynkowa zaliczała się raczej do tych ustronnych, to i tak można było zobaczyć na plaży więcej niż dziesięć osób, które przyszły go podziwiać.

Wzrok Julii skupiony jest na trzyosobowej rodzinie.

Mężczyzna stoi przy wodzie, jedną dłoń trzyma w kieszeni spodni, w drugiej dzierży puszkę z piwem, którą co chwilę unosi i wlewa w siebie jej zawartość. Julia ufa, że nie jest to typ turysty, co to traktuje teren plaży jak kosz na śmieci. Przenosi wzrok na kobietę. Możliwe, że swoją rówieśnicę. Siedzi na kocu i rozmawia przez telefon. Ani ona, ani on nie są zainteresowani dzieckiem. Chłopiec tak bardzo przypomina Julii jej własnego syna, że nie potrafi oderwać od niego wzroku.

Patrzy na to, co robi ten na oko siedmio-, może ośmiolatek.

Najpierw ciągnie za rękę tatę, ale on go odgania. Zupełnie jakby dziecko było natrętną muchą. Niezrażony niczym chłopiec podejmuje wielokrotne próby zwrócenia na siebie uwagi ojca, aż ten w końcu traci cierpliwość i fuka na niego. Julia słyszy słowa, które ranią jej serce.

- Daj mi spokój! Nie widzisz, że jestem zajęty? Idź pomarudzić do matki!

Zajęcie ojca polega na picu piwa.

Chłopiec zwiesza głowę i powłócząc nogami, idzie do mamy. Ona ciągle rozmawia z kimś przez telefon. Gdy mały staje przed nią, kobieta zasłania głośnik dłonią i mówi, że za chwilę się z nim pobawi. Zrezygnowany odchodzi kilka metrów od swoich rodziców, kuca przy samym brzegu morza i próbuje złapać dłonią fale. Ta zabawa zaczyna mu się podobać tak bardzo, że na jego ustach można dostrzec uśmiech, którego jeszcze kilka minut temu próżno było tam szukać. Julia patrzy przez chwilę na bawiące się dziecko, a potem przenosi wzrok na Marka.

- Jesteś pewien, że właśnie w takiej pozycji chcesz oglądać dzisiejszy zachód słońca? - pyta.

Jej mąż leży na kocu, dłonie ma zaplecione pod głową, a powieki zamknięte.

- Wolałbym w innej, ale za dużo tutaj ludzi - odpowiada jej.

- W promieniu kilkuset metrów poza nami naliczyłam może pięć osób. To faktycznie tłumy.

- Masz rację. - Marek unosi głowę i rozgląda się dookoła, po czym kieruje wzrok na nią i mówi: - Panuje tutaj taki ścisk, że gdyby nie moja żona, nie miałbym gdzie palca włożyć.

Ponownie kładzie się na kocu i zamyka oczy.

Julia odrzuca głowę do tyłu i śmieje się. Przez chwilę ze sobą rozmawiają, a kiedy ona ma już dość jego zbereźnego humoru, odwraca głowę i ponownie szuka wzrokiem chłopca. Nigdzie go nie widzi. Ojciec stoi sam z dłonią w kieszeni i wzrokiem wbitym w swojego smartfona. Matka siedzi na kocu i nie patrzy w morze, tylko w przeciwległą stronę. Nadal rozmawia z kimś przez telefon.

- Gdzie on jest?

- Kto? - pyta Marek. Otwiera oczy i unosi się na łokciach. - O kim mówisz?

- Ten chłopiec! Przed chwilą tutaj był!

Julia zrywa się z koca i biegnie w stronę matki chłopca. Dopada do niej w momencie, w którym kobieta zanosi się śmiechem. - Pani syn! - krzyczy Julia. - Gdzie on jest?

- O co pani chodzi?!

Kobieta patrzy na Julię oburzona, że przerwano jej rozmowę. Nagle jednak dociera do niej sens zadanego pytania, więc rozgląda się dookoła, a kiedy jej wzrok nie jest w stanie zarejestrować postaci dziecka, gwałtownie wstaje i biegnie w stronę męża. - Filip! Gdzie jest Filip?

- No z tobą przecież był! - pada w odpowiedzi.

- Nie było go ze mną! To ty miałaś go pilnować!

Kobieta rozgląda się dookoła, nawołując syna.

Poza nią, jej mężem, Julią i Markiem w zasięgu ich pola widzenia można dostrzec jeszcze dwie osoby, ale nawet z dość dużej odległości da się zobaczyć, że to dorośli. Wzrok Julii przesuwają się od

lewa do prawa. Zatrzymuje się na wodzie. Zdaje się jej, że coś widzi w dość sporej odległości od brzegu.

Dłoń? Głowa?

Nim zdąży krzyknąć, tuż obok niej ktoś przebiega. To Marek. Przebiega do przodu przez spienione fale. Ona natomiast śledzi go wzrokiem. Wstrzymuje oddech i nie może ruszyć się z miejsca. Za jej plecami słyszczy rozpaczliwy głos matki dziecka i wtórującego mu ojca. Julia nie słyszy, co konkretnie krzyczą, ale wie, że się ze sobą kłócą. I zapewne nawzajem się obwiniają.

- Wasz syn jest w wodzie! - krzyczy Julia.

Oboje momentalnie milkną i błyskawicznie znajdują się obok Julii. Wskakują do morza i biegną w stronę Marka, który wyciągnął dziecko z wody i już zmierza z nim na plażę. W miejscu, w którym był, woda sięgała mu nieco ponad kolana, chłopcu znacznie wyżej. Po chwili dopadają do niego rodzice i wyrwywają mu dziecko z ramion. Mały płacze, krzyczy, kaszle i pluje wodą. Ci ludzie już nie wyglądają jak dysfunkcyjna rodzina sprzed kilku chwil. Gdyby ktoś oceniał ich przez pryzmat tego momentu, uznaliby, że są dla siebie wszystkim. Cóż... na pierwszy rzut oka nie widać tego, że zarówno ojca, jak i matkę dopadło właśnie nieprawdopodobne poczucie winy, które pozostanie z nimi już do końca życia.

- Nie wierzę w to, co się właśnie stało - mówi Julia do Marka.

Oboje patrzą na rodziców, którzy próbują uspokoić syna, w międzyczasie zrzucając na siebie nawzajem odpowiedzialność za tę sytuację.

- To ty miałaś go pilnować! - piekli się matka. - Mówiłam ci, że muszę pogadać z Gością! Potrzebowałam pięciu minut! Pięciu! - Pokazuje mu tyle palców u dłoni. - Nie potrafisz nawet przez chwilę się nim zająć? Jesteś do niczego! Jesteś nieodpowiedzialnym gnojem! - Po tych słowach zwraca się do syna, a jej głos jest już spokojny. - Już, już, Filipku. Nic się nie stało. Poszedłeś sobie po prostu popływać, tak? Nic się nie dzieje. Mama jest przy tobie.

- Nie ja miałem się nim zajmować! - warczy jej mąż. - To ty miałaś na niego patrzeć! Jesteś beznadziejną matką!

Patrzą na siebie z wściekłością. Julia najchętniej już by sobie poszła, tak jest zestresowana tą sytuacją, ale nie może tego zrobić bez uprzedniego upewnienia się, że z dzieckiem wszystko dobrze. Mówi o tym Markowi. On kiwa głową. Podchodzą do rodziny. To Marek zadaje pytanie.

- Co z nim?

- Po prostu się wystraszył - mówi matka.

Jest cała czerwona na twarzy i nie potrafi spojrzeć w oczy Markowi ani Julii. Dobrze wie, że cały czas byli obok i widzieli, że zarówno ona, jak i jej mąż zaniedbali syna. Gdyby im teraz podziękowała za pomoc, przyznałaby się, że oboje z mężem zawinili, dlatego z jej ust nie wypływają takie słowa. Zerka za to na męża, który akurat w tym momencie postanowił patrzeć na swoje stopy. Bardzo szybko dochodzi do wniosku, że będzie musiała rozmyć całą sytuację, dlatego mówi:

- Na szczęście skończyło się tylko na strachu. Zaraz pójdziemy na lody i nasz Filipek o wszystkim zapomni. Prawda, skarbie? - pyta syna.

Chłopiec nie odpowiada. W dalszym ciągu jest wystraszony. Popłakuje, kaszle i tuli się do mamy.

- Może lepiej jedźcie z nim do szpitala albo na pogotowie - sugeruje Julia, bardzo przeczulona na punkcie zdrowia dzieci. - Woda mogła dostać się do płuc.

- Bez przesady - wtrąca się ojciec, tarmosząc chłopca po głowie. - On jest twardzielem. Ma to po mnie.

- Nie wątpię, jednak proszę tego nie ignorować - mówi Julia, która nie potrafi dać za wygraną. - Bardzo państwa proszę. Będę spokojniejsza.

- Ale o co pani chodzi? - pyta mężczyzna opryskliwie, uznając, że ta dziwaczka o dwukolorowych oczach powinna zająć się swoimi sprawami. - Potrafimy zaopiekować się swoim dzieckiem - mówi, wykazując się tym samym mistrzowskim poziomem hipokryzji.

- Ale... - Julia nie potrafi zrozumieć reakcji tych ludzi. Patrzy to na ojca, to na matkę chłopca i nie wierzy, że tak bagatelizują sprawę. Przecież mogło dojść do tragedii.

- Chodźmy już - mówi do niej Marek - ci państwo nie potrzebują naszej pomocy.

Julia pozwala, żeby Marek złapał ją za rękę. Jest jej cholernie przykro, ale przecież nie ona jest matką tego dziecka. Nie ona powinna być za nie odpowiedzialna. Patrzy po raz ostatni na chłopca i widzi w jego oczach przerażenie. Przenosi wzrok na jego rodziców i po prostu wie, że nie odejdzie stąd, dopóki nie powie im tego, co leży jej na sercu. I ma gdzieś to, co oni sobie o niej pomyślą.

Przytrzymuje Marka i mówi:

- Mamę syna. Ma na imię Julian. Ma sześć lat. Nie może tutaj z nami być, bo jest chory. Bardzo chory. Czeką na przeszczep serca. Proszę mi wierzyć, że nie ma na tym świecie nic gorszego niż patrzeć na to, jak życie dziecka powoli gaśnie. Ta sytuacja mogła skończyć się dla was i waszego synka tragicznie. Dbajcie o niego. Dajcie mu poczucie bezpieczeństwa i świadomość, że jest dla was najważniejszy. Popsuty telefon da się naprawić. Popsute dziecko niekoniecznie.

Żadne z rodziców jej nie odpowiada. Mama przytula do siebie syna, ojciec z kolei rozgrzebuje stopą piach. Julia patrzy na Marka, który kiwa głową i obejmuje ją ramieniem, co znaczy, że jest z niej bardzo dumny. Idą po swój koc, a potem podążają ścieżką przez las i wracają do pensjonatu. W tym samym czasie mały Filip i jego rodzice również wracają do swojego letniskowego domku. Chłopiec jest tak zmęczony i marudny, że momentalnie zasypia. Jego mama ucieka do łazienki, gdzie może się wypłakać, biorąc prysznic. Tata otwiera kolejne piwo i siada na tarasie. Zarówno jej, jak i jemu bardzo ciężą dzisiejsza sytuacja, ale w związku z tym, że nie mają w zwyczaju przyznawania się do błędów i zdecydowanie bliżej im do obwiniania innych, postanawiają nigdy więcej o tym nie rozmawiać i zamiatają wszystko pod dywan.

Bardzo możliwe, że ktoś się kiedyś potknie o tę kupkę nadmorskiego piasku.

Rozdział 14

- Lubię tę sukienkę. Najbardziej wtedy, gdy jej na sobie nie masz - mówi Marek na widok Julii, która właśnie wyszła z łazienki. - Ta zmiana klimatu naprawdę ci służy.

Julia podchodzi do niego i zapina mu koszulę. Zaczyna od dołu. Kiedy dochodzi do przedostatniego guzika, zatrzymuje się, przesuwając palcem po jego nagiej skórze, przechyla zawadiacko głowę i mówi:

- Zostawmy tak. Żebym szybciej mogła ci ją potem rozpiąć.

Ich pobyt nad morzem jest wypełniony przytulaniem, pocałunkami i seksem. Czy zachowują się jak spuszczone ze smyczy nastolatki, którym rodzice pozwolili na samodzielny wyjazd na wakacje? Owszem, istnieje takie prawdopodobieństwo.

Poza zdarzeniem z chłopcem na plaży nie stało się nic, co by w jakikolwiek sposób zaburzyło ich spokój. Spędzili tutaj cztery dni, podczas których ich baterie podładowały się bardzo mocno. Ufają, że to pomoże w stawieniu czoła wszystkim problemom. W związku z tym, że jutro wracają do domu, postanowili wybrać się na kolację do pobliskiego miasteczka.

- Lubię widok obrączki na twojej dłoni. To daje mi poczucie bezpieczeństwa - mówi Julia, wodząc palcem po krążku spoczywającym na palcu Marka. - Jesteś dla mnie za dobry. Nie zasługuję na ciebie.

- Wiem.

Jedyna słuszna reakcja w tym momencie to trzepnięcie go w ramię. Julia to robi, a potem pyta:

- Możesz być troszeczkę poważniejszy?

- A nie jestem już wystarczająco poważny?

Julia kręci głową i zaczyna się śmiać. Uwielbia to, jaki Marek ma do siebie dystans. W geście toastu unosi kieliszek z winem. Pozwala sobie na jeden, ot tak, dla poczucia, że jest na prawdziwych wakacjach. Powoli sączy napój, układając w głowie plan na to, jak uatrakcyjnić wieczór. Chce wprawić ich oboje w nastrój, który skończyłby się seksem w samochodzie.

Taki właśnie ma pomysł na ten wieczór.

Oczywiście Marek nie ma jeszcze o tym pojęcia. Ale to tylko kwestia czasu. Najpierw jednak jej mąż musi przestać pajacować, dlatego Julia przysuwa się nieco bliżej i kładzie dłoń na jego udzie. Przesuwa ją bardzo powoli ku górze. Marek patrzy jej w oczy, żyła na jego szyi drga, a klatka piersiowa unosi się i opada szybciej niż zazwyczaj. Tu cię mam!

Kiedy Julia chce wsadzić rękę pod jego koszulę, żeby dotknąć podbrzusza, nad ich głowami rozlega się głos:

- Pani Julia? Co za niespodzianka!

Oboje odwracają się i patrzą na człowieka, który podszedł do ich stolika. Po chwili dołącza do niego młoda kobieta o płomiennie rudych włosach i niezwykle wyrazistych niebieskich oczach. Julia patrzy na mężczyznę i nie potrafi powiedzieć, skąd go zna. Coś jej świta, jednak ostatnimi czasy miała styczność z tyloma ludźmi, że trudno przyporządkować nazwisko do konkretnej twarzy. Jego faktycznie wygląda znajomo. Natomiast tego uśmiechniętego rudzielca, który stoi u boku mężczyzny, wcale nie kojarzy.

- Bystry. Norbert Bystry. - Mężczyzna podaje jej dłoń, potem wita się z Markiem. - Poznaliśmy się w wydawnictwie Zofii Maj. To ja przywoziłem panią do szpitala. - Milknie i patrzy na swoją towarzyszkę. W jego spojrzeniu można dostrzec pewnego rodzaju rezygnację i poczucie, że ta kobieta jest dla niego zbędnym balastem i najprawdopodobniej został zmuszony do spędzenia czasu w jej obecności. Cóż, jest to bliskie prawdy. Kultura nakazuje mu jednak przedstawienie jej, dlatego mówi: - To moja znajoma, Michalina Pankiewicz.

- O matko! - mówi dziewczyna na widok Julii. - Jakie dziwne oczy! Są prawdziwe?

Nie pytając o to, czy Julia i Marek sobie tego życzą, przysiada się do ich stolika. Norbert ma dwa wyjścia. Albo zrobić scenę i ją stąd wyciągnąć, albo się na moment przysiąść. Wybiera drugi wariant, w myślach natomiast dusi Michalinę.

- Gdzie tam - Marek lekceważąco macha ręką - moja żona zakłada je tylko na specjalne okazje. Boże Narodzenie, Wielkanoc, moje urodziny.

- Marek!

Julia gromi męża spojrzeniem, a potem wyjaśnia, o co chodzi z dwukolorowymi oczyma. Jej słowa zostają przyjęte z ogromnym zachwytem. Dziewczyna zasypuje ją pytaniami i wcale nie przeszkadza jej to, że widzą się po raz pierwszy w życiu. Bystry, który wie, że gdy Michalina zacznie mówić, jest nie do zatrzymania, postanawia wtrącić się do rozmowy.

- Pani Julio, wiem od pani Zofii, że chwilowo postanowiła pani zrezygnować z naszego projektu.

Julia zastanawia się nad tym, kiedy podczas rozmowy z Zofią Maj padło słowo „chwilowo”? No przecież nie padło.

- Tak - mówi. - To nie jest dobry czas na tego typu projekty.

- Czy to ma coś wspólnego z pobytem państwa syna w szpitalu?

Julia zerka na Marka, a potem na Bystrego i przytakuje.

- Niestety tak. Czeka nas ciężki czas. Syn jest poważnie chory.

Zapada cisza i Julia uznaje, że to jest ten moment, w którym postronny człowiek, poinformowany o tym, że dziecko rozmówcy jest ciężko chore, nie wie, jak się zachować.

- Wierzmy jednak, że Julian z tego wyjdzie - mówiąc to, znowu zerka na Marka, jakby szukała u niego aprobaty dla swoich słów.

On w odpowiedzi kiwa głową i ściska jej dłoń.

- Czy będę bardzo niegrzeczny, jeśli zapytam, co mu dolega? - pyta Bystry.

- Nasz syn oczekuje na przeszczep serca. - Tym razem odpowiedzi udziela Marek.

- Cóż za niesamowity zbieg okoliczności - mówi towarzyszką Norberta. - To tak jak ty. To znaczy ty już nie czekasz, bo masz nowe serce.

Bystry patrzy na swoją znajomą i nawet nie stara się ukryć niezadowolenia. Ta dziewczyna to go dziś chyba do grobu wpędzi, a przebywa z nią dopiero niecałe sześć godzin. Mało jej było tej draki na stacji benzynowej? W tym momencie, po raz chyba dziesiąty dziś, pyta sam siebie, po co zgodził się iść z nią na wesele?

Mogła znaleźć sobie osobę towarzyszącą na Tinderze. Czy tam TikToku.

No to dlaczego się zgodził? Ponieważ jego młodsza siostra Klara go o to poprosiła. Błagała o litość dla Michaliny, przekonując go, że jeśli jej przyjaciółka pojawi się na ślubie swojego brata sama, rodzina postawi na niej krzyżyk. A dodatkowo chłopak, z którym się przez chwilę spotykała i który jest bratem przyszłej żony brata Michaliny, co brzmi trochę tak, jakby było zaczerpnięte z serialu „Dynastia”, na pewno pojawi się tam w towarzystwie jakiejś panny.

I co? I biedna Michalina ma na to wszystko patrzeć?

Norbert powiedział wtedy, że nie musi. Że mogłaby się odwrócić. Słyszac to, wkurzona Klara zapytała, czy chciałby, aby ona, jego rodzona siostra, została postawiona w podobnie żenującej sytuacji? Odpowiedział jej, że nie będzie marnował swojego cennego czasu na zastanawianie się nad tym, a biorąc pod uwagę to, że on ma czterdzieści trzy lata, a Michalina dwadzieścia cztery, nie ma ochoty na niańczenie jej. Na dobrą sprawę mogłaby być jego córką, wszak życie seksualne zaczął bardzo wcześnie i z ogromnym rozmachem. Czasem, gdy patrzył na jakąś kobietę, zastanawiał się, czy nie wisi komuś w świecie osiemnastu lat alimentów po półgodzinnej orgii.

Zgodził się jednak pójść na to wesele. Zrobił to dlatego, że wiedział, że Klara nie da mu spokoju. Zrobił to także z litości. Ledwo jednak Michalina wsiadła do jego samochodu, pożałował swojej decyzji. Buzia się jej nie zamykała od momentu wyjazdu z Warszawy. Można powiedzieć, że podczas drogi nad morze dowiedział się o niej wszystkiego, czego jeden człowiek może dowiedzieć się o drugim. Niektóre rzeczy to nawet kilka razy usłyszał.

A teraz ona ma jeszcze czelność mówić tym ludziom o czymś, co go tak strasznie deprymuje.

- Naprawdę miał pan przeszczep serca? - pyta Julia, a Norbert niechętnie kiwa głową. - A ile... to znaczy ja wiem, że każda sytuacja jest inna, ale ile lat temu to było? Jak długo żyje pan z nowym

sercem? – Ta informacja była dla niej bardzo cenna.

– Dwudziestego ósmego września minie siedem lat.

– Siedem lat? To cudownie! Marek, słyszysz to?

Marek słyszy wszystko.

– Przy dobrych wiatrach zostało mi jeszcze ponad dwadzieścia. O ile oczywiście będę unikał stresujących sytuacji. I ludzi. – Wypowiadając te słowa, spojrzął wymownie na Michalinę. To jest właśnie ten moment, w którym śmiało można powiedzieć, że spojrzenie wyraża więcej niż tysiąc słów. Tysiąc niecenzuralnych słów.

– Jak wygląda teraz pana życie? To znaczy po przeszczepie?

Julia jest tego bardzo ciekawa. Czytała mnóstwo artykułów, w których ludzie opowiadali swoje historie, ale jeszcze nigdy nie spotkała kogoś, kto nosi w sobie serce innego człowieka. Czuje jednocześnie lęk, podekscytowanie i ogromną potrzebę rozmowy z tym mężczyzną.

– Jest pan aktywny fizycznie? Bo że zawodowo, to wiem. I jak choroba objawiła się u pana? Jeśli jestem zbyt bezpośrednia, proszę mi to powiedzieć. Ja po prostu staram się zebrać jak najwięcej informacji, które pomogą nam zrozumieć chorobę naszego synka. – Zerka na Marka i dodaje: – Jeśli podzieli się pan z nami swoją historią, będziemy bardzo zobowiązani. Zrozumiem oczywiście, jeśli nie będzie pan chciał tego zrobić.

Bystry widzi w oczach Julii ogromną prośbę. Wzmianka o dziecku i w ogóle to, że był niejako naocznym świadkiem dramatu tych ludzi, sprawia, że kiwa głową. Zamawia dla siebie wodę, jego partnerka prosi o drinka. Norbert nie chce mówić, nim kelner nie przyniesie napoi. Nie lubi rozmawiać o przeszczepie. Wystarczy mu, że czuje się zobowiązany wobec rodziny swojego dawcy, a że do czasu choroby żył jak król świata i nie był od nikogo zależny, jest mu to bardzo nie na rękę. Splota dłonie przed sobą i patrzy na nie.

– Choroba dopadła mnie nagle, dziesięć lat temu. Do tego czasu robiłem wszystko. Biegałem, jeździłem na nartach, pływałem, trenowałem sztuki walki, chodziłem na siłownię cztery razy w tygodniu. Zastąpiłem w trakcie podnoszenia ciężarów. Zbagatelizowałem to, ale kiedy dwa miesiące później sytuacja się powtórzyła, a ja dodatkowo w międzyczasie odczuwałem ogromne zmęczenie, pogorszenie kondycji i zawroty głowy, poszedłem w końcu do lekarza. Zlecił wykonanie EKG. Badanie wykazało, że w moim sercu pojawiły się pewne nieprawidłowości. Założyli mi holter. Na wyniki miałem czekać tydzień, ale już następnego dnia po jego oddaniu dostałem telefon, że mam się natychmiast zgłosić do szpitala. Okazało się, że urządzenie zarejestrowało podczas mojego snu bardzo niebezpieczny częstoskurcz komory sercowej. Wysłano mnie na biopsję. Kardiomiopatia rozstrzeniowa. Taki usłyszałem werdykt. Można powiedzieć, że od tego czasu zacząłem prowadzić życie kanapowe. A co konkretnie dolega synowi? – pyta, bo chce na chwilę przestać opowiadać o sobie.

– Kardiomiopatia restrykcyjna. – Julia i Marek odzywają się w tym samym momencie.

Bystry kiwa głową ze zrozumieniem, upija kilka łyków wody i kontynuuje:

– Jedyne, co mogę powiedzieć, to to, że doskonale was rozumiem i mam nadzieję, że znajdzie się dawca dla waszego synka. Nie ma go tutaj, bo musi być podłączony do komory, tak?

– Na szczęście nie ma takiej potrzeby. – Na jego pytanie tym razem odpowiada Marek. – Nasz syn został w domu, z dziadkami. My potrzebowaliśmy trochę wytchnienia.

– Rozumiem. Czasem człowiek potrzebuje złapać odrobinę oddechu od tych wszystkich problemów. Bo nie uciec. Od kłopotów nie da się uciec. – Bystry zerka na Michalinę, a potem znowu na swoje dłonie. – Mnie przez blisko trzy lata pomagały leki, potem niestety było coraz gorzej. Serce rosło za szybko. Powiedziano mi, że jedyny sposób na wyleczenie tej kardiomiopatii to przeszczep. Nie jadłem, nie piłem, spałem na siedząco, żeby się nie udusić. Potem trafiłem do szpitala i zakwalifikowano mnie do przeszczepu. I nagle mój stan zaczął się pogarszać. Było tak źle, że wszczepiono mi sztuczną komorę. Nie mogłem wyjść do domu. Leżałem więc na szpitalnym łóżku i patrzyłem w sufit. Żeby było jeszcze zabawniej – robi w powietrzu cudzysłów – dziewczyna, która

miała zostać moją żoną, kiedy dowiedziała się, jak źle ze mną jest, zostawiła mnie. Chyba nie muszę mówić, o czym wtedy myślałem... Byłem fizycznym i psychicznym wrakiem, bez nadziei na to, że znajdzie się dla mnie dawca. A co robi się z wrakami?

- Zatapia się je - mówi Marek.

- Otóż to. Dodatkowo po wszczępieniu komory zostałem zawieszony na liście oczekujących na transplantację, ponieważ doszło do powikłań. Lekarze bardzo długo głowili się, co zrobić, żebym z powrotem na nią wskoczył. To był najgorszy czas w moim życiu, a ja nie miałem pojęcia, na co tak właściwie czekam. Zastanawiałem się, po co żyję, skoro nie mogę dostać serca.

Norbert przez chwilę uważnie przygląda się Julii, a widząc jej nietęgą minę, pyta:

- Czy moje słowa nie są zbyt mocne? Przepraszam, ale nie potrafię mówić o tym w inny sposób, więc może nie powinienem...

- Proszę mówić - odpowiada mu Julia, chociaż faktycznie jest jej dziwnie, kiedy to wszystko słyszy. No ale czego się spodziewała? Tęczy i jednoróżców?

- Byłem pogodzony z nieuchronnym, aż tu nagle przyszedł do mnie lekarz i mówi, że ponownie znalazłem się na liście. Zdecydowali nie odbierać mi szansy na życie, mimo że do tego wszystkiego doszedł jeszcze problem z torbielą, która pojawiła się na mojej trzustce. Nie mogli jej operować, bo mógłbym takiej operacji nie przeżyć, a nawet jeśli się udało, to rekonwalescencja mogłaby trwać zbyt długo. Ostrzegli również, że wraz z tą decyzją ryzyko śmierci podczas transplantacji znacznie wzrasta. Nie miało to dla mnie znaczenia, można nawet powiedzieć, że odetchnąłem, bo uznałem, że znowu mam cel w życiu. Że przynajmniej teraz mam na co czekać. I nawet gdyby była to śmierć, to ja już byłem z tym pogodzony. Bo to też było jakieś rozwiązanie mojej sytuacji. Przynajmniej skończyłoby się trwanie w zawieszeniu. Cztery miesiące później okazało się, że mają dla mnie serce. Zgadzało się wszystko: grupa krwi, waga dawcy. Zapytali mnie, czy jestem zdecydowany. - Bystry pochyla głowę i wykonuje ruch dłonią, który może świadczyć o tym, że coś wpadło mu do oka, a on musi to natychmiast usunąć. Potrzebuje chwili, żeby pozbyć się problemu. - Zgodziłem się, chociaż miałem obawy, czy operacja się uda, czy nie będzie odrzutu i czy leczenie immunosupresyjne nie będzie niosło ze sobą żadnych powikłań. To, że teraz z wami siedzę, potwierdza tylko, że moje obawy były bezpodstawne, a lekarze stanęli na wysokości zadania.

- A życie po przeszczepie? Jak ono wygląda? - pyta Julia.

- Mogę robić wszystko to, co zdrowy człowiek. Tylko nieco ostrożniej.

- A co z uprawianiem seksu?

Tego pytania nie zadała Julia, tylko Michalina, która dopiero po wypowiedzeniu go na głos zdała sobie sprawę z tego, że naprawdę to zrobiła. Tak się zasłuchiwała w tę historię, że kompletnie nie zapanowała nad swoim aparatem mowy. Norbert z kolei już dawno doszedł do wniosku, że ona jest typem osoby, która nie potrafi ugryźć się w język, nim palnie coś głupiego.

- Seks mogę uprawiać tylko z własną ręką. Swoją drogą, nikt nie jest w stanie z nią konkurować - odpowiada na jej pytanie. Jest również o krok od tego, żeby powiedzieć, że na jutrzejsze wesele idzie sama. Przecież on jej nawet nie lubi. Ledwo ją toleruje.

Julia, która patrzy na tę dwójkę, z trudem powstrzymuje się od śmiechu, a jej bardzo niezależna pisarska dusza tworzy w głowie ich historię. Zerka na Marka, który oczywiście zachowuje kamienny wyraz twarzy. Bystry dopiero teraz to dostrzega.

- To pan!

- To ja - odpowiada mu Marek.

- Chodzi mi o to, że to pan jest bohaterem książki. To znaczy pana wada. To znaczy Moebius.

- Tak. Potwierdzam swój udział w tym projekcie.

Bystry patrzy na niego. Puzzle zaczynają wskakiwać na swoje miejsca. Kiedy on i Julia poznali się w Warszawie, powiedziała mu, że jest niejako bohaterką książki, którą chciał zekranizować. Czytał ją. Scena gwałtu i wszystko z nim związane zostało opisane w taki sposób, jakby autorka doskonale zapoznała się z tematem, albo... albo doświadczyła tego wszystkiego na własnej skórze.

- Co ci jest? - Michalina macha mu dłonią przed oczyma.

- Zamyśliłem się.

- A może zakochałeś?

- Za stary jestem na to, żeby się zakochiwać.

- Na miłość nigdy nie jest za późno - mówi Marek. - Mnie dopadła w wieku czterdziestu lat.

Bystry zaplata dłonie na piersiach. Ma świadomość, że Michalina od dawna wodzi za nim maślanym wzrokiem, stąd te zaczepne teksty. Uznaje więc, że to, co zaraz powie, jest bardzo potrzebne. I może ona w końcu da mu święty spokój. Oczywiście w międzyczasie po raz kolejny wyrzuca sobie, że niepotrzebnie zgodził się na bycie jej osobą towarzyszącą, bo to przecież mogło narobić jej nadziei. Gdzie tam „mogło” - narobiło!

Dochodzi również do wniosku, że im starszy jest, tym głupszy.

- Jeśli spotka się odpowiednią kobietę, to i owszem. Jednak ja nie mam zamiaru jej szukać - mówi. Każde słowo, które wypływa teraz z jego ust, użyte jest w konkretnym celu. - Nie jestem pewien, jaki termin przydatności ma na tym świecie mój paszport, bo równie dobrze mogę żyć jeszcze dwadzieścia lat, jak i dwa tygodnie. Dlatego nie wziąłbym na siebie odpowiedzialności za posiadanie rodziny, mając świadomość tego, jak kruche jest moje życie. Nie mam zamiaru pakować się w stałe związki.

- Taka deklaracja wynika z odwagi - mówi Marek, a potem dodaje: - Albo i ze strachu.

Bystry wzrusza ramionami. Nie musi odpowiadać, żeby Marek wiedział, co tak naprawdę nim kieruje. Siedząca obok niego Michalina milczy, co jak na nią jest bardzo dziwne, ponieważ potrafi wypowiedzieć sto słów na minutę, i to bez zająknięcia. Patrzy na Norberta przez dłuższą chwilę.

- Ubrudziłem się? - pyta ją.

- A wzięłeś pod uwagę, że może istnieje kobieta, której nie przeszkadzałaby twoja choroba? I nie miałoby dla niej znaczenia to, czy spędzi z tobą dwadzieścia lat czy też dwadzieścia dni, bo tak bardzo by cię kochała? - pyta go. Aż dziw, że nie mówi, że to ona jest tą kobietą.

- Miłość to słabość. - Norbert wskazuje dłonią na mostek, czyli miejsce, w którym pod jego koszulą znajduje się blizna. - Możliwe, że człowiek, który zmarł, żeby ja mógł żyć, miał żonę, rodzinę, dzieci. I zostawił ich samych. Czy tak ma być? Czy ludzie mają za sobą tęsknić i żyć wspomnieniami? Czy mają celowo narażać kogoś na cierpienie? Mnie jest dobrze tak, jak jest, i na szczęście nie będę musiał zaprzętać sobie głowy zastanawianiem się nad tym, co by było gdyby.

- No bo przecież zdrowy człowiek ma zapewnioną późną starość u boku ukochanej osoby i wcale nie przydarzy mu się nagła śmierć, czego najlepszym przykładem jest mężczyzna, o którym przed momentem wspomniałeś - kpi z niego Michalina. - Idąc twoim tokiem rozumowania, to każdy związek pozbawiony jest sensu. - Po wypowiedzeniu tych słów patrzy na Julię i Marka i mówi: - Wasz też.

- Pozwól, że każdy sam będzie decydował o swoim życiu - mówi Bystry. Jego górna granica irytacji została przekroczona.

Michalina wstaje od stołu i mówi:

- Przepraszam, muszę iść do łazienki.

Julia, która z ogromną ciekawością wsłuchiwała się w tę wymianę zdań, patrzy za odchodzącą dziewczyną. Głodzi też Marka po dłoni i po chwili mówi, że również musi skorzystać z toalety. Kiedy i ona znika, Norbert przeprosza Marka za to, że musiał tego wysłuchiwać. Wspomina coś o niedojrzałych emocjonalnie kobietach i durnych młodszych siostrach, które bawią się w swatki.

- Kiedy poznałem moją żonę, miała dwadzieścia pięć lat. Ja czterdzieści. Przyznam, że jej niektóre pomysły bywały zaskakujące. Tymczasem siedem lat później... - Marek pokazuje dłoń, na której widać obrączkę.

- Znam Michalinę, od kiedy była małą dziewczynką, i nigdy nie rozpatrywałem naszej znajomości w relacji damsko-męskiej. To ona sobie coś ubzduriała. Dla mnie ta dziewczyna jest zbyt ekspresyjna, zbyt naiwna. Można nawet powiedzieć, że zbyt dziecinna. Zresztą, o czym my w ogóle mówimy? Mój

typ kobiety nie załatwiał swoich potrzeb w pieluchę w czasie, kiedy ja kupowałem w kiosku swoje pierwsze prezerwatywy. Michalina jest młoda. Dla mnie za młoda i za głupia.

- Owszem, jest młoda, ale to nie znaczy, że głupia. Każdy wiek rządzi się swoimi prawami, a doświadczenia zbieramy przez całe życie. Czasem warto pomóc komuś w poznawaniu życia - mówi Marek.

- Nie czuję potrzeby, żeby zostawać jej nauczycielem - mówi Bystry - ale jestem pewien, że znajdą się tacy, którzy chętnie jej w tym pomogą. Brzydka nie jest, to trzeba przyznać.

- W życiu nie chodzi o to, czy ktoś jest brzydki, czy ładny, lecz o to, co ma do zaoferowania światu.

Marek, który uwielbia analizować ludzką naturę, ma poniekąd w głowie nakreślony portret psychologiczny mężczyzny siedzącego naprzeciwko niego. W jego opinii Norbert Bystry trwa w poczuciu winy ocalałego. Pyta go, czy mogą mówić do siebie po imieniu.

- Pewnie.

- Powiedz mi, Norbercie, wiesz, kto był twoim dawcą? Bo słyszałem, że można poznać wiek, płęć i miejsce zamieszkania.

- To był motocyklista. Miał trzydzieści lat. Serce jechało do mnie z Łodzi. To wszystko, co wiem.

- I twój przeszczep miał miejsce dwudziestego ósmego września, tak? - Marek chce się tylko upewnić, chociaż to w zasadzie pro forma.

- Tak.

Chociaż Marek doskonale wie, że nie ma czegoś takiego jak zbiegi okoliczności, to nie może wyjść z szoku. Jeśli los chciał mu pokazać, że coś takiego jak przypadek nie istnieje, to wyszło mu to perfekcyjnie. Zerka w stronę drzwi do toalety, a potem znowu na Norberta i mówi:

- To, co teraz powiem, może wydać się nieprawdopodobne. W zasadzie takie się właśnie wyda. Może istnieć takie prawdopodobieństwo, że człowiek, którego serce bije w twojej piersi, skrzywdził kiedyś moją Julię. Bardzo ją skrzywdził. Bez względu na to, czy to prawda, czy nie, uważam, że ona nie jest gotowa, żeby się o tym dowiedzieć. Nie wiem, czy kiedykolwiek będzie na to gotowa. Oczywiście mogę się mylić i to może być tylko przypadek, bo tego dnia w szpitalu w Łodzi mógł umrzeć równie dobrze inny trzydziestoletni motocyklista, którego serce trafiło do ciebie.

Norbert potakuje głową. Ostatni klocek układanki wskoczył właśnie na swoje miejsce. On już wie, dlaczego wtedy, w Warszawie, Julia wydała mu się taka znajoma. Prawdopodobnie znali się wcześniej. I to nie tylko z widzenia. Do tej pory nie wierzył w to, że przeszczepione serce ma wspomnienia. Do tej pory nie wydarzyło się nic, co dawałoby ku temu jakiegokolwiek przesłanki.

Chce mu się bardzo pić. Kiedy zaspokaja pragnienie, mówi Markowi o swoich odczuciach podczas pierwszego spotkania z Julią.

Rozdział 15

- Dlaczego to musiał być on? Dlaczego musiałam zakochać się akurat w nim? Ja ci powiem dlaczego! Bo tylko taka kretynka jak ty zakochuje się w starszym o dziewiętnaście lat bracie swojej przyjaciółki! Przecież ty jesteś nienormalna! Nie mogłaś zakochać się w kimś, kto jest młodszy? W kimś, kto by cię chociaż trochę lubił? No oczywiście, że nie, Michalina! Przecież ty uwielbiasz komplikować sobie życie! Jesteś w tym mistrzynią! Zobaczysz, że skończysz sama, dodatkowo otoczona obrazami kotów!

Michalina jest pewna, że w łazience nie ma nikogo poza nią, więc może uzalać się nad swoim losem w towarzystwie muszli klozetowej. Z impetem otwiera drzwi od toalety i zastyga w miejscu. Naprzeciwko niej, opierając się o marmurowy blat z rzędem umywalek, stoi Julia. Nawet nie zastanawia się, co słyszała, bo z jej szczęściem pewnie wszystko.

- Przesuń się, bardzo cię proszę - mówi do Julii, kiedy z wysoko uniesioną głową podchodzi do umywalki. - Jeśli nie masz ze sobą dziesięciu pączków na pocieszenie, to wyjdź i pozwól mi cierpieć w samotności.

Jest przyzwyczajona do tego, że dzień bez przyniesienia sobie wstydu jest dniem straconym. A dziś to chyba pobiła wszelkie rekordy.

- Dziewiętnaście lat? Szacunek - mówi Julia. - Mój mąż jest ode mnie starszy tylko o piętnaście.

A nie mówiłam?, myśli Michalina. Słyszała wszystko.

- Że niby ma mnie to podnieść na duchu i pocieszyć? - pyta. - Przecież on nawet nie wie, że ja istnieję. W sensie, nie twój mąż. Mam na myśli Norberta.

- Irytujesz go tak, że na pewno zdaje sobie sprawę z twojej obecności.

- No właśnie o tym mówię!

- Co akurat nie jest złe, bo wywołujesz w nim emocje - dodaje Julia.

Michalina wzdycha i nanosi na dłonie mydło w płynie. Odkręca kran i myje ręce, poświęcając tej czynności wiele uwagi.

- Kim on dla ciebie jest? - pyta Julia.

- Nikim. Problem w tym, że nikim. - Michalina wyciera dłonie i wrzuca papierowy ręcznik do kosza, a potem podobnie jak Julia opiera się tyłkiem o marmurowy zlew. - To brat mojej przyjaciółki. Ubłagałam ją, żeby ona ubłagała jego, żeby zgodził się pójść ze mną na wesele. Wyobrażałam sobie, że skoro zajmuje się produkcją tyłu filmów, to musi być w nim chociaż odrobina romantyzmu i nasza podróż z Warszawy nad morze zmieni się w cudowną wyprawę. A on, gdy zrozumie, że to właśnie ja jestem tą jedyną, z bagażnika swojego samochodu wyjmie pierścioneńkę zaręczynową i mi go wręczy. Bo oczywiście wozi go tam na wszelki wypadek. No wiesz, gdyby spotkał miłość swojego życia. To znaczy mnie. Bardziej prawdopodobne jest jednak to, że raczej mnie tam wsadzi. Do tego bagażnika.

- Dlaczego?

- Bo całą drogę buzia mi się nie zamykała. Chciałam mu się po prostu pokazać z jak najlepszej strony. Chciałam, żeby zobaczył, ile nas łączy. Lubimy tę samą muzykę, jedzenie... Nawet kibicujemy tej samej drużynie piłkarskiej. Oczywiście on nie musiał mi tego mówić, bo ja to wszystko wiem. Od Klary.

- I nie zadziało? - pyta ją Julia.

- Nie za bardzo.

- To co poszło nie tak?

- Zrobiłam z siebie idiotkę. Jak zwykle w jego towarzystwie. On ma w sobie coś takiego... No coś takiego, że po prostu mięknie mi wszystko. A najbardziej mózg, przez co zachowuję się tak, jakbym miała dwanaście lat. Przy nikim innym nie potrafię się tak skompromitować, jak przy nim. - Michalina nie ma problemu ze zwierzaniem się ze swoich uczuć, na dobrą sprawę całkiem obcej kobiecie.

- Ile miałaś lat, gdy się w nim zakochałaś?

- Dziesięć - mówi.

- Ile???

- No może jedenaście.

- I trzyma cię do dziś?

- Jak widać.

- Czyli on był wtedy koło trzydziestki?

- Tak. - Michalina potwierdza i szybko dodaje: - Ale przysięgam, że mnie nie dotknął! Prowadzał się z taką Magdą. Ależ jej nie znosiłam! Zostawiła go, jak się okazało, że rokowania są bardzo kiepskie. I w sumie wtedy bardzo ją polubiłam. - Michalina zaczyna chodzić po pomieszczeniu, a jej słowom towarzyszy nerwowa gestykulacja. - Ja mam na jego punkcie obsesję. Jego siostra uważa, że kwalifikuję się na przymusowe leczenie, bo kiedyś jej powiedziałam, że zrobię specjalizację z geriatrici i będę się nim opiekowała na starość. Myślałam, że to wesele to moja szansa na to, żeby on zrozumiał, kim dla mnie jest. Jednak jak na razie to chyba tylko utwierdza się w przekonaniu, że naprawdę jestem nienormalna. Jak nic będę dziś tonęła w chusteczkach higienicznych. I wódce. A tak w ogóle, to po co tu przysłaś? Aż tak bardzo widać, że cierpię?

Michalina mówi tak szybko, tak dużo, tak chaotycznie, ale przy tym również rozumiale, że Julia jest w szoku. Mogłaby się z nią zaprzyjaźnić.

- Chciałam ci pomóc.

- Mnie się nie da pomóc. Jestem żałosna, wiem to.

- Nie jesteś.

Michalina staje przed lustrem, opiera dłonie na blacie i patrzy przed siebie.

- Ja już wiem, że on nigdy nie zwróci na mnie uwagi. A to, co powiedział, że nie chce być z żadną kobietą na stałe, bo boi się, że umrze i ją zostawi...

- Dziwisz mu się?

- Ale ja bym go nie zostawiła! Wiem, że mi nie wierzysz! Wiem, że na początku wszyscy tak mówią! Ale ja bym tego nie zrobiła!

- Powiedz mi, twój tata...

- Nie znam go - odpowiada szybko Michalina, wchodząc Julii w słowo - i wiem, dokąd zmierzasz. Możliwe, że to właśnie to. Że przez brak ojca moja psychika jest tak popieprzona. Jestem jedynaczką, córką matki samotnie wychowującej dziecko. Kiedy bawiłam się z Klarą i widziałam, jak Norbert się nią zajmuje, zazdrościłam jej tego. I wyobrażałam sobie, że on zajmuje się tak mną. To nie było tak, że od dziecka myślałam o nim w seksualnych kategoriach. Do szesnastego roku życia nie miałam pojęcia, czym jest seks. To znaczy coś tam wiedziałam, ale że robi się to tak czy tak, to już nie. Dla mnie to zawsze było tylko przytulanie. Moja mama niekoniecznie chciała mnie uświadamiać, co mnie osobiście bardzo dziwi, bo zawsze lubiła otaczać się mężczyznami. Dopiero koleżanki w szkole nakreśliły mi temat. I właśnie wtedy siekło mnie tak konkretnie. Chodziłam nawet do psychologa. I wiesz, co mi powiedział?

- Co?

- Że moja dziecięca dewiacja mogła ukształtować mnie na resztę życia. I że to trzeba leczyć. I najlepiej by było, gdybym zgłosiła się do szpitala psychiatrycznego na obserwację i odseparowała się od, jak to nazwał, człowieka, którego traktuję jak swoją ofiarę.

- Serio? - Julia jest zaszokowana tym, co usłyszała. Uznaje, że ten psycholog musiał uczyć się z innych książek niż Marek, dla którego najważniejszy jest człowiek, a nie postrzeganie go przez system.

- System nie może ocenić twojej wartości. Tak zawsze powtarza mój mąż - mówi Julia.

- Serio? A ty? Co ty uważasz?

- Po tym, co widziałam i co teraz od ciebie usłyszałam, odnoszę wrażenie, że ulokowałam w tym mężczyźnie swoje dziecięce uczucia, ponieważ od zawsze brakowało ci kogoś, kto mógłby się tobą zaopiekować. Męskiego wzorca. Im byłaś starsza, tym te uczucia bardziej rozkwitały i nabierały mocy.

Zresztą to chyba nie jest żadna tajemnica i ty to doskonale wiesz. I zapewne gdy rozkwitłaś, zakochałaś się w nim. Powiedziałabym nawet, że to jest fascynujące.

- Najbardziej fascynujące jest robienie z siebie idiotki - mówi Michalina. - Dziś na stacji benzynowej powiedziałam mu, że zatankuję samochód, a on niech idzie stanąć do kolejki. Chciałam mu pokazać, że może na mnie polegać. Że poza gadaniem potrafię robić coś jeszcze. I wiesz, co zrobiłam? Zamiast benzyny wlałam mu do baku ropę. I żeby nie było, powiedział mi, że mam zatankować benzynę. Tylko że ja się tak zamyśliłam przy tym dystrybutorze, że zaczęłam wyobrażać sobie, że właśnie jedziemy w naszą podróż poślubną, i sięgnęłam po zły pistolet. Zapewniam cię, nie chciałybyś być wtedy na moim miejscu. Musielibyśmy czekać na auto zastępcze w odległości trzydziestu metrów od siebie, bo powiedział mi, że inaczej mnie zabije.

Po usłyszeniu tego wyznania Julia ma wrażenie, że odnalazła swoją zaginioną siostrę.

- Plus jest taki, że mimo wszystko cię nie udusił - mówi - ani nie wystąpił o sądowy zakaz zbliżania się. I jednak idzie z tobą na to wesele.

Michalina kręci głową z rezygnacją.

- Ja już nie mam złudzeń. Nie po tym, co przed chwilą usłyszałam. Najchętniej wróciłabym do domu, schowała się do łóżka i przespała całe życie. A co ja robię? Zwierzam się z mojego żałosnego życia komuś obcemu. W toalecie. Jakie to jest gównno. Bez urazy, ale tak to wygląda.

- Badania naukowe potwierdziły, że najciekawsze znajomości zawiera się właśnie w kolejce do toalety.

- No to skoro zostałaś moją nową najlepszą przyjaciółką, to może mi powiesz, co mam zrobić? - pyta Michalina, ale nie łudzi się, że otrzyma satysfakcjonującą odpowiedź.

- Czasem trzeba zrobić krok w tył, żeby potem móc zrobić trzy do przodu. Albo nawet nie do przodu, tylko w bok. Po prostu wybrać inną ścieżkę, żeby zobaczyć, co los może nam jeszcze zaoferować. Prawda jest taka, że jeśli coś ma się stać, to się prędzej czy później stanie, a jeśli nie, to znaczy, że tak miało być i nie ma co na siłę do tego dążyć. Bo to może być tylko iluzja, chciejstwo. Wszystko, co nas w życiu spotyka, dzieje się po coś - mówi Julia, co przekłada również na swoje własne życie.

Jest jej też szkoda tej dziewczyny. Sama ma duszę romantyczki, dlatego naprawdę ją rozumie. Nie ma jednak zamiaru dawać Michalinie nadziei i mówić, żeby była nieustępliwa w swoich działaniach. I że to na pewno przyniesie satysfakcjonujący ją efekt. Nie w tym przypadku. Nie wtedy, gdy Bystry jest tak bardzo na nie. A nawet i na NIE!

Wychodząc z toalety, dziewczyny wymieniają się numerami telefonów, bo obie czują, że z tej znajomości może urodzić się coś większego.

Rozdział 16

- Patrz. - Julia podaje Markowi swój telefon.

Kiedy on czyta SMS-a, którego przed momentem wysłała do niej Michalina, ona czeka na jego reakcję. Słowną.

- I co myślisz? - pyta, kiedy on oddaje jej telefon.

- Przecież to było do przewidzenia - mówi bardzo pewny siebie.

- No co ty nie powiesz, Nostradamusie. - Julia posyła mu kpiące spojrzenie, a potem stuka w ekranik telefonu i odpisuje na wiadomość.

Gdy kończy, wstaje i mówi, że idzie rozpakować walizki, czego nie zrobiła od momentu, gdy wrócili znad morza. Zamiast wysypywać piasek z ubrań, spędzili dzień na oglądaniu bajek, malowaniu farbami po twarzach i budowaniu bazy z poduszek i koców. Był to cudowny czas, w którym brakło miejsca na zamartwianie się chorobą syna. Zarówno Julia, jak i Marek odczuwają ogromną wdzięczność za to, że mają wokół siebie ludzi, którzy są dla nich tak ogromnym wsparciem. Maria, Ludwik oraz Weronika traktują Juliana jak swojego prawdziwego wnuka, chociaż z żadnym z nich nie łączą go więzy krwi, co tylko potwierdza, że rodzinne zobowiązania wobec drugiego człowieka, owszem, są istotne, ale jeszcze ważniejsza jest zwykła ludzka życzliwość względem bliźniego.

Kiedy Julia ponownie pojawia się w salonie, Marek siedzi na kanapie, a Julian śpi z głową na jego kolanach. Ręka Marka co chwilę głaszcząc chłopca po włosach. Widząc to, Julia uśmiecha się, lecz gdy podchodzi bliżej, dostrzega, że po twarzy Marka płyną łzy.

- Co się stało? - pyta go szeptem.

Marek, zamiast odpowiedzieć, kręci tylko głową i pociera dłonią powieki. Jego druga ręka cały czas dotyka syna. Julia siada w fotelu naprzeciwko i czeka. Jeszcze tydzień temu zasypałaby go pytaniami i żądała odpowiedzi. Dziś jest inaczej i chociaż w jej serce wdarł się niepokój, to jest cierpliwa. A przynajmniej stara się taka być. Wie również, że nerwami i złością niczego nie wskóra.

Po chwili, która zdaniem Julii trwa wiecznie, Marek w końcu się odzywa.

- Boję się. Nigdy w życiu się tak nie bałem. - Jego twarz wydaje się jeszcze smutniejsza niż zazwyczaj. - Boję się, że on... - Głos mu się łamie, a z ust wydobywa się coraz głośniejszy szloch.

Julia jest w szoku. Przecież jej mąż to ostoja spokoju, pewności siebie i odwagi. Człowiek, który zawsze wie, co powiedzieć, i nawet jeśli życie zupełnie się pieprzy, on potrafi odnaleźć w nim pozytyw. W tym momencie wygląda jak ktoś, kto kompletnie się pogubił i nie poradziłby sobie nawet w przejściu przez jezdnię, gdyby sygnalizacja świetlna uległa awarii.

Kryzys dopadł i jego, czego Julia w życiu by się nie spodziewała.

- Przestań. Słyszysz mnie? Przestań. Proszę. - Julia kłęk przed Markiem. Chwyta jego dłonie w swoje, ścisną mocno i każe mu na siebie spojrzeć. - Jeśli ty przestałeś wierzyć, to... - Unosi jego dłonie do swoich ust i je całuje, a potem przytuliła sobie do policzka i mówi: - Marek, ja nie jestem taka silna jak ty. Jeśli ty się poddasz, to ja... - patrzy na śpiące dziecko - to ja sobie po prostu nie dam rady. Błagam, podnieś się. Wyrzuć z siebie to, co złe, i bądź tutaj z nami. Potrzebujemy cię. Słyszysz? Słyszysz mnie? Marek?

Marek ją słyszy, ale wolałby, aby wokół niego panowała teraz cisza. Kiedy siedział na kanapie razem z Julianem, nic nie wskazywało na to, że kilka minut później kompletnie się rozsypie. Wszystko wydawało się w porządku. Mały nagle położył głowę na jego kolanach i po prostu zasnął. Nie pierwszy raz w taki sposób. Tylko że tym razem stało się coś jeszcze. W pewnym momencie z jego ust wydobył się świszczący, chrapliwy i bardzo głośny dźwięk, a potem zapadła cisza. Przez ciało Marka przeszedł lodowaty dreszcz. Przekręcił Juliana, żeby sprawdzić, czy oddycha. Miał wrażenie, że jego klatka piersiowa się nie unosi, że małe usta nie nabierają w płuca powietrza i nie wypuszczają go nosem.

Miał wrażenie, że jego syn umarł, i było to dla niego tak nowe i straszne uczucie, że nie umiał sobie z nim poradzić. Zaczął potrząsać Julkiem i wtedy powietrze zostało wpuszczone do płuc,

a oddech chłopca stał się spokojny i miarowy. I tak już zostało.

Ileż to razy Marek stykał się z ludźmi, którzy doświadczyli niewyobrażalnych tragedii. Traumatyczne doświadczenia, śmierć współmałżonka, dziecka, kogoś bliskiego. Potrafił z nimi rozmawiać. Potrafił sprawić, aby ich życie na nowo nabrało sensu. Kiedy więc spadła na nich ta diagnoza, uważał, że podoła odpowiedzialności za swoje dziecko. Nie podołał. Najwidoczniej pojemnik, w którym spoczywała jego wytrzymałość, został wypełniony taką ilością trosk, że teraz wszystko się z niego wylewało.

Kłęcząca do tej pory Julia bierze syna na rękę, przytula do siebie i podnosi się bez trudu. Idzie z nim na górę. Po kilku chwilach wraca i siada obok Marka.

- Powiesz mi, co się stało? - pyta go. - Nie zostawaj z tym sam. Po to mamy siebie, żeby dzielić się wszystkim. Tym, co złe, również. To ty mnie tego nauczyłeś.

- Myślałem, że on umarł. Wydawało mi się, że nie oddycha. Spanikowałem tak bardzo, że nie potrafiłem cię zawołać.

- Nic się nie dzieje. - Julia opiera czoło o jego ramię. - To musiał być bezdech. Jutro będziemy w szpitalu na kontroli, więc zwrócę na to uwagę lekarzowi.

- Jeszcze nigdy się tak nie czułem. Nigdy nie byłem taki bezużyteczny. Nie wiem, co mam zrobić, żeby mu pomóc.

Głos Marka jest cichy. To prawie szept, ale Julia słyszy wszystko bardzo wyraźnie.

- Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Teraz pozostaje nam czekać, aż znajdą się rodzice, którzy obdarzą nas zaufaniem i powierzą nam pod opiekę serduszek swojego dziecka. Marek, kto jak kto, ale ty dobrze wiesz, że jeśli nie masz na coś wpływu, to nie pozostaje ci nic innego, jak czekać.

Julia przekręca głowę i prosi go, żeby na nią spojrział. Gdy to robi, ona mówi:

- Wiesz, jeszcze niedawno wstydziłam się sama przed sobą tego, że z taką nadzieją czekam na ten najważniejszy telefon. Miałam wrażenie, że ludzie będą mnie obwiniać za to, że pragnę śmierci innego dziecka, żeby moje mogło żyć. Myślę, że już tak nie jest, a wiesz dlaczego?

- Dlaczego?

- Bo trafiłam niedawno na pewien artykuł. To było wtedy, kiedy byliśmy nad morzem. Ty spałeś na plaży, a ja czytałam. To był wywiad z różnymi osobami, między innymi z kobietą, której córeczka miała wypadek. Dziewczynka wracała ze szkoły do domu i została potrącona na pasach. Nastąpiła śmierć mózgu. Okazało się, że pół roku wcześniej ta mama brała udział w dyskusji dotyczącej oddawania narządów do przeszczepu. Przyznała się, że była bardzo przeciwna takim praktykom, wręcz zbulwersowana, że ktoś miałby czelność poprosić ją o to w momencie, w którym jej świat się zawalił. Tłumaczyła się tym, że kierowały nią względy etyczne. Tak przynajmniej wtedy uważała.

Julia na chwilę przestaje mówić i sięga po stojącą na stoliku szklankę z wodą. Po chwili kontynuuje:

- Ten człowiek, który prowadził spotkanie, zapytał ją, czy byłaby w stanie postawić się w sytuacji dziecka, które zamiast bawić się zabawkami, spędza czas w szpitalu, z rurkami w klatce piersiowej i ze świadomością, że może tak już być do końca życia. Zapytał ją również, czy ma świadomość, że przez brak zgody na pobranie organów nie umiera jedno czy dwoje dzieci, czyli potencjalni dawca i biorca jednego organu, ale nawet i kilkoro. Nie miała tej świadomości, jednak nawet wtedy nie zmieniła zdania. Ale kiedy lekarze poinformowali ją o tym, że jej córeczki nie da się uratować, sama poprosiła o to, aby pobrano organy do transplantacji. Tak poczuła. Powiedziała, że to bardzo pomogło jej w przejściu przez żalobę, a świadomość tego, że śmierć jej dziecka nie była tak kompletnie bezsensowna, dała jej motywację do dalszego życia. I chociaż serce jej córeczki nie bije już dla niej, to dalej żyje i pomaga komuś innemu. Powiedziała również, że nie potrafi zrozumieć tego, że oczekiwanie na serce dla dziecka to jak czekanie na wygraną w totka. Że trzeba liczyć na cud i dobrą wolę pogrążonych w cierpieniu rodziców. Wiesz to, prawda? Wiesz, że tego nie przyspieszymy?

- Wiem - mówi Marek.

- Z kolei inna mama nie potrafi wybaczyć sama sobie, bo dręczą ją wyrzuty sumienia. Jej synek zmarł, a ona odmówiła, kiedy zapytano ją o możliwość pobrania organów do przeszczepu. Ktoś jej kiedyś powiedział, że nie można pochować niekompletnego człowieka i ona uparcie przy tym trwała. A potem, po pogrzebie, przyszedł dramat i świadomość podjęcia złej jej zdaniem decyzji. Od tamtego czasu minęło dziesięć lat, a ona do dziś nie potrafi uporać się z myślą, że mogła komuś pomóc, że odmówiła i odebrała szansę i nadzieję innej rodzinie. W artykule była też opisana historia kobiety, której dziecko nie doczekało przeszczepu. Ta mama założyła fundację, która ma uświadamiać społeczeństwo, że dawanie jest dobre. Pomaga również ludziom takim jak my przejść przez cały proces. Podpowiada, doradza. Ta kobieta w taki właśnie sposób przepracowuje swoją traumę po stracie dziecka. Jest jej lżej ze świadomością, że może być dla kogoś wsparciem i ustrzec go przed błędami, przed którymi nikt nie ustrzegł jej.

Marek patrzy na Julię i kiwa głową. Ona wyciera łzy z jego twarzy.

- To nie jest żadna słabość, że pękłeś. To dowód na to, jak bardzo go kochasz. Nie mogłam sobie wymarzyć lepszego taty dla naszego syna. Chodźmy na górę.

Nim wstają z kanapy, przez krótką chwilę patrzą sobie w oczy, jakby utwierdzając się w tym, że są dla siebie najważniejsi. Idą do sypialni. Na ich łóżku śpi Julian. Kładą się po obu jego stronach. Marek obejmuje ramieniem jednocześnie Julię i syna. Ma obok siebie dwie istoty, które kocha najbardziej na świecie.

Z tą myślą zasypia.

Rozdział 17

Szok, którego przed momentem doświadczyła Julia, nie pozwala jej na wypowiedzenie choćby jednego słowa. Chwilę temu zadzwonił telefon. Numer był nieznanym. To znaczy zastrzeżony. Odebrała, łudząc się, że dzwoni koordynator ze szpitala w Warszawie. Że czeka na nich serce. Dopiero po skończonej rozmowie dotarło do niej, że przecież w tej sprawie nikt nie dzwoniłby z ukrytego numeru.

Od wpisania Juliana na listę oczekujących minęło równo sto dwadzieścia dni. To najdłuższe sto dwadzieścia dni w życiu. Odbierając telefon, dłonie Julii trzęsły się tak bardzo, że musiała go przytrzymać dwoma rękoma. A i tak niewiele to pomogło.

- Halo. - W jej głosie słychać było nadzieję.

- Chcecie zabić bezbronne dziecko, żeby wasze mogło żyć! - usłyszała stłumiony głos. Nie potrafiła określić, czy należy do kobiety, czy do mężczyzny. - Chcecie za to zapłacić! Handlarze organów! Bezbożnicy! Jesteście potworami! Kara was nie minie!

Połączenie zostało zakończone.

Julia trzyma telefon przy uchu, chociaż już od dobrych dziesięciu minut nie prowadzi rozmowy. Oddycha powoli. Jest jej niedobrze. Możliwe również, że za chwilę zemdleje. W końcu opuszcza rękę, a telefon wypada jej na podłogę.

- Chcesz herbaty? - słyszy za plecami czyjś głos.

Odwraca głowę w stronę, z której on dobiega. To Weronika. Stoi przed nią w swoim żółtym swetrze w panterkę i różowych spodniach. Uśmiecha się. Musiała przed momentem wejść do domu.

- Ja... nie... nie.

Julia ponownie patrzy przed siebie.

- Stało się coś? - Weronika siada obok niej.

W międzyczasie na kolana Julii wskakuje Irysek. Mości się przez chwilę, co skutkuje wbiciem pazurów w nogi. To powinno Julię zabołec, ale ona nawet się nie poruszyła. Ból psychiczny, który teraz odczuwa, nijak ma się do fizycznego, zadanego przez kocie pazury.

- Powiesz mi, co się stało? - Ponownie pyta Weronika.

Julia kiwa głową, ale nim zacznie opowiadać, mija naprawdę długa chwila. Taka co najmniej reklamowa w okresie świątecznym. W końcu jednak wszystko z siebie wyrzuca.

- Co za podli, podli ludzie. - Weronika obejmuje ją ramieniem. - Jak tak można? Wiesz, kto to mógł być?

- Nie wiem. Życie towarzyskie moje i Marka ograniczyło się do randek w kuchni i do tego, że raz w miesiącu gdzieś wychodzimy. I wcale nie jest mi z tego powodu przykro. Julek nie chodzi do szkoły, jedynie raz w tygodniu do szpitala, na badania - mówi Julia. - Nie sądziłam, że coś takiego mnie kiedykolwiek spotka, a jeśli już, to że mnie ruszy. Bo to przecież nie jest prawdą. Przecież my cierpliwie czekamy.

- Ludzka niesprawiedliwość jest taka krzywdząca. Jak w ogóle ktoś mógł okazać się takim podłym... Albo lepiej nie będę kończyła - mówi Weronika. Po chwili jednak kontynuuje, nie potrafiąc się powstrzymać: - Co za kanalia! Co za łotr to zrobił?! Jak ktoś w ogóle może tak uważać? Że nie wiem... chcecie kupić serce dla swojego dziecka na czarnym rynku?! - grzmi. - Ktoś się chyba za dużo filmów naoglądał albo książek naczytał i teraz takie głupoty wygaduje! Sumienia nie mają! Nie mogę w to uwierzyć!

Julia tylko kiwa głową. Nachodzi ją pewna myśl, ale nie... No przecież nie... Przecież ona by tego nie zrobiła... Zofia Maj nie byłaby aż taka okrutna. Tyle tylko, że ktoś jednak okazał brak serca. Maj dość długo atakowała Julię najpierw telefonami, a potem, gdy te nie przyniosły zamierzonego skutku, mailami. Aż w końcu jakieś dwa miesiące temu Julia dostała oficjalne pismo z wydawnictwa, w którym poinformowano ją, że ma do zapłaty karę z tytułu odmowy udziału w kręceniu filmu na podstawie wydanej u nich książki.

Kwota pochodziła z kosmosu.

Marek, gdyby tylko mógł się zaśmiać, zrobiłby to bardzo głośno, a że Julia nazywała go niekiedy ćwierćprawnikiem, zawierzyła jego słowom, że umowa między nią a wydawnictwem wykluczała jakiejkolwiek kary wynikające z odmowy przekazania praw autorskich. To po pierwsze. Po drugie na tym absolutnie niesamowitym nadmorskim spotkaniu z Norbertem Byстрыm Marek wymienił się z nim numerem telefonu i zapewnił, że jeśli tylko ich życie się uspokoi i Julia wyrazi chęć na nawiązanie współpracy, odezwą się do niego.

I nieco się to życie uspokoiło.

Julia zaczęła nawet pisać kolejną książkę, którą – o tak, dorosła do tego – zamierzała wydać pod własnym nazwiskiem. I jeśli można tak powiedzieć, stan zdrowia ich dziecka pozwalał na może nie bardzo optymistyczne patrzenie w przyszłość, ale na pewno na chwilę obecną brakowało powodów do większych zmartwień. Bo te, których nastroczyło im życie, ona i Marek już dawno przepracowali.

A teraz to... Okrutny telefon, który miał ją zabołeć. I zabołał.

- Wiesz - mówi Weronika - czytałam ostatnio książkę o profesorze Relidze. Wiesz, kto to?

- Oczywiście.

- Wspaniały człowiek. Opowiadał o swoich początkach. O problemach, które go dotykały. Wyobraź sobie, że w Polsce było mnóstwo przeciwników przeszczepów serca. Robili mu ogromne trudności. Ogromne! A on, na przekór wszystkim, i tak spełnił swoje marzenie. Ileż musiało być w nim samozaparcia! - Weronika nie ukrywa dumy z poczynań profesora, gdy o tym mówi. - W tej książce napisali, że w roku osiemdziesiątym albo osiemdziesiątym pierwszym, już nie pamiętam dokładnie, poszedł do swojego szefa i powiedział mu, że jest gotowy do przeprowadzenia w naszym kraju pierwszej transplantacji. Tamten powiedział, że owszem, będzie mógł to zrobić, ale tylko w dwóch przypadkach. Gdy on przejdzie na emeryturę albo umrze. Religa niedługo po tej rozmowie odszedł z pracy i założył swoją klinikę. W Zabrze. Wiesz która to?

- Tak, wiem. - Julia kiwa głową.

- Jego zespół składał się z młodzieńców, bo zaledwie dwudziestotrzyletnich pielęgniarek, które pomimo młodego wieku doskonale znały się na swoim fachu. Swoją wiedzą mogłyby zadziwić niejednego wielkiego autorytet. Do pracy u Religi zgłaszali się młodzi lekarze z całej Polski. Nie tylko z Zabrze. Mieli ogromne ambicje. Tyle tylko, że nie mieli za bardzo gdzie ich spełniać, ponieważ nie było gdzie operować. Budynek szpitalny był w trakcie wykańczania. A w zasadzie to jak postawiono jakąś ścianę, to za chwilę ją wyburzano, bo okazywało się, że albo stoi nie tam, gdzie powinna, albo zapomniano zrobić jakąś instalację. Religa wspominał, że robotnikom było wszystko jedno, co z czym połączą i czy budynek będzie spełniał swoją funkcję.

- I co było potem? - pyta Julia.

- Profesor zakasał rękawy i sam zabrał się do roboty. On i jego zespół wywozili gruz, sprząkali i dezynfekowali sale. Najsmutniejsze i zarazem najpiękniejsze było to, że te zadania nie należały do obowiązku lekarzy czy też pielęgniarek. Jednak wszyscy chcieli wreszcie zająć się tym, po co tam byli. Oddali więc swoje serca, żeby mieć gdzie leczyć serca swoich pacjentów.

- To takie budujące. Muszę koniecznie przeczytać tę książkę. Pamiętasz tytuł?

- Oczywiście, że pamiętam. Czytałam ją już dwa razy. I na pewno jeszcze przeczytam - mówi Weronika. - „Zbigniew Religa. Człowiek z sercem w dłoni”. Poczytaj, poczytaj. Sama się przekonasz, że tacy szarlatani jak osoba, która do ciebie dzwoniła, istnieli już wtedy. Czytałam o przypadku rodziny zmarłego, która zażyczyła sobie pieniędzy za pobranie serca. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale podobno ten, któremu je wszczepiono, zaczął nawet płacić im jakieś raty. Religa wspominał też o innej sytuacji, której był świadkiem. Kobieta wyraziła zgodę na przeszczep serca swojego męża. Zaraz po operacji w klinice pojawił się jej teść, który wyzywał ją od najgorszych i krzyczał, że sprzedała serce jego syna i nie podzieliła się z nim pieniędzmi.

- To nieprawdopodobne...

- Powiem ci jeszcze coś. O mały włos, a nie doszłoby do tego pierwszego przeszczepu Religi. Do Zabrza trzeba było przetransportować dawcę, który był podłączony do maszyny podtrzymującej go przy życiu. Nie było wtedy możliwości, żeby przywieźć samo serce. W ambulansie brakło paliwa, a kierowca zapomniał kartek i na stacji nie chcieli mu sprzedać benzyny. Załoga karetki jakimś cudem przekonała kierownika stacji, żeby jednak sprzedał im to paliwo. To wyglądało jak wojna z przeciwnościami losu.

- Chyba nie ma na świecie człowieka, który nie musiałby podjąć takiej walki - mówi Julia.

- Ano nie ma. Ja wiem, że ten, kto do ciebie zadzwonił, zrobił to w konkretnym celu. I widzę po twojej minie, że go osiągnął. Pamiętaj jednak o tym, że to nie jest tak, że jakkolwiek rodzic z utęsknieniem czeka na śmierć innego dziecka, bo to sprawi, że jego przeżyje. Nie. To nie tak, że ktoś umiera, żeby ktoś inny mógł żyć. To dzieje się dlatego, że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, co skutkuje tym, iż czyjeś narządy mogą sprawić, że inny człowiek będzie mógł cieszyć się życiem - mówi Weronika.

Julia naprawdę potrzebowała to usłyszeć. I to nie tylko raz, ale mnóstwo razy. Ma również świadomość, jak wiele osób nie byłoby w stanie pogodzić się z taką kolejną losu. Jeszcze tego samego dnia kupuje książkę, o której opowiadała jej Weronika.

Rozdział 18

Jest końcówka stycznia.

Od dnia, kiedy Julian został wpisany na listę biorców, minęło dwieście dwadzieścia dni i niestety jak dotąd nie pojawiło się dla niego serce. Chłopiec od pewnego czasu jest bardzo osowiały, co strasznie martwi jego rodziców, którzy mieli wyskoczyć na weekend w góry, ale doszli do wniosku, że ten wyjazd może poczekać. A tak naprawdę Julia ma cholernie złe przeczucie. Od dobrego tygodnia nie opuszcza jej wrażenie, że stanie się coś straszego. Jej emocje udzieliły się również Markowi, który poza tą jedną sytuacją, gdy uczucia wzięły nad nim górę, jest dla niej największą opoką. Niemniej teraz bardzo mocno odczuwa napiętą atmosferę, która panuje w ich domu.

Przedwczoraj byli na kontroli. Lekarze nie wychycili niczego, co wzbudziłoby ich niepokój. Jednak Julia jest bardzo zaniepokojona, dlatego co chwilę podchodzi do syna i sprawdza, czy wszystko z nim dobrze. Nie podoba się jej jego oddech, który jest bardzo ciężki. Wygląda to tak, jakby każde zaczerpnięcie i wypuszczenie z płuc powietrza kosztowało go naprawdę wiele siły. A przecież jeszcze wczoraj oddychał normalnie.

- Gdzie jest pulsoksymetr? - pyta Marka o urządzenie do mierzenia saturacji.

Jest tak zestresowana, że nie widzi małego przedmiotu, który leży na kuchennym blacie, tuż obok stosu opakowań z tabletkami.

- Tutaj. - Marek chce go jej podać.

Julia wyciąga dłoń po urządzenie, jednak jej ręka się trzęsie, a w oczach można dostrzec przerażenie.

- Ja się tym zajmę - mówi Marek, co jego żona przyjmuje z ogromną ulgą.

Marek podchodzi do leżącego na kanapie syna, klęka i sięga po jego dłoń. Jest wiotka i ciepła. Nachyla twarz do jego twarzy. Czuje na policzku oddech, co go nieco, ale tylko nieco uspokaja. Kładzie rękę chłopca na swoim udzie i zakłada mu pulsoksymetr na środkowy palec. Przez chwilę patrzy na syna, a potem przenosi wzrok na Julię i mówi:

- Może idź się położyć, co? Na moment. Ja z nim teraz posiedzę.

Julia kiwa głową, którą po chwili zwiesza. Jest zmęczona i chociaż bardzo chciałaby być cały czas przy małym, to zdaje sobie sprawę z tego, że przez kiepskie samopoczucie mogłaby mu jeszcze bardziej zaszkodzić, a nie pomóc. Odwraca się i powolnym krokiem wchodzi po schodach. Idzie korytarzem prosto do sypialni, przekracza jej próg i zmierza w stronę łóżka. Potrzebuje tego snu. Ledwo jednak przykładą głowę do poduszki, słyszy krzyk Marka.

- Julia! Chodź tutaj!

Błyskawicznie zrywa się z łóżka i biegnie na dół, prawie przewracając się na ostatnim schodku. Kiedy pojawia się w salonie, widzi Marka, który trzyma na rękach Juliana.

- Saturacja dziewięćdziesiąt! Musimy zawieźć go do szpitala! Weź moje kluczyki, i koc! Przykryj go! Szybko! - Marek wydaje jej polecenia.

- A może pogoto...

- Nie mamy czasu na wzywanie pogotowia! Szybko! - ponagla Marek.

Julia kiwa głową, ściąga koc z kanapy i okrywa nim Juliana, a potem chwyta w dłoń kluczyki i w biegu zakłada buty. Dwa różne. Wybiega z domu. Za nią podąża Marek. Na zewnątrz pada śnieg, a on ma na sobie krótkie spodenki, cienką koszulkę i klapki, w których chodzi po domu. Julia chce otworzyć samochód, więc naciska przycisk na pilocie, tylko że coś jest nie tak. Patrzy ze strachem na Marka, który podaje jej syna i bierze od niej kluczyki.

- Ten jest od twojego auta!

Marek biegnie w stronę domu. Jest ślisko, a buty, które ma na nogach, bardzo słabo trzymają się podłoża, dlatego przewraca się na schodach. Uderza głową w ostatni stopień, rozcinając sobie skórę na czole. Czuje pulsujący ból, ale nie poddaje się mu, szybko wstaje i wbiega do domu. Kiedy z niego

ponownie wybiega, nawet nie głowi się nad zamknięciem za sobą drzwi. Zostawia je otwarte na oścież.

W opinii Julii mijają całe wieki, nim wsiądą do samochodu. Razem z dzieckiem pakuje się na tylne siedzenie. Marek wskakuje na fotel kierowcy. Kolejne stulecia mijają w oczekiwaniu na otwarcie automatycznej bramy. Wyjeżdżają z podwórka, a Julia krzyczy, żeby Marek ją zamknął, bo przecież drzwi do domu zostawili otwarte. Gdy skrzydła bramy powoli się zatrząskują, Marek naciska na pedał gazu i pędzi przed siebie.

- On tak dziwnie oddycha! Musisz jechać szybciej! - krzyczy Julia, jakby to miało w czymkolwiek pomóc.

Oczywiście jak na złość co chwilę natrafiają na czerwone światło i sznur aut przed nimi, co Marek za każdym razem kwituje siarczystym wulgaryzmem. Jest godzina szesnasta trzydzieści, a oni jadą właśnie ulicami jednego z najbardziej zakorkowanych i rozkopanych miast w Polsce. Julia cały czas patrzy na syna, nie widzi zatem, jak dłonie Marka zbieleły od zaciskania się na kierownicy. Nie widzi też, że z rany na jego czole sączy się krew. Nie ma również pojęcia, gdzie się w tym momencie znajdują i jak daleko jeszcze do szpitala.

Nagle samochód się zatrzymuje, a Marek z niego wyskakuje. Julia chce go zapytać, co on, do cholery, robi, ale tylko otwiera usta, a jej głowa odwraca się w kierunku, w którym pobiegł jej mąż. Na sąsiadującym z nimi pasie zatrzymał się radiowóz. Julia widzi, jak jej mąż bardzo żywo gestykuluje i wskazuje na samochód, w którym została ona i dziecko. Po chwili wraca, a ona słyszy syrenę policyjnego radiowozu i widzi migotanie niebieskiego światła. Auto rusza, Marek jedzie za nim, a wszystkie samochody, które stoją im na drodze, zjeżdżają na bok. Gdy dociera do niej, co się dzieje, nie może zapanować nad łzami, które, o dziwo, wcześniej się nie pojawiły.

- Powiadomią szpital, że jedziemy - mówi Marek. - Lekarze będą na nas czekali.

Julia czuje ogromną ulgę, a kiedy widzi kolejny radiowóz, który dołącza do tej eskorty i jedzie tuż za nimi, jeszcze mocniej przytula do siebie syna. Jego powieki drgają w bardzo nienaturalny sposób, a oddech jest praktycznie niesłyszalny. Kładzie dłoń na szyi chłopca. Ledwo wyczuwa puls. Przysuwa twarz do jego ust. Mały oddycha.

A może to się tylko Julii wydaje? Może on już nie oddycha? Przełyka łzy, pociąga nosem i jeszcze mocniej przytula do siebie syna, a potem szepcze mu do ucha:

- Jeszcze chwila. Jeszcze chwila i zajmą się tobą lekarze. I wiesz co? Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Wyzdrowiejesz, tylko musisz być silny. Tak bardzo cię proszę, wytrzymaj jeszcze chwilę. Jeszcze chwilę. - Odchyła głowę, opiera ją o zagłówek i zamyka powieki. - Piotrek, wybaczam ci - mówi tak głośno, że Marek to słyszy. - Wybaczam ci to, co mi zrobiłeś. Gdyby nie ty, nie miałabym jego. Nie pozwól na to, żeby coś mu się stało. Nie pozwól, żeby on umarł. Nie pozwól, żebym go straciła. Nie pozwól. Chociaż w taki sposób napraw krzywdę, którą mi wyrządziłeś. Bądź jego aniołem stróżem.

Pomimo dramatycznej sytuacji wraz z wypowiedzeniem tych słów Julia zaczyna odczuwać coraz większy spokój. Nie zdaje sobie tylko sprawy z tego, na jak cienkiej linie balansuje życie jej syna. To w zasadzie nie jest już lina, tylko nitka, która za moment się zerwie. Nie ma również pojęcia, że dokładnie za sto osiemdziesiąt sekund jego serce przestanie bić. Zerka na drogę i orientuje się, że do szpitala jest coraz bliżej. Odruchowo wciska stopę w podłogę, zupełnie tak, jakby chciała dodać nią gazu, żeby dotrzeć na miejsce jeszcze szybciej. Kiedy dostrzega oświetlony gmach budynku szpitalnego, czuje radość. Marek jedzie za radiowozem, który lawiruje uliczkami. W końcu zatrzymuje się tuż za policyjnym autem i szybko wysiada. Otwiera tylne drzwi, a Julia słyszy, jak ktoś stanowczym głosem każe mu się odsunąć i zrobić miejsce. Człowiek, który pojawił się przy samochodzie, ubrany jest na biało i ma na szyi zawieszony stetoskop, czyli to musi być ktoś, kto im pomoże. Julia pozwala mu zabrać Juliana, a potem na chwiejących się nogach wysiada z samochodu. W tym samym czasie Marek mówi pielęgniarce, co dolega ich dziecku. Są to ogólniki, ale cały kontekst jest dla niej zrozumiały.

- Brak czynności życiowych, przygotujcie się do... - To ostatnie, co usłyszała Julia, nim prowadzone przez grupę lekarzy łóżko z Julianem zniknęło za drzwiami budynku.

Patrzy na Marka i zamiera. Dopiero teraz dostrzega, że jego twarz jest zakrwawiona. Zdaje sobie sprawę z tego, że to pewnie po upadku na schodach, co było efektem jej roztargnienia. Podchodzi do niego i rękawem swojej białej bluzy zaczyna wycierać mu czoło.

- Przepraszam państwa... - słyszy za sobą głos.

Odwraca się i widzi policjanta. Mężczyzna chce coś powiedzieć, ale ona go nie słucha, tylko obejmuje i dziękuje za pomoc, a potem odrywa się od niego i biegnie w stronę drzwi, za którymi chwilę temu zniknął jej syn. Widzi pielęgniarkę, więc podbiega do niej i pyta, gdzie go zabrali. Kobieta nie odpowiada, prosi za to o dane dziecka. Julia odpowiada na wszystkie pytania, a kiedy pielęgniarka mówi jej, żeby usiadła i poczekała na lekarza, ona nie może nawet dojść do krzesła, tylko osuwa się po ścianie i siada na podłodze. Po chwili dołącza do niej Marek i dopiero wtedy, dzięki jego pomocy, jest w stanie usiąść na krześle. On robi to samo.

- Nie jest ci zimno? - pyta go Julia.

Marek mówi, że nie. Wbija wzrok w podłogę. Julia patrzy w ten sam punkt. Pojawiają się tam krople krwi, które zaczynają tworzyć małą kałużę.

- Musimy to obmyć - mówi i ciągnie go za sobą do damskiej toalety. Potrzebuje zająć czymś głowę i jak widać, najlepsza będzie do tego głowa Marka.

- Cholera, ja może się na tym nie znam za bardzo, ale to nadaje się do szycia - mówi, kiedy kończy obmywać ranę.

- Zdecydowanie nadaje się do szycia. - Po pomieszczeniu roznosi się głos pielęgniarki, która w momencie, gdy oni weszli do łazienki, myła dłonie nad zlewem. - Pan pokaże. - Wzdycha, kiedy ogląda zranione miejsce, a potem mówi: - Ładnie się pan załatwił. Pięć szwów minimum. Głowa do góry i proszę przyciskać to do rany. - Podaje mu papierowe ręczniki, żeby zatamował krwawienie. Pyta również, co się stało.

- Wieźliśmy syna do szpitala, a ja wzięłam złe kluczyki. Mąż pobiegł po drugie i potknął się na schodach. - Julia czuje się bardzo winna tej sytuacji. Gdyby nie jej gapiostwo, Markowi nic by się nie stało. A tak mają kolejny kłopot.

- Jesteście rodzicami tego chłopca, którego eskortowała tutaj policja? - pyta pielęgniarka, a kiedy widzi zdumioną minę Julii, dodaje: - Po telefonie od dyspozytora połowa izby przyjęć była zwarta i gotowa na wasz przyjazd.

Julia kiwa głową i wnętrzem dłoni przeciera powieki. Są tak zapuchnięte od łez, że pieką ją oczy. Pielęgniarka kładzie dłoń na jej ramieniu w uspokajającym geście, a potem mówi:

- Proszę tutaj chwilę poczekać, postaramy się jakoś zaradzić tej rozbitej głowie.

Wychodzi, zostawiając ich stojących nad umywalką, po której ściankach cały czas spływa krew. Marek patrzy w sufit, Julia w swoje odbicie w lustrze.

- Powiedzieli, że brak czynności życiowych - mówi Julia. - A jeśli on... jeśli on już...

- Nawet nie kończ. Jest pod dobrą opieką - odpowiada Marek, chociaż chwilę wcześniej sam pomyślał dokładnie o tym samym. - Wszystko będzie dobrze - wypowiada najbardziej oklepane hasło, w które oboje tak bardzo pragną wierzyć.

Drzwi od łazienki się otwierają. Pielęgniarka wraca, prowadząc wózek.

- Udało mi się złapać chirurga, który pana zszyje - mówi.

Marek bez protestów siada na wózku i pozwala się zawieźć do gabinetu zabiegowego. Kiedy zamykają się za nim drzwi, Julia odkręca kran i całą swoją uwagę skupia na obmyciu zlewu. Gdy ostatnie ślady krwi zostają usunięte, wychodzi na korytarz i siada na krześle. Kiedy tylko widzi kogoś, kto wygląda jak lekarz lub pielęgniarka, pyta o swojego syna.

Cały czas każą jej czekać.

Rozdział 19

Julia stoi przed wejściem do izby przyjęć.

Musiała wyjść na zewnątrz, bo szpitalne powietrze i brak jakichkolwiek informacji o stanie zdrowia jej syna doprowadzają ją do obłądu. Gdzieś w tym budynku jest jej dziecko, a ona nie wie, co się z nim dzieje. Minęła prawie godzina od chwili, kiedy tutaj przyjechali, a ona w dalszym ciągu nie ma żadnych informacji.

Marek nie wrócił jeszcze z szycia rany na głowie.

Stoi więc sama na dworze i patrzy w niebo. Nie robi sobie nic z ujemnej temperatury. Modli się, chociaż trudno jej jednoznacznie wskazać adresata modlitwy, bo mówi trochę do Boga, w którego istnienie powoli traci wiarę, trochę do swoich zmarłych dziadków, prosząc ich o wsparcie. W pewnym momencie czuje, że ktoś za nią stoi, więc się odwraca. To Marek. Jego głowa została zabandażowana. Julia ma ogromne wyrzuty, kiedy na niego patrzy.

- Przepraszam. Narobiłam ci problemów.

- To nie twoja wina. To się po prostu stało. Zrobili prześwietlenie, założyli siedem szwów i kazali mi się obserwować. - Marek obejmuje ją ramieniem i prowadzi do budynku. - Do kompletu nie jest nam potrzebne zapalenie płuc. Chcesz herbaty?

- Nie chcę herbaty. Chcę wiedzieć, co z naszym dzieckiem - odpowiada mu. - Za moment zwariuję. Marek, przecież oni nie mogą trzymać nas w takiej niepewności!

- Musimy być cierpliwi. Julia... - Marek chce jej powiedzieć, żeby przygotowała się na najgorsze, ale coś go przed tym powstrzymuje. Tym czymś jest strach. Jeśli nawet wydarzyło się już najgorsze, to on woli jednak żyć w niewiedzy, która daje nadzieję. I trudno, że może to być złudna nadzieja, trwająca jeszcze tylko kilka chwil. - Po prostu musimy czekać - mówi zamiast tego.

Siadają na krzesłach i czekają.

W izbie przyjęć co chwilę pojawia się ktoś, kto potrzebuje pomocy. Julia obserwuje tych ludzi, bo chce odwrócić swoją uwagę od niepokojących myśli, które kołaczą się w jej głowie. Jednak bardzo szybko dochodzi do wniosku, że zastanawianie się nad tym, jakie oni mają w życiu kłopoty, to kiepskie zajęcie.

Nagle drzwi się rozsuwają i wbiega przez nie młoda kobieta, można nawet powiedzieć, że dziewczyna. Na rękach trzyma dziecko. To dziewczynka, sporo mniejsza od Juliana. Może mieć jakieś dwa latka, może trochę więcej. Dziewczyna zatrzymuje się na środku korytarza i łamiącym się głosem zaczyna wołać o pomoc. Gdy wzrok Julii przenosi się na dziecko, pierwsze, co rzuca się jej w oczy, to to, że z ust dziewczynki wydobywa się piana. Bardzo dużo piany. Ten widok sprawia, że nie może powstrzymać drżenia rąk, a potem całego ciała. Marek przytula ją do siebie.

Do dziewczyny podbiegają pielęgniarki. Jedna z nich przejmuje dziecko i znika z nim za wielkimi szarymi drzwiami. Druga zadaje tej młodej kobiecie pytania. Od razu widać, że odpowiadanie na nie sprawia jej wielką trudność. Mówi, że z tego, co wie, mała zjadła tabletkę do zmywarki. Gdy ktoś pyta, kiedy miało to miejsce, załamuje ręce i zaczyna płakać, a potem mówi, że najprawdopodobniej w południe, ale ona dowiedziała się o tym dosłownie przed chwilą.

Obejmuje się ramionami, próbując pocieszyć samą siebie.

Drzwi ponownie się rozsuwają i tym razem przechodzi przez nie kobieta, której chód wskazuje na spożycie sporej ilości alkoholu. Julia widzi duże podobieństwo pomiędzy nią a dziewczyną, która wbiegła tutaj z dzieckiem, z tą różnicą, że nowo przybyła jest sporo starsza.

- Nooo - zaczyna bełkotać ta, która dopiero co weszła - bo ona myślała, że to cukiereczek. A ja jej mówiłam, żeby go nie ruszała. A ona nie posłuchała mamusi. - Kobieta buja się do przodu i do tyłu, aż w końcu musi przytrzymać się dłonią ściany i oprzeć, bo inaczej straciłaby równowagę. Jej mętny wzrok błądzi po pomieszczeniu, aż w końcu zatrzymuje się na dziewczynie, która przyniosła tutaj dziecko. - Gdzie jest moja córka? Gdzie ją zabrałaś? Mów! - Startuje z rękoma do dziewczyny, zupełnie jakby chciała ją szarpać.

- Odejdź ode mnie! - wrzeszczy tamta. - To twoja wina! To przez ciebie! Gdybyś... gdybyś... - milknie, a potem osuwa się na stojące pod ścianą krzesło. Pochyla głowę, obejmuje się ramionami i zastyga w bezruchu. Pijana kobieta chyba zaczyna zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji, dlatego siada kilka krzeseł dalej i nic nie mówi. Patrzy na swoje dłonie.

Siedzący w poczekalni ludzie szepczą coś do siebie i patrzą na obie kobiety. Na tę, która przyniosła dziecko, spoglądają ze współczuciem, na tę drugą patrzą oskarżycielskim wzrokiem. Mijają długie sekundy, które zamieniają się w jeszcze dłuższe minuty, aż w końcu pojawia się lekarz. Pyta, która z nich jest matką dziecka. Obie wstają, a ta, która jeszcze chwilę temu była pijana, unosi dłoń. Jeśli możliwe jest wytrzeźwienie pod wpływem stresu, to chyba tak właśnie się stało. Lekarz coś mówi, a ona robi się coraz bledsza, aż w końcu traci przytomność. Robi się zamieszanie, podczas którego nikt nie zwraca uwagi na młodszą dziewczynę, która podchodzi do szarych drzwi i z całej siły uderza w nie pięścią. Julia zrywa się z krzesła, podbiega do niej i powstrzymuje ją przed kolejnym uderzeniem. Dziewczyna odwraca głowę i patrzy na nią pustym wzrokiem i tak po prostu zaczyna mówić, że zadzwoniła do niej starsza siostra, bo okazało się, że jej córeczka coś zjadła i strasznie zaczął boleć ją brzusek. Mówi, że gdy pojawiła się w mieszkaniu siostry i zobaczyła dziecko, od razu złapała je na ręce i wybiegła z domu. Dom jej siostry znajduje się w odległości kilkuset metrów od jej mieszkania oraz od szpitala.

Kapsułka, którą zjadła dziewczynka, w kontakcie z treścią żołądkową zaczęła się bardzo silnie pnieć, w efekcie czego doszło do uszkodzenia przełyku, jamy ustnej oraz żołądka. Możliwe, że gdyby mama dziewczynki zareagowała wcześniej, dziecko zostałoby uratowane. Jednak alkohol zamroził jej umysł do tego stopnia, że kompletnie nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. Dopiero gdy mała przestała reagować na jej słowa, zadzwoniła do swojej młodszej siostry, do której dzwoniła zawsze, kiedy potrzebowała pomocy albo pieniędzy.

- Ona umarła. - Dziewczyna szepcze do Julii. - Miałam ją jutro zabrać na sanki, a ona umarła.

Julia przełyka ślinę i szuka wzrokiem pielęgniarki, która mogłaby zająć się dziewczyną, bo ona nie jest w stanie tego zrobić. Po prostu nie jest.

Julia siedzi na krześle, wbija wzrok w jeden punkt.

- Co się dzieje? - pyta ją Marek.

Podnosi głowę i na niego patrzy. Od momentu, kiedy ponownie usiadła, nie zamienili ze sobą ani jednego słowa.

- Nie potrafię tego zrozumieć. Ta dziewczynka... ta pijana kobieta... Ja po prostu nie potrafię pojąć tego, że ludzie są tak nieodpowiedzialni. Jej córeczka była zdrowa. Nic jej nie dolegało. I zmarła przez nieszczęśliwy wypadek. Pozostaje mi tylko ufać, iż umysł tej kobiety był na tyle trzeźwy, że wyraziła zgodę na donację.

W tym samym momencie nad ich głowami rozlega się głos. To lekarka.

- Dzień dobry. Państwo są rodzicami Juliana Wenty? - pyta kobieta.

- Tak. - Julia zrywa się z miejsca. - Co z nim? Gdzie on jest? Czy możemy go zobaczyć?

- Państwa syn...

Kobieta zaczyna mówić, a Julia robi coraz większe oczy.

Jej ciało dostało dziś tyle skoków ciśnienia, że nie jest sobie w stanie poradzić z kolejnym. Osuwa się na Marka, chociaż nie mdleje. Płacze i uderza pięściami w jego klatkę piersiową. Emocje, które się w niej skumulowały, potrzebują ujścia.

Zaczyna krzyczeć.

Rozdział 20

Julia trzyma się poręczy łóżka i patrzy na syna. Nie dociera do niej to, co powiedziała lekarka. Według niej Julian przeżył śmierć kliniczną. Kiedy zjawili się w szpitalu, jego serce już nie biło, zanikł oddech i tętno, krew przestała krążyć w żyłach, a najgorsze było to, że lekarze nie byli w stanie powiedzieć, dlaczego tak się stało. Kilka dni wcześniej był na kontroli i nic, absolutnie nic nie wskazywało na to, że należy się niepokoić.

Lekarze rozpoczęli akcję reanimacyjną. W międzyczasie zrobiono badanie EEG, które wykazało, że mózg chłopca w dalszym ciągu funkcjonuje prawidłowo. To dało im nadzieję, chociaż mieli świadomość, że dziecko trafiło do nich w ostatniej chwili. Po przywróceniu podstawowych funkcji życiowych wprowadzono go w stan śpiączki farmakologicznej i od tego momentu monitorowane były parametry życia. Julian znajdował się na oddziale intensywnej terapii, dlatego jego rodzicom pozwolono na zaledwie kilkuminutowe odwiedziny, oczywiście przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności w postaci dezynfekcji, maseczek i fartuchów.

- Jedź do domu, ja z nim zostanę - mówi Julia, która nie dopuszcza do siebie myśli, że mogłaby zostawić teraz syna samego. Tak bardzo boli ją to, że nie może przytulić swojego dziecka tak, jak by chciała. Wokół niego mnóstwo jest najróżniejszych urządzeń, kabli i rurek, które są podłączone do bezbronnego ciała. Widok ten przypomina Julii koszmarny sen. Jeden z wielu, jakie ją nawiedziły od momentu, gdy dowiedziała się o jego chorobie.

- Oboje pojedziemy do domu. Możemy tutaj być tylko przez chwilę. Nie wpuszczą cię do niego, żebyś mogła być z nim cały czas. Chcą go utrzymać w tym stanie przez kilka dni, aż minie zagrożenie. Będzie teraz spał.

- Ale...

- Julia, on będzie żył.

- Wiem - mówi Julia, jednak mimo to nie potrafi wyjść z sali.

- Chodź. - Marek wyciąga w jej stronę dłoń i czeka, aż ona odwzajemni ten gest.

- Marek...

- Musimy już iść. To, że stąd wyjdziemy i go tutaj zostawimy, nie znaczy, że go nie kochamy...

Poza tym... - Marek na chwilę zawiesza głos, co przykuwa jej uwagę - jest coś, co muszę ci powiedzieć. To naprawdę ważne.

- Co?

- W domu. Porozmawiamy o tym w domu.

Julia opuszcza salę z ogromną niechęcią i ociąganiem, jednak nim wyjdzie ze szpitala, musi jeszcze raz porozmawiać z panią doktor i upewnić się, że jej syn jest pod najlepszą opieką. Zaznacza również, że nawet jeśli nie będzie mogła przy nim być, to i tak następnego dnia się tutaj pojawi i będzie siedziała na korytarzu. Lekarka zapewnia ją, że będzie mogła zobaczyć się z synem za każdym razem, gdy tutaj przyjdzie, jednak tylko na kilka minut.

Droga powrotna do domu mija im w ciszy.

Powitały ich szeroko otwarte drzwi wejściowe, a na ostatnim schodku, tym samym, z którym spotkało się czoło Marka, można było dostrzec ślady krwi i kocich łapek. Irysek czeka na nich w przedsionku. Ledwo przekraczają próg domu, kocur zaczyna się łąsić, najpierw do nogi Julii, a potem Marka. Gdy już okaże im tyle miłości i wsparcia, ile uznał za stosowne, wraca na swój drapak, natomiast jego ludzie idą do łazienki. Julia patrzy z poczuciem winy na zabandażowaną głowę Marka.

- Wiem - mówi Marek, podchwytyjąc jej spojrzenie - dzięki tej bliźnie poziom mojej atrakcyjności na skali od jeden do dziesięć wzrośnie do dwójki.

- Poziom twojej atrakcyjności wykracza poza tę skalę. - Julia gładzi go po kącikach ust, a potem zaczyna się rozbierać.

Pod prysznic wchodzi razem. Julia staje tyłem do Marka, opiera dłonie na szybie i spuszcza głowę. Po jej ciele spływa woda. Marek bierze w dłoń gąbkę, namydla ją i myje żonie plecy, co sprawia, że jej

ciało zaczyna się powoli rozluźniać. Bierze od Marka myjkę i namydla przednią część swojego ciała. On w tym czasie spłukuje z niej pianę, a potem obejmuje ją za ramiona i do siebie przytula. Przez chwilę stoją pod natryskiem, a woda delikatnym strumieniem otula ich zmęczone ciała. Nie ma tutaj żadnego seksualnego podtekstu, jest za to ogromna potrzeba bliskości drugiego człowieka.

- Chciałabym, żeby to wszystko się już skończyło - mówi Julia. - Chciałabym nie martwić się jutrem. Chciałabym, żeby on spał w swoim pokoju.

- Też bym tego chciał. - Marek bierze w dłoń ręcznik i najpierw osusza nim swoje ciało, a potem zabiera się za wycieranie Julii. Gdy dotyka ręcznikiem jej brzucha, zatrzymuje się na dłużej. Patrzy na lekko zaokrągloną część ciała i zastanawia się, czy to, na co patrzy, jest tym, o czym właśnie pomyślał. A jeśli to prawda, jakim cudem nie zauważył tego wcześniej? Spogląda na Julię. Jej dwukolorowe oczy odpowiadają mu tym samym.

- Kiedy ostatnio miałaś okres? - pyta, a potem znowu patrzy na jej brzuch.

- No jak to kiedy? - Julia podąża wzrokiem za wzrokiem Marka i kręci głową. - Nie, nie. To nie jest to, co myślisz. Ja ostatnio bardzo dużo jem. Naprawdę bardzo dużo. Za dużo. To przez stres. Faktycznie, trochę przytyłam, ale nie jestem w ciąży.

- Rozumiem - mówi Marek - ale powiedz mi, kiedy miałaś okres.

Okazuje się, że Julia tego nie wie, bo ostatnimi czasami nie zawraca sobie głowy tak przyziemnymi sprawami jak opłacenie rachunków za prąd czy też pamiętanie tego, kiedy miała miesiączkę. To pierwsze skutkowało tym, że dostali pismo z informacją, że jeśli nie uregulują rachunku, prąd zostanie odcięty.

Brak okresu może być o wiele bardziej długofalowy w skutkach.

- Mamy w domu test? - pyta ją Marek.

Nie uzyskuje odpowiedzi, bo Julia przemierza przestrzeń łazienki od lewa do prawa i próbuje sobie przypomnieć, kiedy miała okres. Na pewno przed wyjazdem nad morze, ale to przecież było grubo ponad pół roku temu. Po powrocie też się pojawił. Kładzie sobie dłonie na brzuchu i patrzy na Marka, uświadamiając sobie, że coś może być jednak na rzeczy.

- Jezu - mówi - a jeśli ja jestem w ciąży? Przecież to nie jest dobry moment.

- Dlaczego to według ciebie nie jest dobry moment? - pyta Marek. Przysiada na brzegu wanny i patrzy na żonę.

- Bo... bo... - bąka Julia i zaczyna się czerwienić.

- Bo co?

- No wiesz... - wzdycha, a potem unosi wzrok i mówi, a jej głos brzmi tak, jakby ktoś właśnie przystawił jej do głowy pistolet i chciał wymusić zeznania. - Bo nasz syn jest chory, a ludzie powiedzą, że zamiast się nim zajmować, uprawiamy seks.

- Julia, skarbie, jedno nie wyklucza drugiego. To po pierwsze. - Marek pokazuje uniesiony kciuk. Po chwili dodaje do niego palec wskazujący i mówi: - Po drugie, jesteśmy dorosłymi ludźmi. A dorośli ludzie uprawiają seks i nawet pomimo trudnych doświadczeń, a czasem właśnie przez nie, potrzebują swojej bliskości. Również cielesnej. Powiedz mi, czy ja mam się wstydzić tego, że kocham się z własną żoną w czasie, gdy nasz syn oczekuje na przeszczep serca? No nie. Po trzecie - dokłada kolejny palec - chcę mieć z tobą jeszcze jedno dziecko. Mam prawie czterdzieści osiem lat i mam w dupie to, co pomyślą i powiedzą ludzie. Interesuje mnie zdanie twoje i tych, którzy są mi życzliwi. No to jak? Mamy ten test czy nie?

- Mamy.

Julia podchodzi do jednej z szafek. Otwiera szufladę i wyjmuje z niej małe prostokątne pudełko.

- Mam wyjść? - pyta ją Marek.

- Nie.

Oboje przez chwilę patrzą na test, a potem Julia robi to, co trzeba zrobić, żeby uzyskać wynik. Po wszystkim kładzie patyczek na brzegu umywalki i wraz z Markiem się nad nim pochylają. Pojawia się jedna kreska. I nic. Nie ma kolejnej.

Oboje odczuwają rozczarowanie. Przemowa Marka dała Julii niemal pewność, że jest w ciąży. Ta kreska pokazuje, że jednak nie jest. To może i lepiej...

I wtedy zaczyna pojawiać się kolejna. Na początku jest bledziutka, ale im dłużej się na nią patrzy, tym ciemniejsza się robi.

- Jeśli... jeśli to prawda... - szepcze Julia.

- Jeśli to prawda, to uczynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Gdy kilka chwil później leżą w łóżku, Julia pyta:

- Co chciałeś mi powiedzieć?

- Nic. Chciałem, żebyś wróciła ze mną do domu. Bezczyne siedzenie na szpitalnym korytarzu nie prowadzi do niczego dobrego. Przepraszam, że cię okłamałem, ale kłamstwo wypowiedziane z miłości nie jest karane.

Julia bardzo szybko zasypia. Wie, że rano umówi się na wizytę u lekarza, a potem pojedzie do szpitala, żeby pobyć chwilę z Julianem. Ta ciąża, chociaż jeszcze niepotwierdzona, pozwala jej uwierzyć, że wszystko będzie dobrze. Bo przecież to nie tak, że przez bardzo długi czas nie mogła być przy nadziei, a teraz nagle spodziewa się kolejnego dziecka, ponieważ to pierwsze nie doczeka przeszczepu i umrze, a los chce im to w taki właśnie sposób wynagrodzić.

To byłoby okrutne.

Marek z kolei nie może zasnąć jeszcze przez długi czas, ponieważ w jego głowie trwa istna gonitwa myśli. Te, które obwiniają go o bycie nieszczerym wobec Julii, ścigają się z tymi, które klepią go po plecach i gratulują ojcostwa.

Bo tak naprawdę to chciał o czymś porozmawiać z Julią. A raczej o kimś. O dwóch mężczyznach. Jednym z nich był ten, któremu Julia dziś wybaczyła i zrobiła to naprawdę. To było po prostu czuć. Drugi to Norbert Bystry, który jakimś cudem, zapewne nielegalnym, doszedł do tego, kto był jego dawcą. Najwidoczniej musiało go to strasznie uwierać, bo gdy Marek był na szyciu głowy, Bystry do niego zadzwonił i powiedział, jak nazywał się człowiek, którego serce mu wszczepiono. Chociaż Marek miał dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że to serce Piotrka, to wołał, żeby ten jeden procent był właśnie tą niewiadomą, która będzie mu mówić, że to tylko zbieg okoliczności. W który swoją drogą nie wierzył.

To nie była pomyłka.

Bystry zapytał, czy Julia się kiedykolwiek o tym dowie. Marek powiedział, że tak, że powie jej o tym przy najbliższej okazji. Naprawdę chciał to zrobić, ale sytuacja z ciążą uświadomiła mu, że Julia nie może się denerwować, a raczej mieć kolejnych powodów do stresu. I strachu. Chociaż nie pochwałał kłamstw, to po raz kolejny okazało się, że pewne tajemnice powinny nimi pozostać. Podobnie było przecież w przypadku jego mamy i tego, kim był jego prawdziwy ojciec.

Sumienie Marka było jednak innego zdania i zaczęło go powoli podgryzać.

Rozdział 21

- Jak to wykreślony z listy? Nie rozumiem.

- Nie wykreślony - mówi pani doktor i kładzie dłoń na ramieniu Julii - tylko zawieszony. Do momentu, aż będziemy mieć pewność, że można zrobić przeszczep, trzeba wstrzymać się z decyzją o operacji. To dla jego dobra.

- A jak długo to będzie trwało? Dzień, tydzień czy dłużej? - pyta Julia, która nie potrafi ukryć rozczarowania.

- Jutro rano zbierze się konsylium lekarskie. Po nim odpowiem na wszystkie pani pytania. A teraz bardzo przepraszam, pacjenci czekają.

Pani doktor oddała się szybkim krokiem, a Julia patrzy na jej plecy. Nawet nie ma siły płakać. Kładzie dłoń na brzuchu i powtarza sobie, że musi być silna, bo w jej stanie każde załamanie może być niebezpieczne dla dziecka. Z samego rana ona i Marek pojechali do lekarza, który potwierdził, że to trzeci miesiąc ciąży. Na jutro mają wyznaczone badanie USG. Na razie nie potrafi się cieszyć.

Marek przywiózł ją do szpitala i pojechał do urzędu skarbowego, żeby wyjaśnić jakieś nieprawidłowości w dokumentach, więc Julia czeka na niego w restauracji nieopodal szpitala. Była też u Juliana. Ucieszyło ją to, że nie był już taki błady jak wczoraj, niemniej jej serce i tak krwawiło.

Złapała go za dłoń i powiedziała mu, że zostanie starszym bratem. A potem czekała na jego reakcję. Na poruszenie ręką, rzęsą, na cokolwiek, co pozwoliłoby jej uwierzyć, że ją słyszy. Czekając w kolejce na badanie ginekologiczne, zdążyła wyczytać, że trzeba mówić do ludzi, którzy są w śpiączce. I że bardzo często słyszą to, co się do nich mówi, a nawet czasem odpowiadają bodźcami.

- Jestem ciekawa, czy wolałbyś siostrę, czy brata. Jestem ciekawa, czy... - Julia milknie, bo w jej głowie pokazuje się obrazek, który kilka miesięcy temu narysował Julian. Powiedział jej wtedy, że ona urodzi sobie kolejne dziecko, żeby nie tęsknić za nim, gdy on będzie w niebie. - Wyzdrowiejesz. Zobacysz, że wyzdrowiejesz. Będziesz cudownym starszym bratem. Będziemy chodzić na spacer. Będziesz mi pomagał przy dziecku... - Kiedy wypowiada te słowa, jej broda zaczyna się trząść.

Musi wyjść ze szpitala, bo nie jest w stanie znieść panującego tam zapachu, widoku lekarzy i ludzi, którzy tam przebywają. To wszystko zbyt mocno ją dziś przytłacza. Kiedy dociera do restauracji, pisze Markowi, gdzie jest, a potem zamawia herbatę i patrzy w okno. Siada na końcu pomieszczenia, żeby nie rzucać się nikomu w oczy, za to sama doskonale widzi wszystkich, którzy pojawiają się w lokalu.

Właśnie ktoś wchodzi. To para. Zajmują miejsca przy sąsiednim stoliku i siadają plecami do niej. Ona jest niższa od niego, piegowata, z zadartym nosem, wąskimi ustami i błękitnymi oczyma. Nie można powiedzieć, że to piękność, ale ma coś w sobie. On natomiast, oj tak, jest na czym oko zawiesić. Ma dłuższe włosy w kolorze ciemny blond, na jego twarzy widnieje kilkudniowy zarost, a sylwetka wskazuje na to, że może być modelem. Albo aktywnie uprawia jakiś sport. Przypomina Davida Beckhama.

Rozmawiają ze sobą. Julia ich nie słucha, tylko patrzy w okno i pogrąża się w coraz większym smutku. Balansuje między rozpaczą a chęcią gryzienia i kopania, byleby tylko przyniosło to jakiś skutek. Głośny śmiech kobiety przykuwa jej uwagę. Przed momentem do stolika obok podeszła kelnerka, która przyjęła zamówienie, a Julia usłyszała, że biorą to samo dwa razy.

Ona nachyla się do niego i pyta:

- Jakim cudem my lubimy to samo?

- Szanse są duże. Ty, Mela, lubisz wszystko - odpowiada mężczyzna, śmieje się i daje jej pstryczka w nos.

Z daleka można wyczuć, że ci ludzie uwielbiają się ze sobą przekomarzać.

- Olek! Ty lepiej uważaj, co do mnie mówisz, bo jestem dobra w mszczeniu się! Możesz dostać zakaz zbliżania się.

Jej wskazujące palce skierowane zostały w stronę piersi, co sprawia, że mężczyzna przez dłuższą chwilę nic nie mówi, tylko się na nie patrzy.

- Jesteś pewna, że chcesz mnie tak prowokować? - Gdy się w końcu odzywa, jego głos wręcz ocieka seksapilem.

Przyciąga ją do siebie i lekko nadgryza płatek ucha. A potem szepcze coś, co sprawia, że jej dłonie łądują na jego przystojnej twarzy, a ich czoła się o siebie opierają. Oboje przymykają powieki. Wyglądają w tym momencie tak, jakby świat się dla nich zatrzymał. Mało tego, możliwe, że wydaje im się, że są jego jedynymi mieszkańcami.

Julia nie może oderwać wzroku od tej pary. Miłość, myśli sobie, patrząc na tych ludzi, tak wygląda prawdziwa miłość.

Mężczyzna całuje kobietę w czoło i mówi:

- Nigdy nie kochałem cię mocniej niż w tym momencie.

- A jutro? Jak będziesz mnie kochał jutro?

- Jeszcze mocniej niż dziś.

Julia ma wrażenie, że to nie dzieje się na jej oczach i ona tak naprawdę siedzi właśnie na sali kinowej i ogląda film z tymi ludźmi w głównych rolach. Ta sytuacja sprawia, że poniekąd czuje się tak, jakby właśnie przebudziła się z letargu i dotarło do niej, że przecież pomimo dramatu, który dotknął ją i jej rodzinę, życie toczy się dalej. Jej życie również toczy się dalej - mało tego, rośnie w niej nowe.

Para zajęta się jedzeniem przyniesionym przez kelnerkę, nie przeszkadza im to oczywiście w przekomarzaniu się ze sobą, Julia z kolei ponownie przenosi wzrok na okno, za którym panuje uliczny gwar. Jej dłoń łąduje na brzuchu i delikatnie go głaszcze. Spędza tak długie minuty. Dopiero kiedy słyszy nad swoją głową wymowne chrząknięcie, odwraca się.

- Marek? Długo tu stoisz? - pyta. Patrzy najpierw na jego czoło, dopiero potem w oczy. On natomiast spogląda na zegarek, a potem na nią.

- Dwie godziny.

- Ile?! - Julia łapie go za rękę i wbija wzrok w tarczę, po której wędrują wskazówki, a potem kręci głową, dodając: - Bardzo zabawne. To jak długo tu jesteś?

- Dopiero co wszedłem. - Siada obok niej i sięga po filiżankę z herbatą, która przed nią stoi. Upija łyk i mówi, że na szczęście z papierami wszystko w porządku i Julia może spać spokojnie, bo nie wsadzą jej męża do więzienia.

- Ulżyło mi - odpowiada mu, a potem patrzy przed siebie.

Ludzie, którzy przed nią siedzieli, właśnie zbierają się do wyjścia. On pomaga jej założyć płaszcz, co sprawia, że ona staje bokiem. Dopiero teraz Julia zauważa jej ciężowy brzuszec. Oczy kobiet się spotykają. W spojrzeniu nieznajomej można dostrzec ciekawość i zdziwienie, co zapewne wywołane jest dwukolorowymi tęczęwkami Julii. Kobieta przenosi swój wzrok nieco niżej, czyli na dłoń Julii, która spoczywa na lekko zaokrąglonym brzuchu. Kiedy ponownie patrzy jej w oczy, uśmiecha się.

Ten uśmiech jest ciepły, kojący, dobry i szczerzy. Zostaje odwzajemniony. Zarówno Julia, jak i ta kobieta, która ma na imię Amelia, myślą o tym samym. Że nie trzeba znać personaliów drugiego człowieka ani jego życiowej historii, żeby być do niego życzliwie nastawionym. Ona i jej mąż Aleksander wychodzą z restauracji, a Julia pyta Marka, czy miałby ochotę iść dziś do kina. Gdy nie odpowiada zbyt długo, robi to za niego:

- Co jesteś taki zdziwiony moim pytaniem?

- Widać to po mnie?

- Ja widzę - mówi Julia. - Kiedy jesteś zdziwiony, potrzebujesz jakichś piętnastu do trzydziestu sekund, żeby się odezwać.

- Po jakim czasie na to wpadłaś?

- Zaczęłam cię baczniej obserwować po narodzinach Julka. Twoje reakcje na jego zachowania były fascynujące.

- A co sprawiło, że postawiłaś akurat taką diagnozę? - pyta ją Marek.

- Kiedyś cię obsikał, gdy go przewijałeś. To było wtedy, gdy ci powiedziałam, że on może to zrobić, a ty uznałeś, że nie ma takiej możliwości i gdyby nawet, to strumień cię nie osiągnie. Jednak zdołał

dosięgnąć, a ty przez dobrą minutę nie wiedziałeś, co powiedzieć.

- Znasz mnie tak dobrze, że już lepiej się nie da - mówi Marek.

- Tak? Jesteś pewien, że nie ukrywasz przede mną żadnej tajemnicy? - pyta go i wtula się w jego ramiona.

- Jestem pewien - odpowiada jej.

Jego serce zaczęło w tym momencie bić szybciej, a puls przyśpieszył, co oczywiście nie jest widoczne. W takich chwilach jak ta Marek lubi być człowiekiem, który nie okazuje żadnych emocji.

Wychodzą z restauracji, jednak zamiast do kina jadą do domu. Julia mówi Markowi, że woli jechać właśnie tam, ale wcale nie po to, żeby zawinąć się w koc i umartwiać. Zamiast tego wyciąga z pudeł albumy ze zdjęciami. Zabierają się za oglądanie, zatrzymując się przy każdym zdjęciu i przypominając sobie czas i miejsce, w którym zostało zrobione. Mijają minuty, godziny, a oni cały czas pochylają się nad fotografiami. Po obejrzeniu ostatniego albumu patrzą na siebie. Oboje myślą dokładnie o tym samym.

Od dnia, w którym dowiedzieli się, że Julian jest chory, nie zrobili mu ani jednego zdjęcia.

Ani jednego.

Rozdział 22

Julian był podłączony do respiratora przez tydzień. Dla Julii ten tydzień trwał sto lat, jednak starała się znosić wszystko bardzo dzielnie i nie panikować. Kiedy lekarz poinformował ich, że ogólny stan ich syna pozwala, aby wybudzenie mogło zostać zaordynowane następnego dnia, nie mogła zasnąć przez nadmiar emocji.

Ona i Marek zjawili się w szpitalu już o siódmej.

- Tak się denerwuję - powiedziała. Nie była w stanie usiedzieć w jednym miejscu dłużej niż trzydzieści sekund i przemierzyła długość korytarza jakieś dwadzieścia razy. Zatrzymywała się tylko po to, żeby coś powiedzieć.

- Wszystko będzie dobrze. Wiem to. - Marek również nie mógł spać tej nocy. I przez poprzednie siedem także, a powodem tej bezsenności było zatajenie przed Julią prawdy. Świadomość bycia nieszczerym wobec ukochanej kobiety pograżała coraz bardziej jego sumienie.

- Coś cię gnębi? - pyta go.

Nie odpowiada.

- Masz przekrwione oczy, cały czas jesteś nieobecny myślami, a kiedy cię o coś pytam, ty nie wiesz, jak brzmiało moje pytanie. I nie mów mi, że to ma związek z moją ciążą albo z Julianem, bo wiem, że nie jest to prawdą. Powiesz mi więc, o co chodzi? - pyta Julia, która zdawałoby się, skupiona jest tylko na obgryzaniu swoich paznokci.

- Powiem - odpowiada po chwili Marek. Wie, że jeśli ponownie ją okłamię, nie doprowadzi to do niczego dobrego. - Ale nie teraz.

Julia nie nalega, tylko kiwa głową i po raz kolejny przemierza całą długość tego przekłętego korytarza. Zna tutaj każdy kawałek podłogi, każde załamanie, każdą plamę na ścianie i każde miejsce, z którego odpada tynk. W końcu po trwających w nieskończoność badaniach ona i Marek zostają poproszeni na salę, w której znajduje się ich syn. Pani doktor informuje, że za chwilę nastąpi proces odłączenia od respiratora i pompy infuzyjnej, dzięki której do organizmu chłopca dostawał się propofol - lek anestetyczny odpowiedzialny za wprowadzenie go w stan głębokiej śpiączki. Mijają minuty i nie dzieje się nic. Julia trzyma Marka za rękę i patrzy na syna. Tak bardzo za nim tęskni. Tak bardzo potrzebuje wziąć go w ramiona. Tak bardzo chce usłyszeć jego głos. Jednak w dalszym ciągu nic się nie dzieje.

- Ile to potrwa? - pyta. Patrzy na twarze zebranych wokół łóżka ludzi.

- Zazwyczaj po kwadransie od momentu całkowitego odłączenia od respiratora pacjent się budzi. W skrajnych przypadkach potrzebnych jest kilka prób - słyszy odpowiedź anestezjologa.

Julia zastanawia się, czy to nie jest czasem taki przypadek, który będzie potrzebował nieco więcej czasu. A co, jeśli on się wcale nie obudzi? Co, jeśli będzie już tak spał... zawsze? Nie zdąży jednak zadać tych pytań na głos, bo widzi, jak jej synowi zaczynają drgać powieki. Julia czuje, jak Marek mocniej ściska jej dłoń. Odpowiada mu tym samym.

Wstrzymuje oddech.

Julian powoli unosi powieki. Nim na dobre otworzy oczy, mruga kilka razy, żeby przyzwycząić się do światła, a potem przesuwa wzrokiem po twarzach, które znajdują się w zasięgu jego wzroku. Mija chwila, nim jego spojrzenie się wyostri. Widzi ludzi, których nie zna. Widzi także swoich rodziców. Oboje płaczą, chociaż mama jednocześnie się uśmiecha. Julian bardzo chciałby im coś powiedzieć, ale nie może tego zrobić, bo na jego łóżku przysiadła ubrana na biało pani, głaszcze go po głowie i prosi, żeby patrzył na długopis, który ona trzyma w ręku. Chłopiec wodzi oczyma w różne strony, co satysfakcjonuje panią doktor. Lekarka zadaje mu też pytania. Na część z nich Julek odpowiada, a na część udziela odpowiedzi poprzez poruszanie głową w górę i w dół albo w prawo i w lewo.

- No dobrze - mówi w końcu lekarka. Wygląda na zadowoloną. - Zostawimy teraz państwa samych. Proszę później zgłosić się do mojego gabinetu. I proszę zbytnio nie przemęczać syna. A ty, młody człowieku - zwraca się do chłopca - jesteś bardzo dzielny. Tak trzymaj.

Gdy personel medyczny opuszcza salę, Julia podchodzi do łóżka i przytula do siebie Julka. Wdycha w nozdrza jego zapach, całuje go i znowu przytula.

- Tęskniliśmy za tobą. Ja i tata bardzo cię kochamy - mówi, a potem odsuwa się, żeby zrobić Markowi miejsce.

On podchodzi i kładzie dłoń na czole dziecka, odgarnia z niego włosy, nachyla się i je całuje. Kiedy jego wargi stykają się z ciepłą skórą głowy chłopca, przymyka oczy. Trwa tak przez chwilę, a potem prostuje się i patrzy na uśmiechniętą Julię.

Oboje odczuwają ulgę.

- Będę miał siostrę - mówi w tym samym momencie Julian.

Jest to tak zaskakujące wyznanie, że jego zszokowani rodzice w tym samym czasie spoglądają na niego, potem na siebie i znowu na niego.

- Siostrę? - pyta Julia. Przecież na USG nie było widać płci, a nawet jeśli byłoby wiadomo, to on nawet nie wie, że Julia jest w ciąży. A może jednak wie? Może słyszał, jak mu o tym opowiadała? - A skąd ty to wiesz? - pyta. - Słyszałeś, co ci mówiłam, kiedy spałeś?

- Piotrek mi powiedział.

- Piotrek? Jaki Piotrek?

- No mój tata. Ten, który zmarł.

- Twój... kto? - pyta Julia.

Jest błada jak ściana za jej plecami i czuje, że musi usiąść. Marek podsuwa jej krzesło i zaczyna ją wachlować dłonią. Patrzy też na Juliana, który nie wygląda tak, jakby to, co przed chwilą powiedział, było czymś niezwykłym. Wręcz przeciwnie.

- Mój tata - powtarza chłopiec. - Ten pierwszy. Bo mój drugi tata ma na imię Marek. I Piotrek powiedział, że to bardzo dobry człowiek.

Julia patrzy z przerażeniem na Marka.

- Czy my kiedykolwiek mówiliśmy przy nim o... sam wiesz o czym? - pyta go.

- Nie. To była zasada, której się trzymaliśmy - odpowiada.

- Trzeba porozmawiać z lekarzami.

- Lekarze i tak mi nie uwierzą - mówi Julian. - Tak powiedział Piotrek. Powiedział, że zbyt wielu ludzi nie wierzy w to, czego nie można udowodnić, i przez to tak wiele tracą. Powiedział, że on też kiedyś taki był, ale od kiedy jest tam, wszystko się zmieniło. Tam nikt się niczego nie boi. Nikt nie jest na nikogo zły. Nikt na nikogo nie krzyczy. Chciałbym tam wrócić.

- Gdzie „tam”? - pyta Marek.

- No tam, do nieba.

Słowa, jakie padają z ust chłopca, wprawiają zarówno Julię, jak i Marka w ogromną konsternację. Ona nie jest w stanie pozbierać myśli. On z kolei jest wręcz zafascynowany tym, co mówi jego syn.

- Opowiesz nam wszystko? - pyta go Marek.

Julek kiwa głową.

- Pamiętam, że jechaliśmy samochodem, a potem słyszałem, jak dużo osób do mnie mówi. I chociaż leżałem na łóżku, to widziałem, że oni coś ze mną robią. Takie kabelki mi przykładali. O, tutaj. - Pokazuje na swoje serce. - A potem zrobiło się bardzo jasno. Zobaczyłem bardzo długi korytarz i nim poszedłem. I były tam drzwi, a za drzwiami był piękny ogród. Było bardzo ciepło, a ja niczego się nie bałem. Naprawdę. Latały tam motylki i małe ptaszki, które wyglądały jak słoneczka. I na środku ogrodu stało drzewo. Nie takie jak u nas w ogrodzie, tylko jeszcze większe, aż do nieba. -

Chłopiec z niesamowitą łatwością, jak na kogoś, kto jest tak bardzo chory, unosi rękę i pokazuje, jak wysokie było to drzewo. - I była tam huśtawka. Piotrek na niej siedział. Czekał na mnie. Wiedział, że przyjdę. Posadził mnie sobie na kolanach i przytulił.

- A jak... jak on wyglądał? Ten Piotrek - pyta Julia.

- Normalnie.

Julian opisuje Piotrka tak dokładnie, że Julia nie może mieć żadnych wątpliwości, że mowa o tej samej osobie. Tylko że ona ma wątpliwości, mało tego, czuje się w tym momencie jedną wielką wątpliwością. Nie dopuszcza do siebie myśli, że to, o czym mówi jej syn, może być prawdą.

- I on ci powiedział, że będziesz miał siostrę? - pyta Marek.

- Tak. To znaczy on nie mówił buzią, tak jak ja teraz. Ale ja i tak go słyszałem. I nie musicie się niczym martwić, ona będzie zdrowa.

- Marek...

- Ja mu wierzę.

- Marek... - mówi Julia, która kompletnie w to nie wierzy. Nie chce wierzyć. To dla niej jakiś kosmos. - Chodź, pójdziemy porozmawiać z panią doktor.

- Ona ci nie uwierzy - mówi Julek. - Piotrek mi po...

- Synku, musisz odpoczywać. Za chwilę do ciebie przyjdziemy.

Julia wstaje, całuje chłopca w czoło i wychodzi z sali. Po chwili dołącza do niej Marek.

- Ty tak serio? Naprawdę mu wierzysz? - pyta, kiedy idą korytarzem w kierunku gabinetu lekarskiego.

- A potrzebujesz jeszcze jakiegoś dowodu? Przecież powiedział ci, jak wygląda Piotrek.

- On mógł go kiedyś zobaczyć na jakimś zdjęciu...

- Na jakim? Pokaż mi to zdjęcie, a przysięgam, że odszczekam wszystko. Masz w ogóle jakieś jego zdjęcie w albumie? - pyta ją Marek, a kiedy widzi jej minę, odpowiada za nią: - No pewnie, że nie masz.

- Marek, to jest sprzeczne z logiką.

- Czyli należysz do tej grupy osób, która jeśli nie może czegoś udowodnić, to uparcie obstaje przy tym, że tego nie ma? Że to nie istnieje, tak? Pozwól mi w takim razie być wyznawcą spiskowej teorii dziejów i mieć własne zdanie.

- Marek, ale cuda się nie...

Jednak on już nie słucha Julii, tylko puka do gabinetu. Lekarka zaprasza ich do środka i mówi, że jest bardzo pozytywnie zaskoczona wynikami badań ich syna i że jeśli w przeciągu miesiąca nic się nie zmieni, to daje zielone światło na ponowne wskoczenie na listę oczekujących na przeszczep.

- Pani doktor - mówi Julia - mam pytanie.

- Tak?

Zerka najpierw na Marka, a potem znowu na siedzącą po drugiej stronie biurka kobietę. Zaczyna opowiadać jej historię, którą przedstawił im Julek. Pyta, czy to może być prawda, jednocześnie modulując głos w taki sposób, iż oczywiście jest, że ona absolutnie nie daje temu wiary.

- Proszę państwa - z ust lekarki wydobywa się dobroduszny śmiech - ludzie, którzy doświadczyli śmierci klinicznej, mówią, że widzieli różne obrazy, słyszeli dźwięki i rozmawiali ze zmarłymi. To nic innego jak halucynacje, które są następstwem niedotlenienia mózgu. Tak naprawdę bardzo trudno to wytłumaczyć, jednak uważam, że nic takiego nie miało miejsca. Możliwe, że państwa syn kiedyś oglądał jakiś film, zobaczył na ulicy reklamę albo, co jest najbardziej prawdopodobne, usłyszał coś, o czym wy rozmawialiście, i zapadło mu to w pamięć. Bo wiecie, dzieci słyszą czasem więcej, niż byśmy chcieli. A potem dzielą się swoimi przemyśleniami z ciociami z przedszkola. No to nie dziwota, że jak człowiek idzie później odebrać swoją pociechę, to patrzą na niego jak na przestępcę.

Julia wykręca sobie palce. To, co powiedziała lekarka, ma sens... poza jedną rzeczą, o której właśnie zaczyna mówić Marek.

- Czyli chce pani powiedzieć, że nasz sześciolatek, który nigdy nie widział tego człowieka na oczy, nie wie tym samym, jak on ma na imię i, jestem tego pewien, że co dam sobie odciąć rękę, nigdy nie usłyszał o nim ode mnie ani od mojej żony, tak doskonale go opisał, bo miał halucynacje? - pyta Marek.

Jego pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

Rozdział 23

- Marek, ty naprawdę wierzysz w to, co on mówi?

- Wierzę.

- Ale naprawdę?

- Naprawdę. Ale jeśli przedstawiś mi inne, bardziej, a nawet i mniej logiczne wytłumaczenie, które mnie przekona, że się mylę, jestem gotowy zmienić zdanie.

- No właśnie nie mam innego wytłumaczenia - mówi Julia. - I chociaż staram się ze wszystkich sił je wymyślić, to nie potrafię.

- Wymyślić? - pyta ją Marek. - To, że wytłumaczenie czegoś nie mieści się w granicach zdrowego rozsądku, nie znaczy, że jest pozbawione sensu. Bardziej bezsensowne jest szukanie wyjaśnienia dla jakiejś sprawy na siłę, ponieważ odpowiedź, którą dostaliśmy, nie jest nam na rękę. Powiedz mi, dlaczego nie wierzysz w to, co powiedział nasz syn? Dodam tylko, że on nie kłamie, o czym doskonale wiesz.

- Bo... bo to nie jest możliwe. To, co powiedział... No Marek... sam pomyśl... on mówi, że był w niebie... - Julia rozkłada ręce i patrzy na niego wymownie.

- No to skąd wie o Piotрку? Kto mu powiedział? Jeśli nie ty ani nie ja, to kto to zrobił? Irysek?

Julia nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie.

Marek opiera się o ścianę, ona siedzi na krześle. Rozmawiają na szpitalnym korytarzu. Chwilę temu wyszli z gabinetu lekarki, która patrzyła na Marka jak na kogoś niespełna rozumu. Postanowiła jednak nie dzielić się z nim wątpliwościami co do jego zdrowia psychicznego, uznając, że to nie ma najmniejszego sensu i niech on sobie dalej wierzy w duchy. Marek oczywiście doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co myśli o nim pani doktor.

- Wiesz - mówi do Julii - tu nie chodzi o to, co powiedział Julian, ani o to, co ja o tym wszystkim myślę. Tu chodzi o to, że w tej historii występuje Piotrek. I to jest dla ciebie najbardziej niewygodne. On w dalszym ciągu jest dla ciebie niewygodny. Byłem pewien, że masz już to wszystko za sobą. Wtedy, w samochodzie, gdy tu jechaliśmy, a ty mu wybaczyłaś... Julia, ja naprawdę ci uwierzyłem. Co poszło nie tak?

- Wybaczyłam mu. Naprawdę mu wybaczyłam. Ale ciągle o tym pamiętam. Nie potrafię zapomnieć.

- To, że komuś wybaczysz, nie oznacza, że automatycznie o wszystkim zapomnisz. Ale to akurat nie jest czymś złym. Nie pozwól tylko, aby strach ponownie przejął nad tobą kontrolę. Bo wtedy to całe wybaczenie na nic się zda. - Marek siada na krześle obok niej, pochyla się i patrzy jej w oczy. Czuje, że to jest ten moment, w którym należy wyłożyć wszystkie karty na stół. Mówi: - Jest coś, o czym chcę ci powiedzieć. - Na chwilę zawiesza głos. - Wiem, komu przeszczepiono serce Piotрка.

- Jak to wiesz? Skąd? - pyta Julia, a jej oczy robią się coraz większe. - Komu?

- Ty wiesz, kim jest ten człowiek - mówi Marek.

- Ja? A niby skąd ja mam to wiedzieć... - Julia urywa w pół zdania i się prostuje. Przez chwilę trwa w bezruchu, aż w końcu jej dłoń unosi się i zakrywa usta. Kręci również głową, nie wierząc w to, o czym właśnie pomyślała. - Bystry? - pyta, chociaż przecież nie musi. To zbyt oczywiste, w końcu to jedyna osoba z przeszczepionym sercem, jaką poznała.

Marek kiwa głową.

- Od kiedy wiesz? - pyta go Julia.

Marek milczy.

- Od kiedy? - Pytanie pada ponownie.

- Od momentu, kiedy spotkaliśmy go w restauracji nad morzem, a on powiedział, ile czasu minęło od jego przeszczepu. Podał dokładną datę. To wzbudziło moje podejrzenia.

- Ale jakim cudem skojarzyłeś to z Piotrkim? Minęło przecież tyle lat. Ja nawet nie wiem, kiedy on dokładnie zmarł, a ty to wiesz?

- Przypomnieć ci, ile razy wysłałaś mnie na cmentarz, żebym czekał przy jego grobie na kogoś z rodziny? Nauczyłem się napisu z nagrobka na pamięć. Wraz z datą urodzenia i śmierci. Kiedy ty poszłaś do toalety, zapytałem Bystrego, czy wie coś o swoim dawcy. Motocyklista, trzydzieści lat, serce jechało z Łodzi. Dokładając do tego datę przeszczepu, byłem niemal pewien, że to on. Tydzień temu do mnie zadzwonił i podał nazwisko tego człowieka. Piotr Salski. Pojęcia nie mam, jak się do tego dokopał, ale zrobił to.

- Powiedziałeś o tym, co on mi zrobił?

- Powiedziałem, że człowiek, którego serce bije w jego piersi, cię skrzywdził.

- Marek, ale dlaczego ty mówisz mi o tym dopiero teraz? Dlaczego to przede mną zataiłeś?

- Bałem się, że tego nie udźwigniesz. Uważałem, że robię to dla twojego dobra. Przepraszam, popełniłem błąd. Miałaś prawo wiedzieć o wszystkim.

- Czyli co? Mówisz mi o tym teraz, bo już nie chcesz mojego dobra? - W oczach Julii pojawiają się łzy. Nie jest zła na Marka. Jest jej cholernie przykro w związku z takim obrotem sprawy. Jest również zszokowana.

- To mi nie dawało spokoju - mówi Marek. - Czułem się wobec ciebie bardzo nie w porządku.

Julia opiera głowę o ścianę i patrzy na wprost. Układa sobie to wszystko na półeczkach, które mieszczą się w jej zmęczonej głowie. Panuje tam nieprawdopodobny bałagan.

- Przepraszam - słyszy głos Marka, który kładzie dłoń na jej dłoni, chociaż obawia się, że zostanie odtrącony.

Nic takiego się jednak nie dzieje. Julia pozwala, aby trzymał ją za rękę, ale cały czas patrzy przed siebie i milczy. Trwa tak przez bardzo długi czas, natomiast Marek nie ma śmiałości, żeby się odezwać.

- Ja jestem chyba za głupia na ten świat - mówi w końcu Julia.

- Jesteś idealna - odpowiada jej Marek. - To świat jest tak pokręcony i cały czas stymuluje naszą ciepłość.

- To jest jakiś kosmos. To wszystko, co się ostatnio dzieje w naszym życiu. A to, że akurat Bystry chciał zekranizować moją książkę... Nie, na pewno nie nazwę tego przypadkiem. Jak tak sobie teraz o tym wszystkim myślę, to mam wrażenie, że ktoś chce mi coś przekazać.

- Bo tak jest. - Marek obejmuje ją ramieniem i przytula swoją głowę do jej głowy. - Każdy człowiek, którego spotykamy na swojej drodze, jest nam potrzebny. Żadna krzywda, która nas w życiu spotkała albo którą my wyrządziliśmy drugiemu człowiekowi, nie jest przypadkowa. Owszem, wiele osób mogłoby powiedzieć, że bez tych krzywd byłoby im lepiej. Na pewno tak jest, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Ale równie dobrze można powiedzieć, że gdyby nie przykrości, których doświadczyliśmy od innych ludzi, nie byłibyśmy tacy, jacy jesteśmy. Nie potrafilibyśmy się bronić, nie umielibyśmy odróżniać dobra od zła, szczerości od fałszu, toksycznych ludzi od prawdziwych przyjaciół. Uczymy się poprzez doświadczanie. A doświadczamy wszystkiego, każdej emocji. Ufamy, kochamy, śmiejemy się, płacemy, boimy, denerwujemy, nienawidzimy.

- Wybaczamy - mówi Julia. Ilekroć wypowiada to słowo, przez jej ciało przechodzą dreszcze.

- Wybaczamy.

- Marek, nie oczekuj, że będę chciała się z nim spotkać i porozmawiać - mówi w końcu Julia.

- Nie mam wobec ciebie żadnych oczekiwań, ale musisz coś zrozumieć. To znaczy - Marek się poprawia - ty nic nie musisz, chciałbym ci jednak coś powiedzieć, a co ty z tym zrobisz, to już twoja decyzja. Mogę to powiedzieć? - pyta ją.

W odpowiedzi Julia potakuje głową.

- Piotrek zginął w wypadku, a to, że jego serce służy teraz innemu człowiekowi, nie znaczy, że część jego umysłu, ta odpowiedzialna za twoją krzywdę, również. Organy zmarłych ratują życie tym, którzy ich potrzebują. One nie zmieniają człowieka w kogoś innego. Owszem, czytałem o przypadkach, kiedy to ludzie po przeszczepach zaczęli robić rzeczy, które wcześniej ich wcale nie interesowały. Ale to ciągle byli ci sami ludzie. Nie przestawali kochać swoich bliskich, nie zapominali

nagle o przyjaciółach. Nie jestem lekarzem, moja wiedza bazuje na moich własnych doświadczeniach. Wierzę w to, że przeszczepione serce może mieć pamięć. A raczej w jego DNA mogą znajdować się emocje z poprzedniego życia. Ale wiem też, że Norbert Bystry nie jest złym człowiekiem. Może spotkanie i rozmowa z nim pomogłyby ci jeszcze lepiej to wszystko zrozumieć?

- To dla mnie w obecnej chwili za dużo. Może kiedyś będę na to gotowa, a może nigdy. Nie wiem i nie będę się teraz nad tym zastanawiała - mówi Julia. - Marek, proszę cię, żebyś był wobec mnie szczery. Ja jestem w stanie znieść naprawdę dużo. Czy wszystko? Tego nie wiem. Nie mogę przecież wiedzieć, czy poradziłabym sobie ze śmiercią naszego syna, ale nie mogę też udawać, że nie ma żadnego zagrożenia. Ta sytuacja wiele mnie nauczyła. I to jest cholernie smutne, że najczęściej przykre rzeczy czegoś uczą.

- Nie sztuką jest otwierać co dzień oczy, kiedy masz podane do łóżka pyszne śniadanie, kiedy wiesz, że twoje konto w banku nie świeci pustkami, i kiedy cieszysz się zdrowiem swoim i swoich bliskich. Sztuką jest budzić się każdego ranka i pomimo trudności, jakie na ciebie czekają, mieć siłę, aby je przewyciężyć i dążyć do celu.

Julia kiwa głową, a Marek mówi jej o jeszcze jednej tajemnicy.

O tym, kto zgwałcił jego mamę.

Rozdział 24

Jest początek kwietnia.

Na drzewach pojawiają się pierwsze pąki, słupek rtęci pnie się w górę, słychać też coraz śmielsze nawoływania ptaków, które przyleciały zza morza. Jednym słowem, przyroda żyje i rozkwita. Jednak inaczej wygląda to w przypadku domu Julii i Marka, którzy, zdawałoby się, przeniknęli niewyobrażalnym smutkiem. I chociaż to tylko budynek, bryła, coś, co nie oddycha, to smutek ten jest bardzo namacalny.

Od dnia wpisania na listę oczekujących na przeszczep minęło dwieście dziewięćdziesiąt sześć dni. Julia uwzględniła w tym oczekiwaniu również czas, w którym jej syn został zawieszony na liście. Wypisano go ze szpitala po trzech tygodniach, z o wiele większą listą leków niż poprzednio. Jeszcze wtedy wszystko wskazywało na to, że jego stan zdrowia uległ jakiejś cudownej poprawie. Jednak było to tylko chwilowe, ponieważ z dnia na dzień pojawiły się duszności, suchy kaszel i coraz częstszy bezdech. Już nie jeździli na kontrolę raz w tygodniu, tylko dwa, a czasem nawet i trzy razy. Julia widziała miny lekarzy, które nie zwiastowały niczego dobrego. Powoli traciła nadzieję, a to, że lekarze zaczęli przebąkiwać o podłączeniu go do pompy serca, wcale nie pomagało. Czekala tylko na dzień, w którym powiedzą im, że od dziś już zostają w szpitalu i tam czekają na dawcę.

Albo na...

Wiele siły kosztowało ją to, aby rano otworzyć oczy i uśmiechać się do swojego dziecka. Nie dało się także nie zauważyć zmiany w sposobie bycia Juliana, gdyż od momentu, kiedy został obudzony ze śpiączki, zadawał mnóstwo pytań, na które oczekiwał szczegółowych odpowiedzi. Mało tego, potrafił zadawać te same pytania wiele razy i przez wiele dni. Pytał o Piotrka. Pytał o jego wypadek. Pytał, dlaczego Julia nie wzięła ślubu z nim, tylko z tatą Markiem. Julia cierpliwie odpowiadała na nie wszystkie, wiadomo, w zrozumiałym dla niego sposób. I bezpieczny. Jednak kiedy zapytał o dziecko, które ma mu oddać swoje serce, nie miała pojęcia, co powiedzieć. Do tej pory mówiła mu, że to serce przybędzie do niego z nieba, ale w pewnym momencie on sam zaczął rozumieć, że nie jest to prawdą.

- Mamo, a ty wiesz, kto odda mi swoje serduszko?

- Nie wiem - odpowiedziała mu. Nie była dziś w najlepszym nastroju, a ta rozmowa tylko spotęgowała złe samopoczucie. Bicie jej własnego serca przyspieszyło i zrobiło się jej zimno. Była zestresowana.

- Mamo, a dlaczego wcześniej powiedziałeś mi, że moje nowe serduszko przyleci do mnie z nieba, skoro to nie jest prawdą? - Syn zadaje jej kolejne pytanie. - Pani doktor w szpitalu mówiła do innej pani, że w czasie wakacji jest więcej szans na dostanie nowego serca, bo dzieci mają więcej wypadków. I ja się jej wtedy zapytałem, czy moje serduszko przyleci do mnie z nieba. Na wakacje. Powiedziała mi, że nie i że do nieba pójdzie dziecko, które mi je odda. Mamo, dlaczego mnie okłamałaś? Przecież nie można kłamać.

To są bardzo trudne pytania, a Julia zdaje sobie sprawę z tego, że Marek miał rację, mówiąc jej, żeby nie ukrywała prawdy. Szkoda tylko, że sam nie zastosował się do tych rad, chociaż tak naprawdę nie ma mu tego za złe i po prostu rozumie, że chciał ją chronić. Na swoje wytłumaczenie ma to, że zrobiła dokładnie to samo w stosunku do własnego dziecka.

- Przepraszam, że nie powiedziałam ci prawdy. Nie chciałam, żebyś się smucił - odpowiada.

- Bo ktoś umrze?

- Tak.

- I jakiejś mamie będzie przykro, tak?

- Tak.

Julek przytula się do Julii. Minął piąty miesiąc ciąży, o czym świadczy naprawdę sporych rozmiarów brzuszec. Już oficjalnie wiadomo, kto w nim mieszka.

- Nie martw się - mówi i całuje jej brzuch - jeśli ja umrę, będziesz miała Helenkę.

Nim Julia zdąży w jakikolwiek sposób zareagować na jego słowa, dodaje:

- Mamo, ale ty o mnie nie zapomnisz, prawda? I zawsze będziesz mnie kochała? Bo ja zawsze będę cię kochał.

Jak odpowiedzieć na takie pytania, kiedy jest się na granicy wytrzymałości, a w domu nie ma nikogo, kto mógłby pomóc? Julia nie mówi więc nic, tylko przytula do siebie syna. Tym uściskiem chce mu pokazać, jak bardzo go kocha.

- Mamo? Dlaczego płaczesz? Bo myślisz, że ja umrę? Przecież każdy kiedyś umrze.

- Ale dzieci nie powinny odchodzić wcześniej niż ich rodzice - mówi Julia.

Dziś wyjątkowo mocno czuje ciężar tych słów, a jej głos jest przepełniony bólem. Świadomość tego, ile jej syn wie o śmierci, jest dla niej dołująca. Takie małe dziecko powinno biegać, skakać, wdrapywać się na drzewa i ganiać się z kolegami, a on praktycznie cały czas siedzi albo leży. A teraz jeszcze rozmawia o umieraniu. Julia głaszcze go po głowie. Słyszy też, jak wejściowe drzwi się otwierają, co przyjmuje z ulgą.

- Gdzie jest mój cudowny wnuk i moja wspaniała synowa? - Do jej uszu dobiega głos Marii. Wtórkuje mu nieco cichszy głos Ludwika.

- Gdzie jest mój ulubiony wnuk, moja ulubiona Julia i mój ulubiony kot?

- Tutaj jesteśmy - mówi Julian i wyciąga chudziutką dłoń w górę. Po chwili tonie w ramionach przyszywanych babci i dziadka. Do domu wchodzi także Marek, który przywiózł ich z dworca kolejowego. Stawia w korytarzyku walizki i siada obok Julii.

- Wszystko okej? - pyta.

- Jestem zmęczona - odpowiada, a gdy uznaje, że nikt poza nim nie usłyszy tego, co chce mu przekazać, szepcze mu do ucha: - On znowu zadawał trudne pytania. Dziś wyjątkowo trudne.

Marek kiwa głową, a ona w tym samym czasie zerka na Ludwika. Widzi go pierwszy raz od momentu, gdy dowiedziała się o tym, że to tak naprawdę dużo starszy przyrodni brat jej męża.

Czy Julia dostrzeże między nimi jakiegokolwiek podobieństwo? Owszem. Ich usta są podobnie wykrojone, z tą różnicą, że Ludwik potrafi się nimi uśmiechać, Marek wręcz przeciwnie. Kolor oczu również mają podobny. Obaj piją kawę bez mleka, posłodzoną połową łyżeczki cukru. Obaj uwielbiają oglądać stare westerny. I na tym wspólne cechy się kończą. Julia zastanawia się, czy Maria nie widzi tego podobieństwa, czy może jednak nie chce go widzieć.

- Jak się czujesz? - Maria siada obok i otacza ją ramieniem.

- Fizycznie znośnie. Natomiast co do psychicznego samopoczucia, to bywało lepiej.

Julia wdycha i drapie za uchem kota, który przed momentem wskoczył jej na kolana. Zazdrości mu tej beztroski i tego, że jak wyróci miseczkę z wodą, ma to gdzieś, bo wie, że ktoś zawsze po nim posprząta. Ona swój życiowy bałagan musi sprzątać sama.

- Jestem tutaj po to, żeby cię odciążyć - mówi Maria. - Ale jeśli uznasz, że za bardzo się szarogęszę, od razu mi o tym powiedz, dobrze? Wiem, że mam skłonności do nadopiekuńczości, ale wynika to z mojej miłości do was wszystkich.

- Przyda mi się pomoc i towarzystwo. A twoją nadopiekuńczość uwielbiam - mówi Julia, patrząc na syna, który trzyma w rękę mały model dużego fiata.

Dostał go od Ludwika, który właśnie snuje opowieść o tym, jak to kupił swój pierwszy w życiu samochód, właśnie fiata 125p, w identycznym kolorze jak ten, którego sprezentował wnukowi.

- Wiesz co, dziadku? Jak będę duży, to też sobie kupię taki samochód. Dokładnie taki sam. Oczywiście jeśli będę jeszcze żył. Bo w niebie nie ma samochodów. Widziałem - mówi Julian.

Marek, Maria i Ludwik patrzą na Julię, a potem wymieniają się spojrzeniami.

- Pokażesz mi swój pokój? - pyta Ludwik, który zrywa się z fotela. Usiadł na nim chwilę temu z zamiarem odbycia dyskretnego drzemki po podróży pociągiem.

- Dziadku, przecież wiesz, jak wygląda mój pokój.

Chłopiec wydaje się bardzo niepokieszony, że musi iść na górę.

- Stary już jestem i trochę zapomniałem - mówi Ludwik i bierze małego za rękę. - No chodź.

Kiedy znikają, Julia wybuchła płaczem.

- Ja tego dłużej nie zniosę. Ja już nie mam siły. - Jej głos miesza się ze szlochem.

Opiera łokcie na kolanach i chowa twarz w dłoniach. Marek pochyla się nad nią i ją obejmuje. Przytula swoją głowę do jej głowy. Maria, która siedzi z drugiej strony, również ją przytula i mówi:

- Siła jest kobietą. Ty jesteś kobietą i jesteś znacznie silniejsza, niż myślisz.

Julia przeciera dłońią zapłakane oczy.

- Nie wiem, jak silna musiałaby być kobieta, żeby znieść to wszystko, co nas spotkało. Dziś rano dowiedziałam się, że wczoraj w nocy zmarła dziewczynka, która choruje na ten sam rodzaj kardiomiopatii co Julek. Była w tym samym wieku co on. Czekala na nowe serduszko trzysta osiemdziesiąt pięć dni. Ponad rok. Nie doczekała się, bo ciągle brakuje dawców dla tak małych dzieci. Dlaczego to się dzieje? Dlaczego to jest takie trudne? - pyta z rozpaczą w głosie, a potem kładzie dłonie na brzuchu i dodaje: - Tak się boję, że nie donoszę tej ciąży. Że stracimy dwoje dzieci.

- Musisz być dobrej myśli i dbać o siebie. Ja wiem, że to tylko tak łatwo się mówi komuś, kto nie jest tobą i nie czuje tego co ty. Ale nie jestem w stanie zrobić nic więcej ponad wsparcie cię dobrym słowem i ulżenie w codziennych obowiązkach - mówi Maria, a potem, gdy Julia się nieco uspokaja, idzie do kuchni, żeby zrobić wszystkim herbatę.

Gdy czeka, aż woda się zagrzeje, wygląda przez kuchenne okno, które wychodzi na podwórze. Widzi, że przed bramą zatrzymuje się auto, z którego ktoś wysiada i podchodzi do furtki. Niestety nie widzi, kto to taki, bo płot i okalające go krzewy całkowicie zasłaniają widok. Po chwili w całym domu roznosi się dźwięk domofonu.

- Ktoś stoi przy furtce - informuje Maria.

- Może to Weronika? - mówi Julia.

- Przecież ona ma swoje klucze - odpowiada jej Marek. - Pójdę zobaczyć kto to.

Wychodzi na zewnątrz i otwiera furtkę. Zastaje tam kogoś, kogo nie spodziewał się już nigdy więcej zobaczyć.

Rozdział 25

Krystyna Salska tuż po tym, jak wróciła do domu po spotkaniu na cmentarzu z bardzo dziwnym mężczyzną, przez długi czas nie mogła dojść do siebie. Siedziała przy stole pokrytym starą, miejscami porządnie już przetartą ceratą i dumiała. A że z natury była bardzo podejrzliwą kobietą, wszystko, co ten człowiek powiedział o jej niby-wnuku, przyjęła z ogromną ostrożnością. W związku z tym, że od dnia śmierci jedyne go syna rodzina ze strony męża chciała położyć łapska na jej majątku, traktowała wszystkich ludzi bardzo nieufnie. Uważała bowiem, że każdy chce ją oszukać i okraść. Do tego stopnia popadła w paranoję, że zbudowała wokół siebie mur i stała się samotniczką.

A tu nagle okazuje się, że ktoś postanowił namieszać jej zarówno w życiu, jak i w głowie i sprzedać bajeczkę o wnuku.

- Nieźle to sobie uknuli. Myśleli, że jak stara baba jestem, to we wszystko uwierzę. Niedoczekanie ich - powiedziała, a potem zaczęła siorbać gorzką jak jej życie herbatę.

Jeszcze gdy stała na cmentarzu i słuchała słów tego człowieka, można powiedzieć, iż wzięła pod uwagę, że mógł mówić prawdę. Jednak ledwo wróciła do domu, z każdą kolejną chwilą myśli te drażniły ją coraz bardziej, aż w końcu wyperswadowały jej taką możliwość. Minął miesiąc, potem kolejny i następny, a ona już nigdy więcej nie spotkała na cmentarzu tego człowieka. Fakt, zabroniła mu przychodzić, ale przecież doskonale wiedziała, jak to jest z tymi oszustami. Przecież jak pogonisz ich drzwiami, oni wrócą oknem. On jednak więcej się nie pokazał.

O ile jeszcze w porze letniej potrafiła jako tako zająć swoją głowę innymi rzeczami niż myśleniem o tym, czy to dziecko jest naprawdę z nią spokrewnione, bo a to trzeba było wypielić w ogródku, a to o opał na zimę się postarać, a to zapasów do spiżarki narobić, tak gdy nastawa jesień, a zaraz za nią zima, gdzie jej jedynym zajęciem były robótki na drutach i szydełku, znowu pojawiły się myśli o tym dziecku. Coś ciągle nie dawało jej spokoju. Coś podszeptowało różne scenariusze. Coś budziło ją w nocy i nie pozwalało zasnąć, torpedując jej głowę najdziwniejszymi myślami. Kolejna samotnie spędzona Wigilia przelała czarę goryczy, dlatego tydzień, może dwa tygodnie po Nowym Roku Krystyna udała się do miejscowego listonosza, którego znała, od kiedy był dzieckiem, i poprosiła go o pomoc w pewnej, jak to określiła, bardzo delikatnej sprawie. Człowiek ten znany był z tego, że potrafił wszystko naprawić, wszystko załatwić i był przy tym wyjątkowo dyskretny.

- Pani Salska - powiedział, podkreślając wąż, co miało pokazać, że jej sprawa bardzo go przejęła - tutaj potrzeba odpowiedniego specjalisty.

- Kogo?

- Detektywa - wyszeptał konspiracyjnie.

- A pomoże go znaleźć? Tego detektywa?

- A jasne, że pomoże.

- A co w zamian chce? - Kto jak kto, ale Krystyna wiedziała, że nie ma nic za darmo.

- Pani Salska, dogadamy się. Wydierzawę pani mojemu zięciowi ziemię pod uprawę i będzie dobrze.

- Na to mogę przystać - mówi, a w związku z tym, że nie ma telefonu, informuje go, że jak już znajdzie tego detektywa, to ma niezwłocznie z nim do niej przyjść. Tylko zastrzega, że ma to być najlepszy detektyw.

- Najlepszy to kosztuje - mówi mężczyzna.

- Stać mnie - odpowiada mu Salska i się żegna.

Jeszcze tego samego dnia listonosz z pomocą swego nastoletniego syna szuka w internecie detektywa.

- Może ten? - mówi jego potomek.

- Weź ty się puknij w głowę, młody. Szukamy kogoś poważnego i dyskretnego. Ten to by nam tutaj cyrk urządził.

- No i może w końcu zaczęłoby się coś tutaj dziać, a psy przestałyby szczekać dupami - mruczy pod nosem chłopak.

- Zważaj na słowa, młody człowieku - napomina go ojciec. - Pokazuj innych.

- A ten? Prosta strona, informacje konkretne, nie za dużo, nie za mało. No i na zdjęciu wygląda na porządnego - mówi znudzony chłopak.

Przejrzeli chyba ze dwadzieścia różnych ofert agencji detektywistycznych, a ojciec przy każdej kręcił nosem. Jak nie ten, to już chyba żaden, myśli jego syn.

- Twoja mama też wyglądała na porządną, jak ją pierwszy raz na zdjęciu zobaczyłem - mówi mężczyzna, po czym obaj zanoszą się śmiechem. - W sumie masz rację. Ten chyba się nada. Dobrze mu z oczu patrzy, chociaż wygląda na młodego. Ale to może tylko tak na tym zdjęciu.

Następnego dnia listonosz kontaktuje się z detektywem. Po głosie można poznać, że to faktycznie młody człowiek, co nieco studzi jego zapał, ale zgodnie z zasadą pierwszego wyboru prosi go o spotkanie. Trzy dni później on, Krystyna Salska i licencjonowany detektyw Damian Raczyński spotykają się w domu kobiety. Ona jest nieufna, bo uważała, że dobry detektyw musi być albo łysy jak Kojak, albo nosić sutannę, jak w tym serialu o detektywie i zakonnicy. A ten tutaj wygląda tak, jakby dopiero co starł mleko spod nosa. I gdzie on niby tego swojego doświadczenia nabył? No gdzie? W szkole podstawowej?

- A pan zna się chociaż trochę na swojej robocie? - pyta Krystyna, zezując co chwilę na listonosza. Jest to taki nieco oskarżający zez, w którym można wyczytać brak zaufania do jego profesjonalizmu i niejaki ostrzeżenie co do wydzierżawienia ziemi.

- Trochę się znam - mówi mężczyzna.

Widzi, że kobieta mu nie ufa, co wcale go nie dziwi. Nie jest pierwszą osobą, która ocenia go przez pryzmat wyglądu i mylnie ocenia jego wiek, dlatego Damian robi to, co robi zawsze w takiej sytuacji.

- Umówmy się tak, że jeśli w ciągu półtora miesiąca nie rozwiążę pani problemu, nie wezmę od pani pieniędzy - mówi.

- Moim zdaniem to uczciwe podejście - podpowiada listonosz, któremu zależy na rozwiązaniu problemu.

Krystyna zgadza się i mówi, czego potrzebuje. Damian wszystko notuje, a potem zadaje jej pytania, na które większość odpowiedzi brzmi: „nie wiem”, „nie mam pojęcia”, „chyba nie”, „nigdy mi nie mówił”, „nie słyszałam”, „nie znam”.

Jedyne, co pamięta i potrafi opisać w najdrobniejszych szczegółach, to wygląd tego człowieka z cmentarza i tej kobiety. Ponoć matki jej wnuka. Fotograficzna pamięć do twarzy w końcu się na coś przydaje. Damian natomiast uwielbia wyzwania. Uwielbia również udowodniać tym, którzy w niego nie wierzyli, że zna się na swojej pracy.

- Będę potrzebował wszystkich rzeczy, w których posiadaniu pani jest, a które należały do syna. Laptop, telefon, notatniki, zdjęcia - wylicza na palcach.

- Proszę za mną.

Kobieta wstaje z krzesła i prowadzi go do jednego z pokoi. W środku znajduje się coś na kształt ołtarzyka poświęconego zmarłemu synowi. Jego zdjęcie stoi w centralnym miejscu, a dookoła poustawiane są kwiaty i świeczki. W pomieszczeniu piętrzą się też pudła, w których musi znajdować się wiele osobistych rzeczy jej syna. Jeśli nawet widok ten zdziwił Damiana, nie daje tego po sobie poznać.

- To wszystko należało do pani syna? - pyta.

- Tak. Po śmierci Piotrusia nasz listonosz pomógł mi przewieźć tutaj wszystko z jego mieszkania. Mieszkanie sprzedałam, bo na co mi ono. Ale tego, co tutaj jest, nie byłam w stanie się pozbyć. Gdybym to wyrzuciła, to tak, jakbym chciała o nim zapomnieć. To co teraz?

- Teraz będę próbował znaleźć odpowiedź na pani pytanie. Będzie się to wiązało z moimi dość częstymi wizytami w tym pokoju. Jak rozumiem, nie ma pani nic przeciwko?

Krystyna wzdycha, bo nie bardzo uśmiecha się jej obcowanie z kimś, kogo nie zna, ale wie, że inaczej się nie da. Potakuje głową. Damian żegna się i mówi, że wróci jutro. Dokładnie dwa i pół tygodnia później jego poszukiwania kończą się sukcesem. W ciągu tego czasu przetrząsnął wszystkie notatki Piotra Salskiego, jego albumy ze zdjęciami i laptopa, w którym najpierw trzeba było wymienić baterię. Podobnie jak w telefonie, który odkąd się rozładował, prawdopodobnie siedem lat temu, leżał nieużywany. Teoretycznie smartfon był do wyrzucenia, ale jeśli miało się zaprzyjaźnionego specjalistę, można było wymienić baterię, tym samym wskrzeszając urządzenie. Niestety, musiało to potrwać kilkanaście dni, ponieważ ów spec miał bardzo dużo pracy.

- To nie może być aż takie proste - mówi Damian, przeglądając zawartość telefonu, w którym znajduje odpowiedź na swoje poszukiwania.

Piotr Salski prowadził w nim coś na kształt notatnika. Zapisywał tam wszystko, co robiła, gdzie chodziła i z kim się spotykała niejaka Julia Radosna. Już to świadczyło o tym, że z facetem było coś nie tak.

Znowu do niej przyszedł. Pieprzony Wenta, wielki pan psycholog. Sztyniak jakich mało. Szybko o mnie zapomniała, ale ja o niej nie. Chciałem ją podwieźć na motocyklu do tej jej śmiesznej pracy, a ona odmówiła. Pożałuje tego.

W ruch poszła wyszukiwarka Google. Na hasła „Wenta”, „Łódź” i „psycholog” wyskoczyły informacje o psychoterapeucie Marku Wencie. Na stronie internetowej jego gabinetu widniała wzmianka, że prowadzi go wraz ze swoją żoną Julią. W zakładce „O nas” znalazło się również ich wspólne zdjęcie. Ona była uśmiechniętą, szczupłą blondynką o niezwykle intrygujących oczach. On z kolei nie uśmiechał się wcale, miał mocno zarysowaną szczękę, kilkudniowy zarost i ciemne, gęste włosy. Był wysoki i bardzo dobrze zbudowany.

- Czy to z tym człowiekiem pani rozmawiała? - Kilka dni później Damian pokazuje Krystynie zdjęcie Marka i Julii.

- To on! I ona! Jak ich pan znalazł? - krzyczy zdumiona kobieta.

- Mam swoje sposoby. - No przecież nie powie, że wystarczyło przejrzeć telefon jej syna, dodać dwa do dwóch i uzyskać pozytywny wynik. Nie powie jej też, że syn miał obsesję na punkcie tej kobiety i najprawdopodobniej ją śledził. Wszak nie za to mu płacono. - Proszę. - Podaje jej kartkę z adresem zamieszkania Julii i Marka. Zdobycie go okazało się niezwykle łatwe, widniał bowiem jako siedziba firmy w CEIDG. Oczywiście wcześniej zweryfikował, czy naprawdę tam mieszkają. Mieszkali.

- Przyznam, że w pana nie wierzyłam - mówi Krystyna, a potem kładzie przed nim umówioną kwotę.

- Nie pani pierwsza, nie pani ostatnia. Taka już moja uroda, że wyglądam jak mój sporo młodszy brat, któremu nikt nie powierzyłby opieki nawet nad kulawym psem.

- No tak, no tak - odpowiada Krystyna. Potrzebuje jednak jeszcze wielu dni, aby przekonać siebie samą, że naprawdę chce spotkać się z tymi ludźmi.

Rozdział 26

- Nazywam się Krystyna Salska. Pamięta mnie pan?

- Pamiętam.

- Nie jest pan zaskoczony moim widokiem? - Krystyna opiera dłonie na lasce i patrzy na Marka, który otworzył jej furtkę.

- Jestem - odpowiada jej. - Proszę mi wierzyć, że jestem bardzo zaskoczony.

- Tak? Bo wcale tego nie widać. - W jej głosie słychać wyrzut, a gdy Marek nie wyprowadza jej z błędu, dodaje: - Musiałam wynająć detektywa, żeby was odnalazł.

Marek odbiera te słowa jako afront, ale przez szacunek dla wieku swojej rozmówczyni nie chce przypominać jej o tym, że to przecież ona nie życzyła sobie żadnych kontaktów.

- Rozumiem - udziela bezpiecznej odpowiedzi.

- Będziemy tak tutaj stali i marzli, czy może jednak zostanie zaproszona do środka? - pyta Krystyna, która tak naprawdę wcale nie odczuwa zimna. Wręcz przeciwnie, jest jej bardzo ciepło.

Marek nie bardzo wie, co ma zrobić. Sytuacja w domu jest drażliwa. Poza tym, co tu dużo ukrywać, nie jest to najlepszy czas na przyjmowanie gości. I to takich gości jak ta kobieta. Z drugiej jednak strony matka Piotrka wykazała się naprawdę dużą determinacją, żeby ich odnaleźć, a biorąc pod uwagę to, jak go pożegnała wtedy na cmentarzu, wiele siły musiało kosztować ją pojawienie się tutaj.

- Da mi pani chwilę? - pyta ją. Chce być wobec niej szczerzy, więc dodaje: - W domu panuje ostatnio bardzo napięta atmosfera. Związane jest to z naszym synem i z jego chorobą. Poza tym moja żona jest w ciąży i generalnie staramy się unikać dodatkowych stresów. Wystarczą nam te, które mamy. Ufam, że skoro wynajęła pani detektywa, żeby nas odnaleźć, zależy pani na tym spotkaniu. Chciałbym jednak najpierw uprzedzić moją żonę o pani wizycie. Zapytać ją, czy będzie w stanie się z panią zobaczyć. Bardzo proszę o zrozumienie dla naszej sytuacji i nieodbieranie tego osobiście.

- Poczekam - mówi Salska i patrzy w kierunku samochodu, w którym siedzi listonosz, udając, że wcale nie podsłuchuje.

Kiedy tak sterczy pod bramą, czuje się jak natręt. Wcale nie pomyślała o tym, że jej pojawienie się może być niemile widziane. Nie potrafi ukryć rozgoryczenia, że prawdopodobnie tak jest, i dochodzi do wniosku, że przyjeżdżając tu, popełniła ogromny błąd.

- Trzeba było zostawić to tak, jak jest.

Odwraca się z zamiarem odejścia od furtki, ta jednak w tym samym momencie ponownie się otwiera i staje w niej Marek.

- Przepraszam, że musiała pani tyle czekać. Zapraszam. - Gestem pokazuje, żeby weszła na podwórko.

Krystyna przez chwilę się waha, w końcu jednak ściska mocniej laskę i z wysoko uniesioną głową podąża w stronę domu. Z każdym kolejnym krokiem czuje się coraz mniej pewna swojej decyzji, ale nie przywykła do tego, żeby okazywać słabość. A tak by właśnie było, gdyby teraz zarządziła odwrót. Wchodzi zatem po schodach, a potem przechodzi przez drzwi, które otworzył przed nią Marek. Wspiera się na lasce, której odgłos informuje domowników, że za chwilę dojdzie do spotkania.

Wracając do domowników...

Gdy Marek wszedł do domu i powiedział Julii i Marii, kto przyszedł, na ich twarzach odmalował się szok.

- Ale jak to? - pyta go Julia. - Jak ona tu trafiła? Powiedziałaś jej, gdzie mieszkamy?

- Nie powiedziałem. Wynajęła detektywa, żeby nas odnaleźć.

- Musiało jej bardzo zależeć na tym spotkaniu - wtrąca się Maria. - Moim zdaniem powinniście z nią porozmawiać. - Widząc niepewną minę Julii, dodaje: - Ona nie odpowiada za grzechy swojego syna, chociaż zapewne nie uwierzyłaby, gdyby się dowiedziała, co on ci zrobił. Matki już tak mają, że pójdą za swoim dzieckiem w ogień. I ty to wiesz, moja droga.

- Przychodząc tutaj, musiała wykazać się wielką odwagą - dodaje Marek. - Myślę również, że chęć poznania Juliana była tak silna, że nawet jeśli mi nie uwierzyła, to coś nie dawało jej spokoju. Jeśli jednak uznasz, że nie jesteś gotowa na to spotkanie, odprawię ją.

Do Julii dociera w końcu to, że matka Piotrka jest częścią przeszłości, możliwe, że ostatnim jej elementem, który musi wskoczyć na właściwe miejsce. No i nie ma co ukrywać, to przez nią ta kobieta się tutaj zjawiła. W końcu gdyby tak bardzo nie naciskała na Marka, ona nie miałaby pojęcia o istnieniu wnuka. Julia się denerwuje, bo nie wie, w jakim kierunku może potoczyć się ta rozmowa. Może Salska przyszła tutaj, żeby oskarżyć ich o to, że uniemożliwili jej kontakty z jedynym wnuczkiem? A może chce czegoś zupełnie innego? Dowiedzą się tego tylko w jeden sposób.

- Niech wejdzie.

Kiedy do uszu Julii docierają odgłosy stukania drewnianej laski o posadzkę, zaciska mocniej dłonie na poduszczyce, która leży na jej kolanach. Coś jej mówi, że właśnie nadszedł ostateczny czas rozliczenia się z przeszłością.

- Dzień dobry - mówi kobieta, która pojawiła się w salonie. Julia pamięta ją ze spotkania na cmentarzu, kilka lat temu. Bardzo się postarzała od tego czasu. Bije od niej ostrożność, ale też duma.

- Dzień dobry - odpowiadają jednocześnie Julia i Maria. Marek dokonuje prezentacji, a Maria pyta kobietę, czy się czegoś napije.

- Może być woda - mówi i siada na fotelu naprzeciwko Julii. Patrzy jej w oczy, a potem przenosi na chwilę wzrok na jej brzuch. - Który to miesiąc? - pyta, patrząc ponownie w dwukolorowe oczy Julii.

- Piąty - pada w odpowiedzi.

- Czy mogłabym zobaczyć chłopca? - zadając to pytanie, Krystyna bardzo mocno ściska w dłoniach swoją torebkę.

- Tak, ale najpierw muszę pani coś powiedzieć - mówi Julia. - Nasz syn wie, że jego prawdziwym tatą nie jest mój mąż. Jednak nie ma pojęcia o pani istnieniu. Ja... ja po prostu nie chciałam mieszać mu w głowie. Nie chciałam wracać do przeszłości. Związek z Piotrkim... to... to było dla mnie bardzo trudne. Proszę tylko o to, żeby uszanowała pani moją prośbę i nie zadawała mi pytań o moją relację z pani synem. Jedyne, co powinna pani wiedzieć, to to, że to nie mogło się udać. I nikt nie jest temu winien - wypowiadając te słowa, Julia zerka na Marka.

Krystyna opiera dłonie na lasce i pochyla głowę. Wzdycha.

- Przyznaję to z ogromnym smutkiem i żalem, ale mój syn był taki sam jak jego okrutny ojciec. A ja głupia i naiwna myślałam, że wypłeniłam z niego to zło. W głębi serca jednak cały czas wiedziałam, że Piotrek swoje za uszami ma, ale jak to matka, nie chciałam tego widzieć. Sama sobie założyłam klapki na oczy. - Ponownie patrzy na Julię. - Nie będę o nic pytała. Będąc żoną swojego męża, nauczyłam się, że czasem najlepiej jest trzymać gębę na kłódkę i nie zadawać niepotrzebnych pytań, żeby nie oberwać. Ale musicie też wiedzieć, że ja mojego syna kochać nigdy nie przestanę. Nigdy.

- To oczywiście - mówi Maria, która stawia przed Krystyną szklanekę z wodą. - Kochamy nasze dzieci bezwarunkowo.

- To naprawdę jest mój wnuk? To naprawdę syn Piotrka? Błagam, niech mnie pani nie okłamuje. Tyle siły kosztowało mnie przyjechanie tutaj... - Krystyna patrzy na Julię. W jej oczach widać determinację.

- Naprawdę. Jeśli pani chce, możemy przeprowadzić badania genetyczne.

- Wierzę pani. Naprawdę pani wierzę. Tak dobrze pani z oczu patrzy. Nie wybaczyłamby sobie, gdybym tutaj nie przyjechała. - Ociera łzy, a potem sięga swoją pomarszczoną dłonią do torebki i coś z niej wyjmuje. Ręce jej się trzęsą, kiedy kładzie na stole kilka zdjęć. Mówi: - To mój Piotruś. Miał tutaj siedem, może osiem lat. To był dobry dzieciak, tylko ojciec tak dużo od niego wymagał. A jak on coś źle zrobił, to w ruch szedł pas i Piotrek już więcej tego błędu nie popełnił. Tylko nauczycielki w szkole mówiły, że on inne dzieci bije, przeżywa. A ja to sobie tłumaczyłam tak, że on się przed nimi bronił. Szybko wyfrunął mi z domu. Ojca miał dość. Wiecznych krzyków, awantur, popychania... Przyjeżdżał rzadko, ale go nie winiłam. Dopiero jak mąż zmarł, zaczął bywać u mnie częściej. A potem - Krystynie

załamuje się głos – a potem przyjechali do mnie policjanci i powiedzieli, że nie mam już syna. Dacie wiarę? Jeszcze dwa dni wcześniej u mnie był, chociaż jakiś taki dziwny, przygaszony, bez uśmiechu, zupełnie jak nie on. Ale był. Drzewa narąbał, starą szafę wyniósł, płot naprawił. O tutaj – Krystyna bierze do ręki zdjęcia i pokazuje na jego twarz – tutaj miał takie dołeczki, kiedy się uśmiechał. Taki był z niego ładny chłopiec. I już go nie ma.

Julia doskonale pamięta te dołeczki. Pamięta też coś innego. Przed jej oczyma przewijają się obrazy, na których Piotrek ją atakuje, wyzywa, poniża i gwałci. Patrzy na nie w taki sposób, jakby oglądała film. Jakby ten hologram wcale nie dotyczył jej. Bierze w dłoń jedno ze zdjęć i im dłużej się mu przygląda, tym większe dostrzega podobieństwo między swoim synem a małym Piotrkim. Nie chce szukać dla niego usprawiedliwienia, bo przecież to, co jej zrobił, trudno wytłumaczyć. Ale zaczyna rozumieć, dlaczego był taki nerwowy, despotyczny, agresywny w stosunku do niej. Jeśli to, co mówi ta kobieta, jest prawdą, a przecież Julia nie ma prawa jej nie wierzyć, to Piotrek był taką samą ofiarą jak ona, z tą różnicą, że on nasiąknął agresją. Julia natomiast chciała się dzielić ze wszystkimi ludźmi miłością.

Początkowo z nim również.

- Pójdiesz po Julka? – pyta Marka, który kiwa głową w odpowiedzi.

Kiedy po chwili obaj schodzą po schodach, Julian mówi:

- A dziadek to wcale nie chciał zobaczyć mojego pokoju. Poszedł spać i bardzo chrapie. Pomalowałem mu twarz na niebiesko. Mamo, a tata powiedział, że dziadek śmiesznie wygląda. Jak Papa Smerf. A kim pani jest? – Chłopiec kieruje to pytanie do bladej Krystyny.

- Ja...

- To jest mama Piotrka – mówi Julia. – Twojego taty.

- Czyli moja babcia? Mam trzy babcie? Ale ekstra. Jestem najbogatszym chłopakiem na świecie. – Bez żadnego skrępowania i strachu siada naprzeciwko zszokowanej Krystyny i pyta: – Dlaczego wcześniej nie przyszedłeś mnie odwiedzić? Jak masz na imię? Ile masz lat? Chyba dużo, prawda? A wiesz, że jestem chory i mogę umrzeć? Ale wcale się tym nie martwię, bo w niebie jest fajnie. Piotrek też tam jest. – Po wypowiedzeniu tych słów zaczyna po raz kolejny opowiadać o swoim spotkaniu z Piotrkim w niebie, a sposób, w jaki to robi, jest tak szczerzy, że żaden ze słuchających go dorosłych nie jest w stanie zakwestionować prawdziwości tych słów.

Krystyna patrzy na to cudowne dziecko i chłonie każde słowo, które wypływa z jego ust. Broda jej drży, po policzkach spływają łzy, a serce wyrywa się, żeby go do siebie przytulić. Już wtedy, na cmentarzu, kiedy zobaczyła go na zdjęciach, dostrzegła podobieństwo pomiędzy nim a swoim synem, ale w związku z tym, że z góry założyła, że Marek chce ją oszukać, okłamywała również siebie, że takiego podobieństwa wcale nie widać.

W chwili, w której Krystyna chce wstać i podejść do dziecka, odzywa się telefon. Julia, która po niego sięga, aż wstrzymuje oddech. To warszawski numer. Jeśli nie dzwoni przedstawiciel firmy od fotowoltaiki, to musi to być telefon, na który czekają od dwustu dziewięćdziesięciu sześciu dni.

Odbiera.

- Halo. – Stara się zachować spokój, ale nie potrafi zapanować nad drżeniem głosu.

- Dzień dobry – odzywa się damski głos. – Dzwonię ze szpitala w Warszawie. Jest serce dla waszego syna. Chciałam się zapytać, czy podtrzymują państwo decyzję o...

- Tak! – krzyczy Julia, nie dając kobiecie dokończyć, a potem włącza w telefonie głośnik, żeby wszyscy mogli usłyszeć. – I co teraz? Co mamy teraz zrobić?

- Jesteście w stanie dojechać do nas sami czy potrzebujecie transportu? – pyta koordynatorka, która w głębi duszy tak bardzo się cieszy, że kolejna rodzina doczekała się na dawcę. Owszem, wiąże się to ze smutkiem innej rodziny, ale na to przecież nikt nie ma wpływu. Przecież nikt tego nie zaplanował.

- Przyjedziemy – mówi Marek. – Za kwadrans wyjeżdżamy z domu.

Połączenie zostaje zakończone.

Rozdział 27

To był zupełnie normalny dzień. Nic nie wskazywało na to, że za chwilę dojdzie do tragedii...

- Pójdę z małym do ogrodu - mówi Kamil do swojej żony Magdy i łapie siedmioletniego syna za rękę. W drugiej trzyma latawiec.

Ogród usytuowany jest za budynkami gospodarczymi, jakieś dwieście metrów od ich domu. Pogoda jest idealna, wieje wiatr, ale nie jest wcale zimno. Kamil i jego syn siadają na trawie. On zaczyna rozplątywać latawiec, chłopiec na razie tylko się przygląda.

- Tato, mogę zdjąć czapkę? - pyta po chwili.

- Mama by mi urwała uszy, gdybym ci na to pozwolił. Jak ja bym wyglądał bez uszu? - Kamil zakrywa dłońmi swoje uszy i szczerzy zęby.

- Śmiesznie. To co? Mogę ją zdjąć? - Krzyś składa dłonie w błagalnym geście i robi przy tym taką słodką minkę, że Kamil nie jest w stanie mu odmówić.

- Ale to będzie naszą tajemnicą, dobrze? - Kamil zaciska pięść, a potem prostuje mały paluszek. Krzyś robi to samo. Splatają ze sobą sterczące palce na znak zachowania tajemnicy.

- A wiesz co, tato, z mamą też mam taką tajemnicę. Tylko nie mogę ci o niej powiedzieć. Nigdy. Mama powiedziała, że jak to zrobię, to mi wszystkie zęby wypadną i już więcej nie urosną, i nie będę mógł jeść czekolady - mówi chłopiec, a potem kładzie wskazujący palec na ustach, z których wydobywa się cichutkie „ciiii”.

- To nieprawda - mówi do niego Kamil. - Owszem, zęby naprawdę ci kiedyś wypadną. W zasadzie to już niebawem, ale na ich miejscu urosną nowe. Tak że wcale nie musisz się tym martwić.

- Aha. - Chłopiec zagryza dolną wargę, marszczy czoło i dość długo się nad czymś zastanawia. Po chwili pyta: - Tato, a jak już mi te zęby wypadną, to naprawdę potem odrosną?

- Oczywiście. Mnie też kiedyś wypadły i urosły. Tak samo jak mamie i babci Eli, i babci Kasi, i dziadkowi Ryškowi. Mieliśmy mniej więcej tyle samo lat co ty teraz. Nie martw się. Porozmawiam z mamą i powiem jej, że to nieładnie tak cię straszyć. - Kamil łaskocze syna w szyję. - Gotowy na puszczenie latawca?

- Tato?

- Co tam?

- Bo mama i wujo Robert się całowali. I właśnie tego miałem ci nie mówić. - Chłopiec wrywa suche źdźbła trawy, które znajdują się między jego kolanami.

- Jak to się całowali? - pyta go Kamil. - Kiedy?

- Ty byłeś w innym kraju, a ja byłem chory i nie poszedłem wtedy do przedszkola, i mama myślała, że śpię. I ja wszedłem do pokoju mamy, a oni leżeli w łóżku i się całowali. I mama powiedziała, że jak ci to powiem, to ty będziesz zły i weźmiesz pistolet, i ją zastrzelisz, a mnie wtedy wypadną wszystkie zęby i nigdy już nie urosną. I ty pójdziesz do więzienia, a ja do takiego domu, gdzie nie ma mamy ani taty i nikt nie będzie mnie tam kochał. A wujo Robert powiedział mi wtedy, że kupi mi PlayStation.

Wujo Robert, ojciec chrzestny Krzysia i zarazem najlepszy przyjaciel Kamila, kupił chrześniakowi PlayStation pół roku temu. To głównie Kamil na nim grał.

- Kurwa...

- Tato, nie można tak mówić. - Krzyś upomina ojca. - Jesteś na mnie zły, że ci to powiedziałem?

- Nie, synku - mówi Kamil, który ledwo nad sobą panuje. - Nie jestem na ciebie zły. Jestem zły na mamę. Bo... bo mnie okłamała.

- Ale nie weźmiesz pistoletu? I nie będziesz do niej strzelał? Bo przecież jesteś żołnierzem i masz pistolet.

- Nie, mały. Nie wezmę pistoletu - mówi, myśląc o tym, że żaden pistolet nie będzie mu potrzebny. Udusi swoją żonę gołymi rękoma.

- To popuszczamy teraz latawiec? - pyta Krzyś.

- Co? A, tak, pewnie. - Kamil wstaje z trawy, chociaż strasznie kręci mu się w głowie. Musi się na moment schylić i nawdychać świeżego powietrza. Musi sobie wszystko przemyśleć. A przede wszystkim musi rozmówić się z tą kłamliwą...

- Tato? Ale nie powiesz mamie, że ja ci to powiedziałem? - słyszy głos syna.

Chłopiec wlepią w niego swoje wielkie orzechowe oczy i czeka na odpowiedź.

- Mały, ty nie musisz się tym martwić. - Kamil uśmiecha się do syna i tarmosi go po włosach. - Chodź, puścimy tego latawca.

Kamil trzyma w dłoniach stelaż i zaczyna biec. Syn biegnie tuż za nim. Kamil jest zawodowym żołnierzem i potrafi biec naprawdę, naprawdę szybko. Tak szybko, że jego syn nie jest w stanie go dogonić. Puszczą latawiec i zmuszą swoje nogi do jeszcze szybszego pędu. Nie czuje wiatru we włosach, bo te są bardzo krótkie. Czuje go jednak na twarzy. W końcu zatrzymuje się, zadziera głowę i obserwuje latawiec smagany porywami wiatru. Wstrzymuje oddech, a potem nagle zaczyna krzyczeć. Z jego gardła wydobywa się wrzask, który odzwierciedla nagromadzoną w nim wściekłość. Krzyczy i krzyczy, i krzyczy, aż w końcu przestaje, bo orientuje się, że nie słyszy głosu swojego syna. Przecież Krzyś, ilekroć szli do ogrodu, gdy tylko widział wzbity w górę latawiec, ciągnął ojca za rękę, bo sam chciał trzymać linę. Kamil się rozgląda, ale nigdzie nie widzi syna.

- Mały? Gdzie się schowałeś? Mały? - woła go i rozgląda się po terenie, który jest naprawdę rozległy. Ten dziki ogród ma rozmiary kilku boisk piłkarskich, jednak na tym podobieństwo się kończy, bo zamiast krótko przystrzyżonej trawy pełno jest tu drzew i wielkich krzewów. On i jego syn często bawią się tutaj w chowanego. Dokładnie tak samo jak kiedyś Kamil i jego tata.

Kamil trzyma w dłoni sznurek i cały czas rozgląda się dookoła. Woła syna. Jakies sto metrów od siebie dostrzega w trawie coś niebieskiego. Dociera do niego, że Krzyś miał na sobie niebieską kurtkę. Sznurek od latawca, który jeszcze sekundę temu znajdował się w jego dłoni, zostaje wypuszczony, tym samym latawiec, nad którym już nikt nie ma władzy, szybuje coraz wyżej. Kamil pędzi przed siebie. Dopada do leżącego w trawie syna i klęka obok niego.

- Mały! Mały! Odezwij się! Mały! Krzysiu! Synku!

Chłopiec jednak nie reaguje na krzyki ojca. Jego powieki bardzo szybko drgają, przez co widać białka oczu, a z jego ust wydobywa się chrapliwy oddech. Dopiero po chwili Kamil dostrzega, że zarówno z ucha, jak i z tyłu głowy chłopca sączy się krew. Bardzo delikatnie bierze syna w swoje ramiona i wtedy dostrzega na trawie duży, zabarwiony na szkarłatno głąz z ostrymi zakończeniami. Od razu domyśla się, że Krzyś, kiedy biegł, musiał się przewrócić i uderzyć w niego głową. Kamil nie czeka ani chwili dłużej. Widział w swoim życiu mnóstwo urazów głowy. U dzieci również. Tyle tylko, że to były obce dzieci, więc nie podchodził do tego emocjonalnie.

Pędzi z synem na rękach do domu i wpada do środka. Magda siedzi na sofie i wystukuje coś na telefonie. Gdy Kamil pojawił się z Krzysiem w salonie, na jej ustach igrał uśmiech zakochanej kobiety. Gwoli ścisłości, nie w swoim mężu, a w jego najlepszym przyjacielu, z którym miała romans. I to właśnie z nim wymieniała się teraz SMS-ami. Oboje nie mogą się doczekać, aż Kamil pojedzie na kolejną misję. To już za trzy tygodnie.

- Dzwon na numer alarmowy!!!

- Co... - Magda chce zapytać, co się stało, ale kiedy widzi Kamila, który wpadł do domu, trzymając na rękach syna, nie jest w stanie nic zrobić. Dopadł ją paraliż.

Kamil wyrzywa z jej ręki telefon, tym samym miga mu przed oczyma wiadomość, którą Magda chciała wysłać do jego najlepszego przyjaciela. To znaczy byłego najlepszego przyjaciela, ale on wie, że na zakończenie tej relacji przyjdzie jeszcze pora. Teraz najważniejszy jest ich syn. Wystukuje numer alarmowy i kiedy połączenie zostaje odebrane, mówi dyspozytorce, co się dzieje. Informuje, że doszło do urazu głowy u siedmioletniego chłopca, tym samym mogło dojść również do uszkodzenia mózgu. Mówi, że dziecko co rusz traci i odzyskuje przytomność. Mówi również, że mieszkają bardzo daleko od szpitala, co może istotnie opóźnić dotarcie karetki. Stara się zachować spokój, chociaż to wcale nie jest łatwe.

- Uruchamiam zespół HEMS. Śmigłowiec powinien pojawić się do trzech minut - informuje go dyspozytorka.

Kamil rzuca telefon na ławę i wychodzi z domu. Siada na schodach i czeka. Modli się do Boga, żeby tylko jego syn przeżył. Żeby nic mu się nie stało.

Magda wybiega z domu i dopada do męża. Klęka na kamiennej posadzce i chce dotknąć dziecka, ale jest tak przerażona, że nie może zapanować nad drżeniem rąk. Patrzy na Kamila szeroko otwartymi, wręcz wybałuszonymi oczyma. Jej usta są rozchylone. Ciężko oddycha.

- Puszczaliśmy latawiec. Krzyś się przewrócił i uderzył w głowę. Za chwilę pojawi się oddział ratunkowy i zabiorą go do szpitala. Uratują go. - Kamil ją uspokaja. Nie w głowie mu teraz robienie jej awantur i czynienie wyrzutów. Zresztą w tej sytuacji... w tej sytuacji najważniejszy jest Krzyś, oni się nie liczą. Bo kogo, u licha, obchodzi teraz to, z kim pieprzy się jego żona, gdy on czołga się po pustyni, unika min i uzbrojonych po zęby talibów? Nikogo.

Czekają na helikopter.

Po trzech minutach do uszu jego i jego żony, która tylko patrzy na syna i rozpaczliwie płacze, dochodzi dźwięk nadlatującego śmigłowca. Kamil wstaje i rusza przed siebie. Wie, że helikopter wylądowuje w miejscu, w którym doszło do tragedii. Jest tam bardzo dużo miejsca, o czym poinformował dyspozytorkę. Gdy maszyna opada na trawę pomiędzy drzewami, on stoi i czeka na ratowników. Ogromny wiatr, wytworzony przez śmigła, nie robi na nim żadnego wrażenia. Oddaje syna ratownikom i pyta, do którego szpitala zabiorą jego dziecko.

- Do Krakowa. Do Prokocimia.

Odwraca się i biegnie przed siebie. Jego żona cały czas siedzi na schodach przed domem. Jest w szoku. Kamil wymija ją, wpada do środka i zgarnia z szafki kluczyki, portfel i telefon. Wybiega, zamyka drzwi od domu, nachyla się i unosi Magdę. Wsadza ją do samochodu, zapina jej pasy, a potem sam wskakuje do środka i wyjeżdża z podwórka. Wie, że nie może szarżować, że musi zachować ostrożność i że jego syn jest już w dobrych rękach, co uspokaja go na tyle, że jedzie naprawdę rozważnie. On i Magda nie zamieniają w tym czasie ze sobą słowa. W szpitalu pojawiają się po trzydziestu ośmiu minutach. Kamil wyskakuje z auta i biegnie do izby przyjęć, Magda podąża za nim. Recepcjonistka prosi ich, żeby poczekali na lekarza. To oczekiwanie jest straszne. Każda sekunda sprawia, że denerwują się coraz bardziej. Magda siedzi na krześle z głową opartą o ścianę i z zaciśniętymi mocno powiekami. Modli się. Kamil stoi przy wychodzącym na ulicę oknie i liczy przejeżdżające samochody. Naliczył ich już osiemdziesiąt sześć i w dalszym ciągu nic nie wie. Odwraca głowę i patrzy przed siebie. Na Magdę.

Czy jej w tym momencie nienawidzi? Nie. Nie ma siły na nienawiść. Jedyne, co teraz czuje, to ogromny niepokój. W jego kierunku zmierza lekarz. Mężczyzna wygląda na jakieś sześćdziesiąt lat i ma bardzo dziwny wyraz twarzy. Kamil rusza się z miejsca. On i doktor spotykają się mniej więcej w połowie korytarza, czyli dokładnie tam, gdzie siedzi Magda.

- Państwo jesteście rodzicami Krzysztofa Brauna?

- Tak - mówi Kamil. Patrzy na Magdę, która na dźwięk głosu lekarza wstała i wlepiła w niego swoje spojrzenie.

- Co z nim? - pyta Kamil. - Możemy go zobaczyć?

Lekarz przetyka ślinę, wciąga powietrze przez nos i dopiero wtedy się odzywa.

- Wskutek tego nieszczęśliwego wypadku doszło do ustania czynności mózgu, tym samym nastąpiła jego śmierć. Jest mi bardzo przykro, że nie mogliśmy nic zrobić.

- Śmierć? - mówi Magda. - Chce pan powiedzieć, że nasz syn...

Nie kończy zdania, tylko osuwa się po ścianie. Kamil chwytą ją w ostatniej chwili, żeby nie upadła na podłogę. Sadza ją na krześle i siada obok niej. Patrzy na żonę, która zanosi się płaczem i mówi, że nie, że to niemożliwe, że to na pewno pomyłka. Przytula ją do siebie. Nic innego się w tym momencie nie liczy.

- On... czy nasz syn naprawdę nie żyje? Naprawdę? - pyta lekarza.

- Tak. Naprawdę. Bardzo mi przykro.

- Ja byłem z nim w tym ogrodzie. Mieliśmy puszczać latawiec. On biegł za mną i się przewrócił. Uderzył głową w kamień. - Głos Kamila się łamie. - Powinienem go pilnować. Powinienem na niego poczekać. To moja wina.

- To był nieszczęśliwy wypadek - mówi lekarz. - To nie jest niczyja wina. Proszę się nie obwiniać.

- Czy możemy... możemy go zobaczyć? - pyta nagle Magda. - Chcę zobaczyć mojego syna.

- Tak - mówi lekarz. - Proszę za mną.

Idą w prawo, w lewo, dochodzą do windy, którą gdzieś jadą, jednak ani Kamil, ani tym bardziej otepiała Magda nie potrafiliby powiedzieć teraz, czy winda porusza się w górę, czy może jednak jedzie w dół. Kiedy otwierają się drzwi, idą za lekarzem długim i bardzo jasnym korytarzem. W końcu zatrzymują się przed drzwiami do jakiejś sali. Lekarz mówi im, że są na miejscu, i pyta, czy potrzebują jeszcze trochę czasu dla siebie. Kamil mówi, że nie. Magda milczy. Lekarz kiwa głową i otwiera drzwi. Najpierw do środka wchodzi Kamil, potem Magda. Sala, w której się znaleźli, jest mała. Tak mała, że ledwo weszli, a już stoją przy łóżku, na którym leży ich syn. Krzyś wygląda, jakby spał.

- Ale przecież... przecież on nie umarł - szepcze Magda, która bierze w swoją dłoń rękę synka - on oddycha. Widzę to. I jest ciepły. Kamil - patrzy na męża - on żyje! On oddycha!

- To nie on - mówi lekarz. - To maszyna za niego oddycha.

- Czyli jest szansa, żeby go uratować? Jest, prawda? - Magda absolutnie nie dopuszcza do siebie myśli, że jej dziecko zmarło. Dla niej to oczywiste, że należy zrobić wszystko, aby Krzyś się obudził. A skoro widzi, że klatka piersiowa jej syna unosi się i opada, skoro czuje jego ciepłą dłoń w swojej, to znaczy, że on jeszcze żyje, a jego serce w dalszym ciągu bije.

Bo to prawda. Ono bije. Ale już nie dla niego.

- Bardzo mi przykro - mówi lekarz. - Chociaż wydaje się, że państwa syn oddycha, nie jest to prawdą. Robi to za niego respirator. - Wskazuje na stojącą przy łóżku maszynę. - Naprawdę bardzo mi przykro, ale nie jesteśmy w stanie już mu pomóc.

- To po co ta maszyna? - pyta Magda, patrząc na respirator.

- Ponieważ chcę zadać państwu pewne pytanie. Zwracam się o wyrażenie zgody na akt dobroczynności.

Ten lekarz, a zarazem też koordynator do spraw przeszczepów doskonale wie, że taka rozmowa musi być przeprowadzona w sposób, który sprawi, że rodzice chłopca nie będą po niej pokiereszowani emocjonalnie.

- Nie ma większego aktu miłosierdzia niż bezinteresowne podarowanie części ludzkiego ciała komuś innemu. Niż świadomość, że w taki sposób można uratować życie i zdrowie potrzebujących. W tym przypadku chodzi o życie innych dzieci. Państwa syn odszedł, a ja w imieniu swoim i rodziców, których dzieci czekają na przeszczep, chciałbym prosić państwa o zgodę na pobranie od waszego dziecka organów.

- O co pan chce prosić? Chce pan zabić naszego syna, żeby jakieś inne dziecko mogło żyć? - pyta Magda. W jej głosie pobrzmiwa agresja.

- Państwa syn zmarł. Stwierdzono zgon. Stwierdzono śmierć mózgu - mówi doktor spokojnym głosem.

Już wiele razy spotkał się z podobną reakcją. Ta mama nie dopuszcza do siebie myśli, że jej dziecko naprawdę zmarło, co jest dla niego zrozumiałą reakcją.

- Przecież ja widzę, że on żyje! Przecież widzę, że oddycha! Macie go ratować! Macie ratować moje dziecko! Natychmiast! - Magda krzyczy i odpycha lekarza od łóżka.

Kamil, który nie odezwał się jeszcze ani jednym słowem, tylko cały czas patrzył na syna, łapie ją za rękę i każe jej spojrzeć na siebie.

- On nie żyje - mówi.

- Żyje! - Magda nie zgadza się z jego słowami.

- Nie żyje.

- Oddycha!

- Magda...

- Jesteś taki sam jak oni! Nie zależy ci na nim! Nie kochałeś go!

- Nasz syn nie żyje. Jego już nie ma. - Kamil mówi przez zaciśnięte zęby. - Wiem, że Krzyś wygląda teraz tak, jakby spał. I ja też chcę w to wierzyć. Tak jak ty, chcę wierzyć, że on się za chwilę obudzi. Ale on się już nigdy nie obudzi. Rozumiesz? Już nigdy.

Magda tego nie rozumie, mimo to jednak kiwa głową, że jest inaczej. Że to do niej dotarło. Odwraca się plecami od leżącego na łóżku synka, pochyla głowę i obejmuje się ramionami. Płacze. A co robi Kamil? Łapie Krzysia za dłoń i patrzy na niego pełnym miłości wzrokiem. Ta miłość wyciska z jego oczu łzy. Broda zaczyna mu się trząść, podobnie dłonie. Pochyla się nad łóżkiem, opiera głowę na barierce i zamyka powieki.

- Hej, mały - szepcze, oddychając ciężko. - Jestem taki dumny, że to właśnie mnie wybrałeś na swojego tatę. Jestem taki dumny. Kocham cię, mały. Niedługo się spotkamy. - Wypowiadając ostatnie zdanie, Kamil już wie, że misja, na którą pojedzie za trzy tygodnie, będzie ostatnią w jego życiu. Już on tego dopilnuje.

- Przepraszam, że ponownie pytam... - Lekarz ma świadomość dramatycznej chwili, ale nie może to wpłynąć na jego pracę, dlatego po raz kolejny chce zapytać o możliwość pobrania organów od chłopca.

- Ja wyrażam zgodę - mówi Kamil. Patrzy na plecy odwróconej Magdy i dodaje: - Proszę dać nam chwilę. Chciałbym porozmawiać z żoną.

Lekarz kiwa głową i wychodzi z sali. Jest dobrej myśli.

- Zwariowałeś? - Magda odwraca się do Kamila i rzuca mu nienawistne spojrzenie. - To twoja wina, że on nie żyje! To wszystko twoja wina! Jak śmiesz w ogóle myśleć o czymś takim? Jak śmiesz bezcześcić ciało naszego syna? Bóg ci tego nie wybaczy!

- A czy Bóg wybaczy ci to, że pieprzysz się z moim najlepszym przyjacielem? - pyta, chociaż naprawdę nie chciał tego teraz robić. Nie dała mu jednak wyboru.

Magda zachłystuje się powietrzem.

- Kochałem cię. Byłaś moją pierwszą i jedyną kobietą. Wiesz, co sprawiało, że kiedy byłem na misji, chciałem wstawać codziennie rano i ganiać się po pustyni z talibami? Ty. Świadomość, że jesteś i na mnie czekasz. A potem przyszedł na świat nasz syn i kompletnie odleciałem. Nie chciałem już wyjeżdżać, ale to ty mnie do tego namawiałaś. Bo szybciej spłacimy kredyt, bo przecież pieniądze są ważne, bo to tylko pół roku i wrócę. A potem kolejne pół roku. Wszystko to było ci na rękę. Magda, ja nawet nie chcę wiedzieć, jak długo to trwa. Ale miej świadomość, że mówienie niewinnemu dziecku, że jego tata zabije mamę i pójdzie do więzienia, a on do domu dziecka, to gruba przesada, nie sądzisz? - pyta, a gdy nie uzyskuje odpowiedzi, na którą swoją drogą wcale nie liczył, mówi dalej: -

Chociaż raz w życiu nie bądź samolubna i podziel się z kimś tym, co najcenniejsze. Chociaż raz w życiu okaż prawdziwą miłość.

Magda milczy, a gdy Kamil uznaje, że z jej strony nie będzie sprzeciwu, podchodzi do drzwi i je otwiera. Do sali wchodzi lekarz.

- Podjęliśmy decyzję. Oboje wyrażamy zgodę na pobranie organów od naszego syna - mówi Kamil. Jego głos jest bardzo stanowczy. Lekarz patrzy na niego, a potem na jego żonę. Ich wzrok przez chwilę się przenika, aż w końcu Magda opuszcza głowę i wychodzi z sali, nie mówiąc ani słowa.

Kamil zostaje.

Rozdział 28

Co czuje rodzic, który wie, że serce jego dziecka może uratować życie innemu dziecku?

Niewyobrażalną pustkę.

Po opuszczeniu szpitala w głowie Kamila pojawiły się wątpliwości i wiele pytań. Czy dobrze postąpił, podejmując taką decyzję? A może była jakaś szansa na uratowanie życia jego własnego dziecka? Może dałoby się coś jeszcze zrobić? Co, jeśli lekarze się pomylili i Krzyś mógłby nadal żyć? Nim Kamil wsiądzie do samochodu, zatrzymuje się i bardzo długo patrzy na budynek szpitala. Ma bolesną świadomość, że z tej drogi nie ma już odwrotu, więc musi wierzyć, że to, co zrobił, że decyzja, jaką podjął, naprawdę miała sens.

Bo jego życie już go nie ma.

A co czuje rodzic, którego dziecko czeka na to konkretne serce?

Ten rodzic boi się nazwać to uczucie na głos. Boi się, że gdy to robi, to ktoś sobie pomyśli, że on cieszy się ze śmierci niewinnego dziecka. Bo przecież wychodzi na to, że właśnie ona, ta śmierć, przed którą drżą możnowładcy świata, przed którą tak wielu chce uciec, przyczyniła się do tego, że skreślanie w kalendarzu na czerwono tych wszystkich dni było potrzebne.

Tym razem jednak śmierć może dać nowe życie.

Siedząca na tylnej kanapie samochodu Julia ma przymknięte powieki i jest gdzieś pomiędzy jawą a snem. Gdzieś, gdzie dostęp ma tylko ona i jej emocje. Gdzieś, gdzie może być do bólu szczerą. Łączy się myślami z rodzicami zmarłego dziecka. Bardzo im współczuje straty, ale nie jest w stanie oszukiwać siebie samej, że w tym przypadku nie rozpiera jej radość. Bo rozpiera. Jest świadoma, że chociaż jedni tracą wszystko, to inni zyskują jeszcze więcej. Brutalne to, ale tak bardzo prawdziwe. I chociaż nie wie, czy dawcą jest chłopiec, czy może dziewczynka, nie wie, ile ten mały bohater miał lat, nie wie, co było przyczyną śmierci, to jest wdzięczna za to, że rodzice tego dziecka byli tak bardzo świadomi i podjęli właśnie taką decyzję. Że nie wystraszyli się społecznego ostracyzmu i zabobonów mówiących o tym, że jeśli ktoś zostanie pochowany bez serca, to nie pójdzie do nieba.

O takich sytuacjach też słyszała wiele razy.

Pierwszy raz od dnia, w którym okazało się, że Julian jest tak bardzo chory, Julia czuje spokój. Jedną ręką trzyma dłoń syna, który zasnął, gdy tylko wjechali na autostradę. Drugą dłoń położyła sobie na brzuchu. Delikatnie go głaszcze i się uśmiecha. Chciałaby już przytulić do siebie córeczkę. I chociaż wie, że przed nimi jeszcze długa droga – i to wcale nie ta do szpitala ani porodu, bo ma na myśli przyjęcie przeszczepu, ewentualny odrzut, a także leczenie immunosupresyjne, które będzie trwało do końca życia Juliana – to jest szczęśliwa. Mówi o tym Markowi i pyta go, czy to źle, że w obliczu tak wielkiej tragedii ona ma w sobie takie uczucia. Czy to nie jest samolubne? Czy nie powinna się wstydzić tych myśli?

Siedzący za kierownicą Marek mówi:

– W tym przypadku skrajne uczucia będą się ze sobą przeplatały. Nie może być inaczej. Od samego początku wiedzieliśmy, jaką ktoś musi zapłacić cenę, żeby nasz syn mógł żyć. Nie odbieraj sobie radości, którą teraz czujesz. I nie rób niczego, bo tak by wypadało.

– Mam wrażenie, że zostałam cudownie uzdrowiona tym dzisiejszym telefonem. Jestem taka szczęśliwa. – Julia uśmiecha się, co Marek widzi w lusterku.

– Żaden lek nie wyleczy tego, co wyleczy szczęście – mówi Marek.

– Bez ciebie nie dostałabym recepty na to szczęście – odpowiada mu, a potem przenosi wzrok na śpiącego syna. Gdy powiedzieli mu o tym, gdzie jadą, najpierw zrobił ogromne oczy, a potem zaczął płakać. Zanosił się takim szlochem, że nie mogli go uspokoić. Początkowo ona i Marek byli zdezorientowani i wystraszyli się, że ich syn zareagował w taki sposób, ponieważ nie może się pogodzić z tym, że jakieś dziecko zmarło. Dopiero gdy się uspokoił, powiedział, że płakał, bo jest szczęśliwy, i bardzo się cieszy, bo znowu będzie mógł bawić się tak, jak wcześniej. I chociaż w niebie jest super, to on chce być jeszcze z rodzicami, siostrą, dziadkiem Ludwikiem, babciami Weroniką

i Marią. I z tą nową babcią Krysią też chętnie się jeszcze spotka. Ten mały człowiek rozumiał tak wiele. Tak wiele również przeszedł, ale wszystko właśnie zmierzało ku szczęśliwemu zakończeniu.

Do szpitala docierają bez żadnych problemów, co tłumaczą sobie tym, że ktoś musiał nad nimi czuwać w czasie drogi. Ani Julia, ani Marek nie mówią tego głośno, ale nie mają wątpliwości, kto to mógł być. Marek dzwoni do swojej mamy, mówi jej, że dojechali bezpiecznie i teraz nie pozostało nic innego, jak czekać. I to chyba najgorszy etap, który trzeba pokonać. Przetrwać.

Po przyjęciu na oddział Julian bardzo szybko zostaje zabrany na blok operacyjny. Zespół transplantacyjny już na niego czeka. Gdy zostaje poddany narkozie, jedna z pielęgniarek informuje ekipę eksplantacyjną, która czeka w krakowskim szpitalu na zielone światło na pobranie organu od zmarłego chłopca, że mogą działać. Po wszystkim mają przekazać serce ekipie transportowej. Serce dawcy powinno zostać przeszczepione w ciągu czterech godzin od chwili pobrania go. Dlatego też bardzo często biorca czeka na nie już na stole operacyjnym.

Pozostaje zatem zadać tylko jedno pytanie. Mianowicie czy ekipa, która ma je dostarczyć do warszawskiego szpitala, zdąży na czas?

Rozdział 29

- Bezpiecznej drogi, chłopaki. - Pielęgniarka przekazuje lodówkę transportową z sercem i wraca do swoich obowiązków.

Tomasz Małecki od ponad dziesięciu lat jest kierowcą karetki zespołu transplantacyjnego. Na swojej drodze, dosłownie, widział tyle bezmyślności wśród kierowców, że trudno mu pojąć skalę ludzkiej głupoty. Najgorzej jest w okresie wakacyjnym i podczas długich weekendów, gdy na autostradach jest o wiele więcej samochodów niż w dni powszednie. Ludzie blokują lewy pas, gramolą się przy bramkach, nie zjeżdżają, kiedy słyszą sygnał ambulansu, który jest przecież bardzo głośny. Niektórzy po prostu nie mają wyobraźni i nie są w stanie postawić się na miejscu kogoś, kto jedzie karetką albo na nią czeka. Nie pomyślą, że to może być ktoś, kogo oni znają i kochają. Nie pomyślą również, że kiedyś taka sama karetka może jechać po to, aby udzielić pomocy im.

Albo po prostu uważają, że kierowcy ambulansu to niecierpliwe matoly, którym nie chce się stać w korkach i nadużywają swoich zawodowych kompetencji.

Tak naprawdę nigdy nie da się dokładnie wyliczyć, w jakim czasie karetka dotrze do celu. To zawsze jest „na szybko” i „na już”. Problem tkwi w tym, że pojazd uprzywilejowany dla wielu uczestników ruchu drogowego znaczy tyle co nic. I nawet gdy pędzi autostradą dwieście kilometrów na godzinę, to nic to nie da, jeśli musi co chwilę hamować, bo inny pojazd tarasuje mu drogę. Każdy wyjazd dla kierowcy karetki to ogromny stres i walka z czasem. Tomek wie, jaka spoczywa na nim odpowiedzialność, dlatego do swojej pracy podchodzi z ogromnym skupieniem.

- Kto daje, a kto bierze? - pyta Maćka, kolegi, z którym pracuje od trzech lat.

- Dzieci. Obaj chłopcy mają po siedem lat. Dawca doznał urazu głowy. Bardzo nieszczęśliwy wypadek. Biorca czeka na serce od zeszłego lata. - Maciej wzdycha i opiera głowę o szybę od drzwi. - To jest tak powalone. Takie małe dzieci. Moja córka jest w ich wieku.

- Dlatego nie mam i nie będę miał dzieci - mówi Tomek.

- Może kiedyś zmienisz zdanie.

Tomek nie odpowiada, tylko skupia całą swoją uwagę na drodze. Zawsze, kiedy wiezie organy, jest bardzo czujny, ale gdy, tak jak w tym przypadku, należą one do dziecka i dziecku zostaną подарowane, motywuje się jeszcze bardziej. Miał kiedyś brata, Konrada. Chłopiec utopił się w stawiku, gdy miał pięć lat. To właśnie wtedy starszy od niego o trzy lata Tomek obiecał sobie, że nigdy nie będzie miał dzieci, bo może przytrafić się im to samo, co jego bratu. Obiecał sobie też, że jak dorośnie, będzie pomagał ludziom. Chciał być lekarzem, skończył nawet studia medyczne, i to z wyróżnieniem, ale jego życie potoczyło się w taki sposób, że został kierowcą karetki.

Niczego w życiu nie żałował.

Zbliżają się do Miechowa, czyli do celu zostało niecałe trzysta kilometrów. Za chwilę wjadą na drogę ekspresową S7, która zaprowadzi ich do samej stolicy. Mają dobry czas.

- I tak to właśnie powinno wyglądać - mówi Maciek. - Bez korków, bez opóźnień, z poczuciem dobrze wykonanego zadania.

Tomek chce mu powiedzieć, żeby nie chwalił dnia przed zachodem słońca, ale nie robi tego, bo w tym samym momencie z podporządkowanej drogi wyjeżdża samochód. Kierowca czerwonego opla corsy kompletnie ignoruje to, że powinien poczekać, żeby włączyć się do ruchu. Prawo jazdy ma dopiero od dwóch miesięcy i wydaje mu się, że pozjadał wszystkie rozumy. Dodatkowo muzyka w jego aucie dudni tak głośno, że on nie jest w stanie usłyszeć sygnału nadjeżdżającej karetki. Gdy Tomek widzi wyjeżdżający mu przed maskę samochód, wciska hamulec w podłogę, manewruje kierownicą i odbija w lewo. Uderza w drzewo, a jego głowa w kierownicę, co powoduje wystrzelenie poduszki powietrznej. Przez chwilę nie wie, co się stało. W jego głowie rozlegają się piski i nie widzi zbyt wyraźnie.

- Nic ci nie jest? - słyszy głos Maćka. - Tomek?

- Nie. - Potrząsa głową i kładzie dłonie na kierownicy. Uspokaja oddech, a potem odwraca się i patrzy na lodówkę, w której jest serce. Stoi dokładnie w tym samym miejscu, w którym postawił ją Maciek.

- Co za gamoń! - wrzeszczy Maciek, któremu na całe szczęście również nic się nie stało. - Przez takich idiotów...

Tomek nie słyszy, co się dzieje przez takich idiotów, bo jego kolega wysiada z samochodu i z całej siły trzaska drzwiami. Ale przecież nie musi słyszeć jego słów, bo doskonale wie, co się dzieje przez takich idiotów. Chociażby to, co przytrafiło się im właśnie teraz, a najgorsze, że to nie pierwsza taka sytuacja. Kiedyś, jakiś kilometr od szpitala, do którego Tomek miał dostarczyć organ, w karetkę, którą prowadził, uderzył samochód. Zamiast czekać na policję, złapał lodówkę z płucami i pobiegł do szpitala, żeby tylko zdążyć na czas. Potem wrócił i złożył zeznania. Dziś na pewno nie pobiegnie. Nie jego dystans.

- Uciek! No wyobraź sobie, że dupek uciek! Nawet numerów nie zapamiętałem! - Maciek otwiera drzwi od strony kierowcy. - Lewy bok do klepania.

Tomek pociera obolałą głowę, a potem próbuje przekręcić kluczyk w stacyjce. Słyszy tylko rżenie silnika. Patrzy na Maćka i ponawia próbę. Nie dzieje się jednak nic, co włączy chociaż odrobinę nadziei w ich serca.

- Trzeba poprosić o zastępczą karetkę - mówi do kolegi.

Maciek kiwa głową i łączy się z dyspozytorem, któremu przedstawia sytuację. W odpowiedzi słyszy, że to może chwilę potrwać, bo jak na złość wszystkie znajdujące się w okolicy karetki są na wyjeździe, ale ich sprawa jest potraktowana priorytetowo i będą kogoś wywoływać.

- Jasna cholera - mówi Tomek. - Za pięknie było. Za pięknie.

- Samolot też nie wchodzi w grę - dodaje wkurzony Maciek.

Bardzo często w transporcie organów korzysta się z pomocy wojskowych samolotów, ponieważ odległość do szpitala, w którym wykonywany będzie przeszczep, jest tak duża, że mimo najszybszych chęci karetka nie byłaby w stanie zdążyć na czas. Jednak jak okiem sięgnąć nie ma tutaj miejsca, w którym samolot mógłby wylądować.

- Jesteśmy w dupie - mówi Tomek.

- W czarnej dupie. - Maciek jest tak wściekły, że kiedy ponownie wsiada do samochodu, trzaska drzwiami. Musi się na czymś wyżyć. - Dobra, mam nadzieję, że zaraz kogoś przyślą. Zaraz, czyli za pięć minut.

Tomek opiera czoło na kierownicy i tak przez chwilę trwa, a potem unosi głowę i patrzy przed siebie. Są w lesie. Od momentu, kiedy się tutaj znaleźli, nie przejechał ani jeden samochód. To nie wróży nic dobrego. Po chwili jednak obaj dostrzegają zbliżające się światła jakiegoś pojazdu jadącego z naprzeciwka. Tomek patrzy na Maćka, Maciej na Tomka i obaj wyskakują z ambulansu. Maciek się potyka i ląduje w głębokim rowie, natomiast Tomek z szeroko rozstawionymi rękoma wyskakuje na jezdnię. Samochód się zatrzymuje, a on podbiega do kierowcy. To kobieta, pewnie nie ma nawet trzydziestu lat. Po chwili obok pojawia się głośno sapiący Maciek.

- Najmocniej panią przepraszam - mówi Tomek, żywo gestykulując. - Niech się pani nas nie boi. Mieliśmy wypadek. Przed momentem samochód wyjechał nam na drogę. Kierowca uciekł, a my musimy dostać się jak najszybciej do Warszawy. Wezwaliśmy już pomoc, ale musimy czekać. A my nie możemy czekać. Pomoże nam pani?

Kobieta patrzy na niego, a potem na samochód. Widzi na nim napis ZESPÓŁ TRANSPLANTACYJNY WARSZAWA.

- Transplantacja? Przewozicie organy? - pyta go.

- Tak. Dla dziecka - mówi Tomek. Wzmianka o dziecku jest celowa i ma zmiękczyć jej serce.

Kobieta kiwa głową i mówi:

- Jadę właśnie do Krakowa i muszę tam być - patrzy na zegarek - najpóźniej za godzinę. Inaczej stracę szansę na pracę moich marzeń.

Słyszając te słowa, Tomek traci nadzieję.

- Rozumiem - odpowiada zrezygnowany.

- Ale to chyba znak, że mam tam nie jechać. Proszę wsiadać. - Kobieta przekłada rzeczy z siedzenia pasażera na tył samochodu, a Maciek patrzy na nią jak na świętą. Tomek za to nie patrzy, tylko biegnie do karetki. Po chwili wraca z lodówką.

- Ty tu zostań - zwraca się do Maćka. - Oby udało się złapać wsparcie na trasie. Poinformuj oddział o sytuacji.

Po chwili niepozorny samochód marki Renault pędzi w stronę Warszawy.

- Dziękuję pani za pomoc - mówi Tomek.

- To nic takiego - odpowiada mu kobieta.

- To bardzo wiele. Proszę mi wierzyć, że to bardzo wiele.

Pomiędzy jego nogami spoczywa lodówka, w której znajduje się serce. Trzyma ją za uchwyt i patrzy przed siebie. Chciałby, aby samochód jechał szybciej, ale ma świadomość, że po prostu się nie da. Oby chociaż na trasie nie stało się nic, co ich opóźni.

- Często przytrafiają się wam takie sytuacje? - pyta go kobieta.

- Pyta pani, czy często jakiś idiota wyjeżdża mi na drogę, gdy jadę karetką? To jest trzeci raz, tak że jakieś doświadczenie mam. Dodam tylko, że do tej pory zawsze udało się dotrzeć na czas.

- Taką presję jestem w stanie zrozumieć i się do niej dostosować - odpowiada mu i naciska na pedał gazu. Wjechali właśnie na drogę ekspresową, więc może przyspieszyć.

Po jakichś piętnastu kilometrach drogi dzwoni telefon Tomka. To Maciek.

- Stary, opatrność jednak nad nami czuwa. Za jakieś dwanaście minut na eskę wjedzie karetka z Miechowa. Powiedzieli, że będą zapieprzać jak źli. Nie mam pojęcia, jak daleko ty i nasza dobrodziejka będziecie w stanie dojechać, ale oby jak najdalej. Podaj mi numer rejestracyjny samochodu, którym jedziesz. Aha, i macie włączyć światła awaryjne. Ja tu czekam na lawetę. W kontakcie, mistrzu.

- W kontakcie - mówi Tomek i rozłącza się, a potem przekręca głowę i patrzy na kobietę siedzącą z kierownicą. - Nazywam się Tomasz Małecki. Przepraszam, że się wcześniej nie przedstawiłem.

Ona zaczyna się śmiać, co sprawia, że Tomek czuje się dziwnie.

- Powiedziałem coś nie tak? - pyta.

- Wręcz przeciwnie. Ja nazywam się Justyna. Justyna Małecka.

- Naprawdę?

- Naprawdę, ale jeśli pan nie wierzy, tam z tyłu, w torbie, jest mój dowód - mówi i się uśmiecha.

- Bardzo namieszałem pani w życiu? Wspominała pani, że jedzie do Krakowa, bo tam czeka na nią praca marzeń.

- Wychodzi na to, że bardzo mi pan namieszał. Ale proszę się tym nie przejmować. W porównaniu z tym, co pan robi, moje życie jest takie przyziemne. Cieszę się, że mogę pomóc.

- Jestem pani bardzo wdzięczny. I ci, którzy czekają na zawartość tej lodówki, również.

Kobieta kiwa głową. Ona i Tomek spędzają ze sobą jeszcze dwadzieścia minut. Nie rozmawiają, każde z nich zatopione jest w swoich myślach. Kiedy Tomek słyszy coraz głośniejszy sygnał zbliżającej się karetki, czuje, jak kamień spada mu z serca. Ambulans wyprzedza ich i po chwili zjeżdża na pas awaryjny. Auto Justyny robi to samo.

- Nie mam przy sobie portfela, żeby zwrócić za paliwo. I za poświęcony czas - mówi Tomek, nim wysiądzie z samochodu.

- Proszę się tym w ogóle nie przejmować. Proszę już iść.

Tomek wyciąga do niej dłoń, którą ona ściska. Uśmiechają się do siebie.

- Do widzenia, pani Małecka. Jestem pani bardzo wdzięczny.

- Do widzenia, panie Małecki. Wszystkiego dobrego.

- Jeszcze raz bardzo pani dziękuję.

Tomek wysiada z samochodu i biegnie do karetki, która po chwili znika Justynie z oczu.

Rozdział 30

- Minęło już siedem godzin - mówi Julia, która od momentu, gdy zabrali Juliana na salę operacyjną, co rusz patrzy na zegarek, a także na drzwi z napisem BLOK OPERACYJNY. - A jeśli coś poszło nie tak? Jeśli pojawiły się jakieś komplikacje?

- Będzie dobrze - uspokaja ją Marek. - Niecierpliwiąc się, nic nie przyspieszymy. Przytul się do mnie.

Julia opiera głowę na jego ramieniu, cały czas jednak patrzy na drzwi. Słyszy dobiegające zza nich odgłosy rozmów i kroków i zastanawia się, co dzieje się z jej dzieckiem. Jednocześnie się boi i jest podekscytowana. I chociaż stara się nie dopuszczać do siebie, że coś mogłoby pójść nie tak, to bardzo trudno jest jej zapanować nad złymi myślami. One ją atakują.

Mówi o tym Markowi.

- Boję się.

- Strach to tylko myśl. Pozwól jej odejść.

Lekarze zapewnili, że to standardowa operacja, ale przecież zawsze istnieje ryzyko powikłań. Powiedzieli również, że samo przeszczepienie serca nie trwa nawet godziny, bo zazwyczaj czterdzieści minut, jednak cała operacja może potrwać nawet do sześciu godzin. W ogóle pan doktor, który nadzorował operację, zrobił na Julii i Marku niesamowite wrażenie. Gdy Julian został wpisany na listę Poltransplantu, poznali nazwisko lekarza, który najprawdopodobniej będzie go operować. Profesor Marian Wysocki postrzegany był jako kardiochirurg z sercem na dłoni, który ponad wszystko przekładał dobro swoich małych pacjentów. Na grupach internetowych pisano o nim, że kiedy naprawia chore serduszka, zawsze daje z siebie dwieście procent. Mówiono, że interesuje się dzieckiem również długo po transplantacji, że siedzi przy łóżkach pacjentów, a kiedy ci opuszczają szpital, dzwoni do nich i pyta o stan zdrowia. I że bardzo często robi to w czasie wolnym od pracy. Mówiono także, że gdy ktoś kiedyś zapytał go o dzieci, które odeszły, nie doczekały się na przeszczep serca, potrafił wymienić je wszystkie z imienia i nazwiska. Ten lekarz uważał również, że najważniej zależy od woli życia jego małych pacjentów, a to, co on od siebie dodaje, to jedynie mała cząstka umiejętności.

Wiele matek, które początkowo były zagubione, nie wiedziały, czym są te wszystkie medyczne skróty, którymi posługują się lekarze i pielęgniarki, nie miały pojęcia, jaka wada doskwiera ich dziecku, nie rozumiały, czym różni się HLHS od HRHS, znajdowało w jego osobie niesamowicie cierpliwego nauczyciela. Gdy profesor Wysocki widział, że ktoś nie rozumie medycznego żargonu, tłumaczył wszystko do momentu, aż rodzic przyswoił sobie te informacje. Określano go jako człowieka bardzo skromnego i uśmiechniętego. I dokładnie do takich samych wniosków doszli Julia i Marek, kiedy spotkali się z nim przed operacją.

Drzwi od bloku operacyjnego się otwierają i wychodzi przez nie profesor Wysocki. Ściąga maseczkę z twarzy i idzie w stronę Julii i Marka, którzy ledwo go dostrzegają, zrywają się ze swoich miejsc. Im bliżej nich znajduje się profesor, tym na jego twarzy pojawia się coraz szerszy uśmiech.

- Udało się - mówi, nie przestając się uśmiechać. - Operacja przebiegła pomyślnie.

Julia zachłystuje się powietrzem, zakrywa dłońmi swój nos i usta i oddycha głęboko. Jej ramiona zaczynają się trząść, a po chwili tłumione od kilku godzin łzy wypełniają oczy i spływają po policzkach. Chwyta profesora za dłonie i patrzy na niego z wdzięcznością, ale nie jest w stanie teraz nic powiedzieć. On z kolei, widząc tę zapłakaną kobietę, odczuwa ogromną radość, bo to kolejna mama, która od tej pory będzie mogła spać spokojnie. Chciałby również powiedzieć, że jej dwukolorowe oczy są piękne, ale uznaje, że to nie jest odpowiednia pora i miejsce na takie słowa. Jeszcze zdąży to zrobić. Przenosi wzrok na jej męża, który patrzy na niego z obojętnym wyrazem twarzy. Jedynie łzy, które dosłownie ciurkiem spływają po jego policzkach, pokazują, jak bardzo jest przejęty. Profesor Wysocki rozmawiał z nim przed operacją, ale dopiero teraz, gdy jego głowa nie jest już tak skupiona na przeszczepie, dociera do niego, że ten człowiek boryka się z paraliżem twarzy.

Heterochromia, Moebius i kardiomiopatia. To im się wady trafiły.

Nie mówi tego jednak na głos, tylko się uśmiecha.

- Tak bardzo dziękujemy. Nie potrafię wyrazić słowami tego, co teraz czuję. Nie potrafię - mówi Julia przez łzy.

- Tu nie potrzeba słów, trzeba się cieszyć - odpowiada profesor.

- Ja również dziękuję. - Marek ściska jego dłoń.

- Gdy państwa syn zostanie przewieziony na salę pooperacyjną, będziecie mogli go zobaczyć. Natomiast jutro, jak się tylko wyśpicie, zapraszam do mojego gabinetu. Jest kilka spraw, o których chciałbym powiedzieć, a najważniejsza z nich to ta, jak zaopiekować się nowym lokatorem, który od dziś mieszka w piersi waszego synka.

Zostawia tych szczęśliwych ludzi samych i znika za drzwiami prowadzącymi na blok operacyjny.

To była trudna operacja, chociaż na początku nic na to nie wskazywało. Anestezjolog podał małemu pacjentowi znieczulenie i obserwował parametry życia. Oczyszczono skórę na klatce piersiowej chłopca antyseptycznym roztworem, a potem wykonano nacięcie prowadzące w dół klatki piersiowej aż do pępka. Rozcięto mostek, żeby można było dotrzeć do chorego serca, i umieszczono w klatce piersiowej rurki, dzięki którym krew mogła być przepompowywana przy udziale maszyny sercowej. To niezbędna czynność, gdy serce zostaje zatrzymane. Potem usunięto chory narząd, który już ledwo zapał. To cud, że dawca pojawił się akurat w tym momencie.

Profesor Wysocki wierzył w cuda. Widział ich już tak wiele.

Kolejnym cudem było to, że serce dawcy do nich dotarło. Kiedy okazało się, że są problemy z transportem, ten chłopiec leżał na stole już bez swojego serca. Gdyby kierowca karetki transplantacyjnej nie dotarł na czas, mały pacjent by zmarł. To był kolejny stres dla lekarzy. Walka z czasem i przeciwnościami losu. Jednak się udało i Tomek Małecki, którego profesor Wysocki bardzo cenił za zaangażowanie, a który był również swego czasu jego studentem, dotarł na czas. W krótkiej rozmowie przekazał, że pewna kobieta odsunęła na bok swoje naprawdę ważne plany, żeby mu pomóc w dotarciu do szpitala.

I co? Zdarzył się kolejny cud. Ten chłopiec po prostu miał przeżyć.

Profesor umieścił nowego mieszkańca w jego ciele i zaczął łączyć ze sobą naczynia krwionośne. Wpuszczono również do obiegu krew i usunięto rurki wspomagające jej przepływ. Można było w końcu pobudzić nowe serce do tego, żeby zaczęło bić. Moment ten był zawsze dla profesora przełomową chwilą. Chociaż wykonał całe mnóstwo operacji, to za każdym razem, kiedy serce zaczynało bić w nowym ciele, wstrzymywał oddech. Widok pulsowania tego ważnego mięśnia był dla niego fascynujący.

Życie było fascynujące.

I wtedy pojawiły się problemy, bo chociaż na pierwszy rzut oka zdawało się, że wszystko działa, jak powinno, wystąpiły przecieki z naczyń krwionośnych. Tętno zaczęło spadać, ciśnienie krwi i poziom tlenu również. Należało być jednak skupionym do samego końca. Trzeba było walczyć o życie chłopca, bo przecież nie może być tak, że poświęcenie rodziców tego drugiego dziecka pójdzie na marne. Zespół walczył o niego przez czterdzieści pięć minut. Pot zraszał czoła lekarzy, krew przeciekała im przez palce, życie chciało poddać się śmierci. Ale udało się i w końcu można było zszyć skórę na mostku. Można było również odetchnąć i przybić ze sobą piątki na znak świetnie wykonanej roboty. A potem iść do czekających na korytarzu rodziców i powiedzieć im, że operacja się udała.

Profesor powie im też, że pojawiły się komplikacje, ale to nie dziś. Dziś nie można im dokładać smartwień. I nawet jeśli będą w szoku, gdy zobaczą swojego syna z drenami w ciele, z rurkami intubacyjnymi, z cewnikiem i raną na środku klatki piersiowej, to ten szok szybko ustąpi.

I będą najbardziej szczęśliwymi ludźmi na świecie.

Epilog

Rok później.

Jestem mamą chłopca, któremu oddaliście pod opiekę serce Waszego dziecka. Od dnia przeszczepu minął rok, a ja cały czas czuję ogromną wdzięczność, że znaleźli się ludzie o tak dobrych sercach jak Wasze. Że znaleźli się ludzie, którzy w obliczu własnej tragedii potrafili odnaleźć w sobie siłę i pomyśleć o kimś innym.

O kimś, kto tak bardzo potrzebował tej pomocy. W tym przypadku był to nasz syn, który umarłby, gdyby nie serce Waszego dziecka. Jako matka chorego dziecka bardzo doceniam Wasze poświęcenie. Nie wiem, kim jesteście, jak wyglądacie, gdzie mieszkacie i czym się zajmujecie, ale wiem, że jesteście dla nas, dla mnie, mojego męża i dla naszego syna, najbardziej wyjątkowymi ludźmi na świecie.

W imieniu swoim i swojej rodziny pragnę podziękować za ten dar. Tak bardzo chciałabym przytulić Was do siebie, spojrzeć w Wasze oczy, ale wiem, że nie jest to możliwe. Dlatego postanowiłam zrobić to w inny sposób.

Dziękuję za te trzysta sześćdziesiąt pięć dni niewyobrażalnej radości. Dziękuję za bliznę na ciele naszego dziecka, która każdego dnia przypomina nam o tym, jak cenne jest życie. I jak dobrze jest pomagać, nie oczekując nic w zamian. Dziękuję za każdego siniaka, za każdy ząb, który wypadł naszemu synowi, i za każde „mamo, ale ja nie lubię pietruszki!” też. Dziękuję za to, że nasz synek może być starszym bratem dla swojej maleńkiej siostrzyczki. Dziękuję za to, że mógł wybić okno w salonie i pomalować twarz mojego męża czerwoną farbą. Mąż przez dwa tygodnie wyglądał tak, jakby dostał jakiejś alergii albo się poparzył. To było cudowne! Dziękuję za każdy uśmiech mojego dziecka, każde pytanie, które nam zadał, a zadaje ich całe mnóstwo. Od momentu, kiedy otworzy oczy, do chwili, gdy zaśnie, buzia mu się nie zamyka. Pyta także o dziecko, dzięki któremu może żyć. My wiemy tylko, że to był chłopiec i miał tyle samo lat co on.

Powiedzieliśmy mu, że jego rodzice do końca życia pozostaną naszymi bohaterami. Że powinien czuć miłość do każdego człowieka, którego w swoim życiu spotka, bo to może być mama lub tata tego chłopca. A może ktoś, kto go znał i kochał. Jego babcia, ciocia, wujek. Każdy. Albo po prostu ktoś zupełnie obcy, kto potrzebuje poczuć odrobinę ciepła od drugiego człowieka. Od momentu tej rozmowy nasz syn mówi „dzień dobry, miłego dnia” każdemu napotkanemu na ulicy człowiekowi. Serce Waszego dziecka nauczyło nas czerpania radości z tu i teraz. Do tej pory byliśmy przekonani, że potrafimy to robić. Od dnia przeszczepu potrafimy to robić sto razy mocniej.

Jest jedna rzecz, o której chciałabym napisać, chociaż wiem, że nie doczekam się odpowiedzi. Gdy nasz syn doszedł do siebie po operacji, zaczął bardzo dużo mówić o latawcach. Wstyd przyznać, ale do tej pory nie wiedział, czym jest ta zabawka. Aż tu nagle, pewnego dnia pyta, czy tata kiedyś go z nim popuszcza. Powiedział wtedy zdanie, które nie może mi wyjść z głowy. Powiedział, że jego serce kocha latawce.

Mamy czerwony latawiec z żółtym ogonem. Uwielbiamy patrzeć, jak zмага się z podmuchami wiatru i jak nasz syn sobie z nim radzi. Julian jest silny i dzielny. Tak samo jak dzielny był Wasz synek. Kiedyś, gdy odejdę z tego świata, spotkam się z nim i sama podziękuję mu za jego dobroć.

Z wyrazami dozgonnego szacunku, wdzięczności i miłości

Mama chłopca, który żyje dzięki Wam

KONIEC

Copyright © by Iza Maciejewska

Copyright © by Wydawnictwo Magnolia, Łódź 2023

REDAKCJA Anna Zygmanska | annazygmanska.pl
KOREKTA Sylwia Mej
ZDJĘCIE NA OKŁADCE depositphotos.com
PROJEKT OKŁADKI www.hotmedia.pl/Jan Paluch
ŁAMANIE I KONWERSJA Małgorzata Kazek-Baranowska
ISBN 978-83-969147-3-6
WYDAWNICTWO MAGNOLIA
ŁÓDŹ 2023
WYDANIE PIERWSZE